

Planeta mała

Boule Pierre



calibre 0.9.27

PIERRE BOULLE
PLANETA MAŁP

PRZEŁOŻYLI:
KRYSTYNA PRUSKA
KRZYSZTOF PRUSKI

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Jinn i Phyllis spędzali w kosmosie wspaniałe wakacje, z dala od zamieszkanym planet.

W owych czasach podróże międzyplanetarne były rzeczą zwykłą a loty międzygwiazdne nie były niczym wyjątkowym. Rakiety unosiły turystów ku cudownym krainom Syriusza, finansiści odwiedzali słynne giełdy Arktura i Aldebarana. A jednak podróż kosmiczna Jinn i Phyllis, pary bogatej i beztroskiej, wyróżniała się oryginalnością nie pozbawioną odrobiny poezji. Dla przyjemności przemierzali przestworza pod żaglami.

Ich pojazd, kształtem zbliżony do kuli, otoczony był cienką i delikatną powłoką, pełniącą rolę żagla. Poruszał się pod ciśnieniem promieni świetlnych. Gdy znajdował się w pobliżu jakiejś gwiazdy - na tyle jednak daleko, by jej pole grawitacyjne nie oddziaływało zbyt mocno - poruszał się zawsze w linii prostej, w kierunku do niej przeciwnym. Ponieważ układ gwiazdny, w którym podróżowali Jinn i Phyllis, zawierał trzy słońca, położone stosunkowo blisko siebie, statek odbierał impulsy świetlne z trzech różnych kierunków. Przyjmując to za punkt wyjścia, Jinn opracował wyjątkowo pomysłowy sposób manewrowania. Żagiel był podwójny, wyposażony od spodu w szereg czarnych żaluzji, które dowolnie zwijane lub rozwijane, regulowały odbijanie światła przez poszczególne części żagla. W konsekwencji zmieniała się wypadkowa siła ciśnienia świetlnego, działających na statek. Ponadto elastyczna powłoka mogła się dowolnie kurczyć lub rozciągać. Toteż kiedy Jinn chciał przyspieszyć, nadawał jej możliwie największą rozpiętość. Żagiel chłonał wtedy promieniowanie całą swoją ogromną powierzchnią i statek mknął w przestworzach z szaloną szybkością, która przyprawiała Phyllis o zawrót głowy. Jinn również poddawał się nastrojowi i oboje trwali spleceni w namiętym uścisku, ze wzrokiem wbitym w dal, w tajemniczą otchłań, w którą unosił ich statek. Kiedy chcieli zwolnić, Jinn przesunął dźwignię i żagiel kurczył się do rozmiarów kuli tak małej, że przytuleni do siebie ledwie mieścili się w niej oboje. Działanie promieni świetlnych stawało się ledwo wyczuwalne. Mała kulka, poruszająca się prawie tylko dzięki sile bezwładności, wydawała się nieruchoma, jakby zawieszona w próżni na niewidzialnej nici. Leniwie i upojnie mijały obojgu młodym godziny spędzane w tym ustronnym świecie, który stworzyli na swoją miarę i tylko dla siebie. Jinn porównywał go do dryfującego żaglowca, a Phyllis do kulki powietrza w sieci wodnego pająka.

Jinn znał różne techniki uważane za szczyt sztuki kosmicznego żeglarstwa. Mógł na przykład manewrować statkiem wykorzystując cień planet czy ich satelitów. Przekazywał swoje umiejętności Phyllis, która z czasem stała się prawie tak zręczna jak on, a często wykazywała większą odwagę. Kiedy siedziała przy sterach, wykonywała tak śmiałe manewry, że zapędzali się aż ku krańcom układu słonecznego. Lekceważyła burze magnetyczne, które zakłócając fale świetlne wstrząsały ich statkiem jak łupiną orzecha. Dwa czy trzy razy Jinn, przebudzony wśród burzy, wyrwał jej z gniewem stery i błyskawicznie włączał pomocniczy silnik rakietowy, by jak najszybciej dobić do portu. Poczytywali sobie jednak za punkt honoru używać go jedynie w wyjątkowych wypadkach, w razie niebezpieczeństwa.

Tego dnia Jinn i Phyllis leżeli wyciągnięci obok siebie. Nie mieli nic do roboty, cieszyli się wakacjami i wygrzewali się w promieniach swoich trzech słońc. Jinn, rozmarzony, myślał o swojej miłości do Phyllis, a ona leżała na boku, zapatrzona w bezkresną dał, jak zawsze zafascynowana

kosmiczną przestrzenią.

Phyllis otrząsnęła się nagle z marzeń i uniosła nieco, marszcząc czoło. Jakiś niezwykle błysk zajaśniał w ciemnej otchłani. Wpatrywała się przez chwilę. Coś błysnęło znowu, jakby promienie odbijały się od jakiegoś przedmiotu. Jeszcze nigdy nie zawiódł jej instykt, wypróbowany podczas licznych kosmicznych podróży. Zresztą Jinn podzielał jej zdanie, a było nie do pomyślenia, żeby mógł się mylić w takich sprawach: nieznanne ciało, odbijające promienie słońca, unosiło się w przestworzach w odległości trudnej na razie do określenia. Jinn chwycił lornetkę i skierował ją na tajemniczy przedmiot. Phyllis oparła się o jego ramię.

- To coś małego - powiedział. - Wygląda jak szkło... Dajże mi popatrzeć. Zbliża się. Leci szybciej od nas. Można by powiedzieć...

Spowaźniał i opuścił lornetkę. Phyllis pochwyciła ją.

- To butelka, kochanie.

- Butelka?

Przyjrzała się uważnie.

- Na pewno butelka. Widzę wyraźnie, jest z jasnego szkła. Zakorkowana, widzę pieczęć. W środku jest coś białego - papier, na pewno jakieś pismo. Jinn, musimy ją złapać!

Jinn był widać tego samego zdania, bo już wykonywał skomplikowane manewry, żeby naprowadzić statek na tor, po którym poruszał się niezwykle przedmiot. Szybko się z tym uporał i zwolnił na tyle, żeby butelka mogła prędzej ich dogonić. Phyllis tymczasem włożyła skafander i wyszła na zewnątrz przez podwójny właz. Jedną ręką trzymała się liny, w drugiej miała sieć na długiej rączce. Szykowała się do złowienia butelki.

Już nieraz spotykali w kosmosie różne dziwne przedmioty i siatka przydawała się. Żeglując pomału, czasem w zupełnym bezruchu, robili przeróżne odkrycia i przeżywali niespodziewane spotkania niedostępne pasażerom zwykłych rakiet. Phyllis łowiła już okruchy startych na proch planet, kawałki meteorytów ze wszystkich zakątków wszechświata, szczątki satelitów wystrzelonych w początkowym okresie podboju kosmosu. Była bardzo dumna ze swojej kolekcji. Ale po raz pierwszy spotkała butelkę, i to butelkę zawierającą jakiś dokument, bo co do tego nie miała już żadnej wątpliwości. Drżąc z niecierpliwości podrygiwała jak pająk na końcu nitki i wykrzykiwała do mikrofonu:

- Wolniej, Jinn... Nie, trochę prędzej, bo nas wyprzedzi. Ster naprawo... na lewo... tak trzymaj... Mam!

Z triumfalnym okrzykiem wróciła ze swoją zdobyczą na pokład. ;

Butelka była duża, szyjkę miała starannie zapieczętowaną. W środku widać było zwój papieru.

- Jinn, słucz ją, szybciej! - gorączowała się Phyllis.

Flegmatyczny Jinn metodycznie odłupywał lak. Jednakże, kiedy butelka została otwarta, okazało się, że papier się zaklinował i nie da się go wydostać. Zrezygnowany, uległ namowom przyjaciółki i rozbił butelkę młotkiem. Papier sam się rozwinął. Było tam bardzo wiele cienkich arkusików pokrytych drobnym, pismem. Rękopis sporządzony był w ziemskim języku. Jinn znał go doskonale, studiował bowiem przez jakiś czas na Ziemi.

Coś go jednak powstrzymało od rozpoczęcia lektury tego dokumentu, który wpadł im w ręce w tak niezwykle okolicznościach. Widząc podniecenie Phyllis, zdecydował się w końcu. Słabo znała ten język i potrzebowała jego pomocy.

- Jinn, błagam cię!

Jinn zrefował żagiel i statek płynął teraz leniwie w przestrzeni. Upewnił się jeszcze, że nie ma przed nimi żadnej przeszkody, wreszcie ułożył się przy ukochanej i zaczął czytać.

II

Powierzam ten rękopis przestworzom nie dlatego, bym oczekiwał pomocy, lecz po to, by zażegnać straszliwą klęskę, jaka zagraża rasie ludzkiej. Boże, zmiłuj się nad nami!

- Rasie ludzkiej? - powtórzyła Phyllis, zdziwiona.

- Tak jest napisane - potwierdził Jinn. - Nie przerywaj mi - dodał i czytał dalej:

Nazywam się Ulisses Merou. Wraz z rodziną wyruszyłem po raz wtóry w kosmos. Możemy na naszym statku przeżyć całe lata. Uprawiamy na pokładzie jarzyny i owoce, hodujemy drób. Niczego nam nie brak. Może natrafimy pewnego dnia na gościnną planetę. Niczego więcej sobie nie życzę. A oto wierna relacja z mojej kosmicznej przygody.

Był rok 2500, kiedy z dwójką przyjaciół wsiadłem na statek z zamiarem dotarcia w rejon kosmosu, gdzie króluje superwielka gwiazda Betelgeza.

Był to ambitny projekt, jeden z najśmielszych, jakie dotychczas powstały za Ziemi. Betelgeza - Alfa Oriona, jak ją zwą astronomowie - jest oddalona od naszej planety o trzysta lat świetlnych. Jest godna uwagi z wielu powodów. Po pierwsze, ze względu na wielkość: jej średnica jest trzysta do czterystu razy większa od średnicy Słońca. Gdyby była na jego miejscu, swymi gigantycznymi rozmiarami sięgałaby po orbitę Marsa. Po wtóre, jeśli chodzi o jasność: jest gwiazdą pierwszej wielkości, najjaśniejszą w gwiazdozbiore Oriona, mimo oddalenia widoczną z Ziemi gołym okiem. Po trzecie, pod względem promieniowania: emituje światło czerwone i pomarańczowe, dające najwspanialsze efekty. Wreszcie Betelgeza jest gwiazdą pulsującą której jasność nie jest stała, lecz zmienia się w czasie w zależności od wahań jej rozmiarów.

Dlaczego po zbadaniu Układu Słonecznego i po stwierdzeniu, że jego planety nie są zamieszkane, odległa Betelgeza zo stała wybrana na pierwszy cel międzygwiazdowego lotu? T słynny profesor Antelle powziął i narzucił tę decyzję. Główny organizator przedsięwzięcia, któremu poświęcił cały swój ogromny majątek, kierownik naszej wyprawy, sam zaprojektował statek kosmiczny i czuwał nad jego budową. Wyjaśnił mi w czasie podróży, czemu dokonał właśnie takiego wyboru.

- Mój drogi - mówił - osiągnięcie Betelgezy wcale nie jest takim trudnym zadaniem. Wymaga zaledwie trochę więcej czasu niż dotarcie do którejkolwiek z najbliższych gwiazd Proximy Centaura na przykład.

Tu uznałem za stosowne zaprotestować i popisać się świeżo nabytymi wiadomościami astronomicznymi.

- Trochę więcej czasu! Przecież Proxima Centaura jest odległa o cztery lata świetlne, podczas gdy Betelgeza...

- Jest oddalona o trzysta, wiem o tym. Potrzeba nam będzie nieco ponad dwa lata, żeby do niej dotrzeć, a jednak podróż m Proximę Centaura trwałaby niewiele krócej. Nie zgadzasz się TU mną. Przyzwyczaiłeś się do małych odległości między planetami naszego układu. W przypadku takich lotów silne przyspieszenie zaraz po starcie jest możliwe do przyjęcia, bo trwa zaledwie kilka minut. Prędkość, jaką osiągniecie, jest śmiesznie mała i nie można jej porównywać do naszej. Najwyższy czas, żebym udzielił kilku wyjaśnień na temat mojego pojazdu. Dzięki udoskonalonym rakietom, które miałem zaszczyt skonstruować, możemy się poruszać z najwyższą wyobrażalną szybkością, jaką może osiągać ciało materialne, to znaczy z szybkością światła minus ipsylon.

- Minus ipsylon?

- To znaczy, że możemy się zbliżyć do Betelgezy na minimalną odległość, o ułamek ułamka, jeśli tak można powiedzieć.

- W porządku - powiedziałem. - Rozumiem.

- Trzeba ci także wiedzieć, że gdy mamy do czynienia z taką szybkością, różnica między naszym

czasem a ziemskim rośnie tym szybciej, im szybciej się poruszamy. Od rozpoczęcia tej rozmowy upłynęło kilka minut, a tymczasem nasza planeta postarzała się o kilka miesięcy. Wreszcie, mimo że będzie to niewyczuwalne, czas prawie się dla nas zatrzyma. Tutaj to będzie kilka sekund, kilka uderzeń serca, a na Ziemi upłynie parę lat.

- To też potrafię zrozumieć. Dzięki temu możemy mieć nadzieję, że za życia dotrzemy do celu. Ale skąd się biorą te dwa lata? Nie wystarczyłoby kilka dni albo nawet godzin?

- Właśnie do tego zmierzam. Aby osiągnąć prędkość, przy której czas stanie prawie w miejscu, musimy stosować przyspieszenie dopuszczalne dla naszego organizmu. Na to potrzeba nam około roku. Drugi potrzebny będzie do wytracenia szybkości. Rozumiesz teraz mój plan? Dwanaście miesięcy przyspieszania, dwanaście hamowania, a pomiędzy nimi kilka godzin na pokonanie większej części drogi. Widzisz teraz, że osiągnięcie Betelgezy nie potrwa wiele dłużej niż dotarcie do Proximy Centaura. Potrzebny by nam był tak samo rok na przyspieszenie, drugi na hamowanie, tylko że do naszej dyspozycji pozostałoby kilka minut zamiast kilku godzin. Różnica w sumie minimalna. A że starzeję się z pewnością nie starczy mi już sił na przedsięwzięcie jeszcze jednej podróży, postanowiłem mierzyć od razu daleko, z nadzieją odkrycia całkiem innego, nieznanego świata.

W wolnych chwilach prowadziliśmy takie właśnie rozmowy, które pozwoliły mi docenić imponującą wiedzę profesora Antelle'a. Nie było dziedziny, której by nie zgłębił. Miałem szczęście, że właśnie on był kierownikiem tak ryzykownej imprezy. Zgodnie z jego przewidywaniami podróż trwała około dwóch lat naszego czasu, podczas gdy na Ziemi musiało upłynąć trzy i pół wieku. To była jedyna ujemna strona tak dalekiej podróży. Gdybyśmy wrócili pewnego dnia na Ziemię, zastalibyśmy ją postarzałą o siedem do ośmiu stuleci. Nie przejmowaliśmy się tym jednak zbyt. Podejrzewałem nawet, że sama perspektywa ucieczki przed rówieśnikami miała dla profesora dodatkowy posmak. Często się przyznawał, że ma dosyć ludzi.

- Ludzie, ciągle ci ludzie - wtrąciła znów Phyllis.

- Tak, ludzie - potwierdził Jinn. - Tak jest napisane.

Nie mieliśmy żadnego poważnego wypadku. Wystartowaliśmy z Księżyca. Ziemia i inne planety znikły bardzo szybko. Widzieliśmy jak Słońce malało: najpierw wyglądało jak pomarańcza, potem jak śliwka, aż wreszcie zmieniło się w bezwymiarowy, świetlny punkt, zwykłą gwiazdę. Tylko profesori dzięki swej wiedzy umiał ją rozpoznać pośród milionów gwiazd Galaktyki.

Żyliśmy więc bez Słońca. Nie było to dla nas uciążliwe, gdyż statek był wyposażony w odpowiednie źródło światła. Nie nudziłem się podczas drogi. Rozmowy z profesorem były pasjonujące. Dowiedziałem się więcej w ciągu tych dwóch lat niż przez całe dotychczasowe życie. Nauczyłem się także wszystkiego, co było niezbędne do prowadzenia pojazdu. Było to dość proste i wystarczyło przekazać instrukcje aparatom elektronicznym, które po dokonaniu odpowiednich obliczeń kierowały bezpośrednio statkiem.

Nasz ogród dostarczał nam wielu przyjemnych rozrywek. Zajmował sporo miejsca na pokładzie. Profesor Antelle interesował się między innymi botaniką i rolnictwem, chciał więc wykorzystać podróż dla sprawdzenia pewnych swoich teorii dotyczących wzrostu roślin w kosmosie. Oddzielne sześciennym pomieszczenie wysokości blisko dziesięciu metrów służyło jako teren doświadczalny. Dzięki wielopoziomowym urządzeniom cała przestrzeń została wykorzystana. Ziemia karmiona sztucznymi nawozami ku naszej radości w niespełna dwa miesiące obrodziła w różnorodne jarzyny, które dostarczały nam zdrowego i obfitego pożywienia. Pamiętaliśmy także o estetycznych wrażeniach i specjalny teren został wydzielony dla kwiatów, którym profesor poświęcał się bez reszty. Ten osobliwy człowiek zabrał także na pokład kilka ptaków, motyli, a nawet małpę, małego

szympansa imieniem Hektor, który rozweselał wszystkich swoimi figlami.

Nie ulega wątpliwości, że nasz uczonec, nie będąc mizant-ropem, mało interesował się ludźmi. Często mawiał, że niczego się po nich nie spodziewa i tym tłumaczy się...

- Mizantrop? - przerwała Phyllis, zaskoczona. - Ludzie?

- Jeśli będziesz mi co chwilę przerywać - zauważył Jinn - nigdy tego nie skończymy. Rób to, co ja: próbuj zrozumieć.

Phyllis przyrzekła milczeć do końca i dotrzymała słowa.

...i tym tłumaczy się z pewnością fakt, że zgromadził na statku, wystarczająco dużym aby pomieścić kilka rodzin, różne rodzaje roślin, trochę zwierząt, ograniczając liczbę pasażerów do trzech. Był więc on sam, Artur Levain - jego uczeń, młody fizyk z dużą przyszłością, i ja, Ulisses Merou, początkujący dziennikarz. Poznałem profesora przypadkiem, przeprowadzając z nim wywiad. Zaproponował mi uczestnictwo w wyprawie, kiedy się dowiedział, że nie mam rodziny i że przyzwyczaję gram w szachy. Dla początkującego dziennikarza była to niebywała okazja. Nawet gdyby mój reportaż został opublikowany za osiemset lat, a może właśnie dlatego, przedstawiałby nieocenioną wartość. Przyjąłem propozycję z entuzjazmem.

Podróż odbywała się więc bez przeszkód. Jediną jej przykrą stroną było przeciążenie, odczuwane w czasie przyspieszania i hamowania. Musieliśmy przywyknąć do tego, że nasze ciała ważą półtora raza więcej niż na Ziemi. Uczucie to było z początku dość męczące, ale wrotce przestaliśmy zwracać na nie uwagę. W połowie podróży przeżyliśmy okres nieważkości, któremu towarzyszyły przedziwne stany, typowe dla tego zjawiska. Trwało to jednak tylko kilka godzin, więc nie ucierpieliśmy zbyt wiele.

Aż wreszcie pewnego dnia, po długiej podróży, ze wzruszeniem ujrzeliśmy Betelgezę, która ukazała się nam na niebie pod nową postacią.

III

Nie da się opisać ogromu wzruszenia wywołanego tym widokiem. Gwiazda, jeszcze wczoraj błyszcząca punkcik pośród mnogości innych bezimiennych punkcików na niebie, wynurza się z czarnej głębi, zarysowuje kształtem w przestrzeni. Ukazuje się zrazu jak lśniący orzech, aby następnie przybrać kształt pomarańczy o pełniejszych już kształtach i intensywniejszym blasku, aż wreszcie wtapia się w kosmos, przyjmując znajomy obraz naszej dziennej gwiazdy. Narodziło się dla nas nowe słońce, podobne do naszego u schyłku dnia. Wciągnęło nas w swoją orbitę, owiewało gorącem.

Poruszaliśmy się teraz bardzo powoli, zbliżając się ciągle do Betelgezy. Rozmiarami przekraczała już wszystkie znane nam dotąd ciała niebieskie. Wrażenie było bajeczne. Antelle zaprogramował komputery, a kiedy zaczęliśmy krążyć wokół nadolbrzyma, wyciągnął przyrządy astronomiczne i przystąpił do obserwacji. Szybko odkrył cztery planety, określił ich rozmiary i odległość od gwiazdy centralnej. Jedna z nich - druga licząc od Betelgezy - poruszała się po orbicie podobnej do naszej. Miała rozmiary prawie takie jak Ziemia, atmosferę zawierającą tlen i azot, obiegała Betelgezę w odległości trzydziestokrotnie przekraczającej odległość Ziemi od Słońca. Dzięki rozmiarom i stosunkowo niskiej temperaturze nadolbrzyma napromieniowanie było zbliżone do warunków ziemskich.

Wybraliśmy ją za cel pierwszego lądowania. Po wydaniu nowych poleceń automatom i włączeniu silników statek zaczął krążyć wokół planety. Mogliśmy teraz dowolnie napawać się nowym widokiem, jaki roztaczał się przed naszymi oczami. Przez teleskop ujrzeliśmy morza i kontynenty.

Statek nie był przystosowany do lądowania, ale przewidując taką ewentualność wyposażyliśmy go w trzy bardzo małe raketowe pojazdy, które nazywaliśmy szalupami. Zajęliśmy miejsca w jednej

z nich, zabierając niektóre przyrządy pomiarowe oraz szympansa Hektora, podobnie jak my ubranego w skafander, do którego noszenia był przyzwyczajony. Nasz pojazd zostawiliśmy na orbicie. Byliśmy o niego spokojni bardziej niż o statek zakotwiczony w porcie i wiedzieliśmy, że nie grozi mu najmniejsze zboczenie z kursu.

Dotarcie w szalupie do planety nie było trudnym przedsięwzięciem. Gdy tylko weszliśmy w gęste warstwy atmosfery, Antelle pobrał próbki powietrza i poddał je analizie. Miało ono identyczny skład jak powietrze na Ziemi na tej wysokości. Nie miałem czasu na zastanawianie się nad tym niezwykłym zbiegiem okoliczności, gdyż bardzo szybko zbliżaliśmy się do lądowania. Dzieliło nas już tylko około pięćdziesięciu kilometrów. Automaty dokonywały wszystkich niezbędnych operacji, więc nie pozostawało nam nic innego jak przytknąć twarz do iluminatora i z bijącym sercem patrzeć na zbliżający się nowo odkryty, nieznany świat.

Planeta była zadziwiająco podobna do Ziemi. Z każdą minutą utwierdzałem się w tym przekonaniu. Widziałem teraz gołym okiem zarysy kontynentów. Atmosfera była przejrzysta, lekko zabarwiona odcieniem jasnej zieleni, wpadającej chwilami w oranż, przywodząc na myśl prowansalskie niebo o zachodzie słońca. Ocean był jasnoniebieski, również z lekkim odcieniem zieleni. Zarys lądów różnił się od wszystkiego, co widziałem na Ziemi, mimo że rozgorączkowany i zasugerowany taką ilością analogii, za wszelką cenę i tutaj usiłowałem doszukać się podobieństwa. Na tym się skończyło. Nic w geografii planety nie przypominało kontynentów naszego starego ani nowego świata.

Nic? Cóż znowu! Wprost przeciwnie! Planeta była zamieszkała. Przelatywaliśmy właśnie nad miastem, dość dużym miastem o promieniście rozchodzących się, wysadzanych drzewami alejach, po których krążyły pojazdy. Zdażyłem zaobserwować charakterystyczną architekturę: szerokie ulice, domy o geometrycznych kształtach.

Mieliśmy jednak wylądować dużo dalej. Szalupa niosła nas najpierw nad uprawnymi polami, potem nad gęstym, rdzawym lasem przypominającym naszą równikową dżunglę. Lecieliśmy teraz bardzo nisko. Na szczycie płaskowyżu otoczonego terenami o bardziej urozmaiconej rzeźbie dostrzegliśmy dość dużą polanę. Antelle postanowił zaryzykować i wydał ostatnie polecenia automatom. Włączył się zespół rakiet hamujących. Na kilka sekund zawisnęliśmy nieruchomo nad polaną, jak mewa czatująca na rybę.

I wreszcie, w dwa lata po opuszczeniu Ziemi, opadliśmy łagodnie, lądując miękko na środku płaskowyżu, w zielonej trawie przypominającej łąki Normandii.

IV

Po wylądowaniu długą chwilę staliśmy w milczeniu, nieruchomo. Może takie zachowanie wyda się komuś dziwne, ale odczuwaliśmy potrzebę skupienia się i zebrania całej energii. Byliśmy pochłonięci przygodą po tysiącokrotnie wspanialszą niż wszystko, co było udziałem pierwszych ziemskich kosmonautów. Przygotowywaliśmy się duchowo do stawienia czoła dziwom, jakie przewijały się w snach całych pokoleń poetów, marzących o międzyplanetarnych podróżach. : Czyż nie było to cudowne, że właśnie wylądowaliśmy miękko w trawie na planecie, która jak nasza miała swoje oceany, góry, lasy, uprawne pola, a z pewnością także i mieszkańców. Musieliśmy znajdować się jednak dość daleko od zamieszkałych okolic, biorąc pod uwagę rozmiary dżungli, nad którą przelatywaliśmy, zanim dotknęliśmy ziemi.

Otrząsnęliśmy się wreszcie z pierwszego wrażenia. Włożywszy skafandry otworzyliśmy ostrożnie iluminator szalupy. Po-Hietrze było nieruchome. Wewnątrz statku wyrównało się Ciśnienie. Polanę otaczał las, jak mury fortecy. Żaden hałas, żaden ruch nie zakłócał spokoju. Temperatura była znośna: około 25° C.

Wyszliśmy z szalupy zabierając ze sobą Hektora. Profesor tżystąpił od razu do przeprowadzania dokładnej analizy owietrza. Wynik był zachęcający. Miało ten sam skład co na iemi, jeśli nie liczyć niewielkiej różnicy w proporcjach gazów dachetnych. Powinno nadawać się doskonale do oddychania, e w przystępie ostrożności postanowiliśmy wypróbować to na aszym szympansie. Oswobodzony ze skafandra, wydał się szczęśliwiony i nie okazywał żadnego niepokoju. Był jakby ijany swobodą stąpając po ziemi. Podskoczył parę razy, puścił f pędem w stronę lasu i wdrapał na drzewo, koziółkując wśród gałęzi. Wrotce zaczął się oddalać i zniknął mimo naszych nawoływań.

Wtedy i my pościągaliśmy skafandry i wreszcie mogliśmy porozumiewać się swobodnie. Byliśmy pod wrażeniem dźwięku własnego głosu. Nieśmiało zaryzykowaliśmy zrobić parę kroków, nie oddalając się od szalupy.

Nie było wątpliwości, że znaleźliśmy się na bliźniaczej siostrze Ziemi. Życie istniało. Roślinność była nawet wyjątkowo bujna. Wysokość niektórych drzew z pewnością przekraczała czterdzieści metrów. Wkrótce ukazali się naszym oczom również i przedstawiciele fauny pod postacią dużych ciemnych ptaków, krążących jak sępy na niebie. Były też inne, mniejsze, podobne do papużek, które goniły się ze szczebiotem. To, co widzieliśmy przed wylądowaniem, świadczyło, że istnieje tu również jakaś cywilizacja. Oblicze tej planety ukształtowały istoty rozumne, nie ośmielaliśmy się jeszcze powiedzieć: ludzie.

Mimo to otaczający las robił wrażenie nie zamieszkanego. Nic w tym dziwnego. Łądując na chybił trafił w jakimś zakątku azjatyckiej dżungli czulibyśmy się tak samo osamotnieni.

Na razie nadanie nazwy planecie uznaliśmy za najpilniejsze zadanie. Ze względu na podobieństwo do Ziemi ochrzciliśmy imieniem Soror, czyli "Siostra".

Postanowiliśmy, nie tracąc czasu, przeprowadzić pierwszy rekonesans i zagłębiliśmy się w las dziewiczą ścieżką. Artur Levain i ja nieśliśmy karabiny. Profesor nie uznawał tego rodzaju broni. Czuliśmy się lekko i żwawo maszerowaliśmy n| dlatego, żeby ciężenie było mniejsze niż na Ziemi - i pod tym względem podobieństwo było zupełne - ale kontrast z przeciążeniem odczuwanym na statku był tak duży, że mieliśmy ochot skakać z radości.

Szliśmy gęsiego, od czasu do czasu nawołując Hektora, kiedy idący przodem Levain stanął i zaczął nam dawać znaki. Z od dobiegł nas szmer płynącej wody. Ruszyliśmy w tę stronę, nasilał się. Był to wodospad, na widok którego stanęliśmy Wszyscy jak wryci, przejęci pięknem tego zakątka. Struga wody, sjrzysta jak górski potok, wiła się nad naszymi głowami, lewała na płaskiej skale i spadała u naszych stóp z wysokości kilkunastu metrów do małego jeziorka, jakby naturalnego basenu, otoczonego na przemian skałami i łachami piasku. Powierzchnia wody odbijała gorące promienie stojącej w zenicie Betelgezy.

Widok był tak kuszący, że obaj z Levainem pomyśleliśmy b tym samym. Było bardzo gorąco. Zrzuciliśmy ubrania, gotowi dać nura. Profesor powstrzymał nas uwagą, że trzeba wykazać trochę więcej przezorności, kiedy dopiero co się wylądowało na nieznannej planecie. A jeśli ten płyn to wcale nie woda i okaże się iszkodliwy? Podeszedł do brzegu, przykucnął, przyjrzał się, feanurzył ostrożnie palec. W końcu nabrał trochę płynu w dłoń, posmakował końcem języka.

- To może być tylko woda - mruknął.

Pochylił się jeszcze raz, żeby zanurzyć rękę w jeziorku, i nagle znieruchomiał. Krzyknął coś i wskazał jakiś ślad na piasku. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie doznałem tak wielkiego irstrząsu. Bo oto tutaj, pod palącymi promieniami Betelgezy, ctora roztaczała się na niebie jak wielki czerwony balon, grzałem doskonale widoczny, wyraźnie zarysowany na wąskim krawku wilgotnego piasku - odcisk ludzkiej stopy.

- To ślad kobiety - zawyrokował Artur.

To stanowcze stwierdzenie, wypowiedziane zdławionym głó-ijem, wcale mnie nie zaskoczyło, wyrażało bowiem również moje cia. Byłem głęboko poruszony finezją, elegancją i swoistym pięknem tego śladu. Nie mogło być cienia wątpliwości, że pozostawiła go ludzka istota. Może to był chłopak, może mężczyzna niewielkiego wzrostu, jednak najprawdopodobniej była to kobieta, czego życzyłem sobie z całego serca.

- Soror jest więc zamieszkana przez ludzi - rzekł cicho profesor. W jego głosie wyczułem cień zawodu i nagle wydał mi się mniej sympatyczny. Wzruszył po swojemu ramionami i razem zaczęliśmy badać piasek wokół jeziora. Odkryliśmy dalsze ślady zostawione przez tę samą istotę. Nieco dalej Levain zwrócił naszą uwagę na ślad na suchym piasku. Był jeszcze wilgotny.

- Przechodziła tędy najwyżej pięć minut temu! - wykrzyknął.

- Pewno się kąpała, usłyszała nas i uciekła.

Stało się dla nas oczywiste, że była to kobieta. Zamilkliśmy i wpatrywaliśmy się w las, ale nawet trzask gałązki nie zakłócił ciszy.

- Nigdzie nam się nie spieszy - powiedział profesor i znowu wzruszył ramionami. - Jeżeli rzeczywiście kąpała się tu ludzka istota, to niewątpliwie i my możemy zrobić to samo bez obawy.

Poważny uczony szybko zrzucił ubranie i zanurzył w wodzie swe chude ciało. Pod wpływem orzeźwiającej, rozkosznej kąpieli, zmywającej trudy długiej podróży, prawie zapomnieliśmy o ostatnim odkryciu. Tylko Artur wydawał się zamyślony i jakby nieobecny. Już chciałem zażartować z jego smętnej miny, kiedy zobaczyłem kobietę stojącą tuż nad nami na skalnej płycie, z której spływał wodospad.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wywarła. Wstrzymałem oddech na widok piękna tego nieziemskiego stworzenia, zbryzganego pianą, oświetlonego krwawymi promieniami Betelgezy. Wyzywająca w swej kobiecości na tle monstrualnego słońca, stała zupełnie naga, przysłonięta tylko długimi włosami spadającymi jej na ramiona. To prawda, że przez dwa lata byliśmy pozbawieni jakiegokolwiek punktu odniesienia, więc trudno było czynić porównania, ale żaden z nas nie miał skłonności do halucynacji. Było jasne, że ta kobieta, stojąca nieruchomo na skale jak posąg na cokole, miała ciało doskonalsze niż wszystko, co mogło się począć na Ziemi. Staliśmy obaj z Arturem wstrzymując oddech, osłupiali z zachwytu. Myślę, że nawet profesor był poruszony.

Pochylna do przodu, z piersią zwróconą w naszą stronę i ramionami lekko uniesionymi i odchylonymi do tyłu, zastygła w pozycji pływaczki gotującej się do skoku i obserwowała nas ze zdumieniem nie mniejszym chyba od naszego. Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę. Byłem tak wstrząśnięty, tak zahipnotyzowany pięknem jej sylwetki, że nie byłbym w stanie opisać żadnego szczegółu. Dopiero po kilku minutach dostrzegłem, że należała do rasy białej, miała skórę raczej złotawą niż brązową, że była szczupła i dość wysoka. Jak we śnie ujrzałem twarz, uosobienie niewinności. Wreszcie spojrzałem jej w oczy.

I oto mój zmysł obserwacji rozbudził się nagle, zaostrzyła się uwaga i wzdrygnąłem się dostrzegając w jej wzroku coś zupełnie dla mnie nowego. Odczułem jakby dotknięcie czegoś niezwykłego, tajemniczego, oczekiwanego przez nas wszystkich w tym odległym świecie. Nie umiałem wytłumaczyć ani nawet określić, na czym to polegało. Czuję tylko, że coś bardzo istotnego różni ją od ludzkiego gatunku. Nie miało to nic wspólnego z kolorem jej oczu. Były szare, szarością dość rzadko u nas spotykaną, ale przecież nie wyjątkową. Nienormalny był ich wyraz. Coś jakby pustka i brak głębi, czym przypominały mi widzianą kiedyś obłąkaną kobietę. Ale nie! To nie mogło być to, to nie mogło być szaleństwo.

Gdy zorientowała się, że jest przedmiotem obserwacji, a właściwie w chwili, kiedy spotkały się

nasze spojrzenia, odwróciła się gwałtownie, przerażona, ze zwinnością zwierzęcia. Nie zrobiła tego ze wstydu. Moim zdaniem byłoby przesadą podejrzewać ją nawet o takie uczucie. Po prostu nie chciała albo nie mogła znieść mojego wzroku. Odwrócona profilem, obserwowała nas teraz ukradkiem, kątem oka.

- Mówiłem wam, że to kobieta - powiedział Levain.

Powiedział to głosem zdławionym z przejęcia, prawie basem. Dziewczyna usłyszała go i dźwięk głosu wywarł na niej nieoczekiwane wrażenie. Cofnęła się nagle ruchem tak szybkim, że znowu przemknęło mi przez myśl porównanie z wystraszoną zwierzęciem, niepewnym czy zostać, czy uciekać. Zrobiła dwa kroki i zatrzymała się za skałą, kryjącą prawie całą jej postać. Widziałem tylko część twarzy i jedno oko, które śledziło nas dalej. Nie śmieliśmy poruszyć się, żeby nie sprowokować ucieczki. Nasze zachowanie ośmieliło ją. Po chwili wyszła znowu na brzeg skały. Młody Levain był jednak wyraźnie zbyt podniecony, żeby powstrzymać się od gadania.

- Jeszcze nigdy nie widziałem... - zaczął.

Zrozumiał swą nieostrożność i urwał, ale dziewczyna schowała się znowu za skałę, jakby to ludzki głos napełniał ją przerażeniem.

Profesor ruchem ręki nakazał nam milczenie i zaczął się pluskać w wodzie, udając, że nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Poszliśmy w jego ślady i nasza taktyka okazała się skuteczna. Dziewczyna nie tylko ukazała się znowu, ale wkrótce zainteresowała się naszymi wyczynami. To zainteresowanie przejawiało się jednak w tak niezwykły sposób, że wzmogło tylko naszą ciekawość. Czy obserwowaliście kiedyś na plaży bojaźliwego szczeniaka, którego pan właśnie się kąpie? Chciałby mu towarzyszyć za wszelką cenę, ale się boi. Robi parę kroków w jedną stronę, potem w drugą, odchodzi i zawraca, macha głową, otrząsa się. Właśnie tak zachowywała się dziewczyna.

Nagle odezwała się, ale~wydawane przez nią dźwięki podkreśliły jeszcze bardziej wrażenie zwierzęcości wywołane jej zachowaniem. Zatrzymała się na samej krawędzi skały i zdawało się, że za chwilę skoczy do jeziora. Przerwała na chwilę swój taniec i otworzyła usta. Stałem teraz trochę na uboczu i mogłem ją obserwować z ukrycia. Myślałem, że przemówi, krzyknie, zawoła. Spodziewałem się, że usłyszę jakiś barbarzyński język, ale nie byłem przygotowany na tak dziwne dźwięki, jakie wydobyły się z jej gardła. Właśnie z gardła, bo ani usta, ani język nie współdziałały w wydawaniu owego ni to miauczenia, ni to ostrego pisku, które znów przywołały na myśl objawy radosnego szału zwierzęcia. Czasem w ogrodach zoologicznych widuje się młode szympansy, kiedy bawiąc się i baraszkując wydają podobne okrzyki.

Mimo zaskoczenia pływaliśmy jednak dalej, starając się nie zwracać na nią uwagi. Odnieśliśmy wrażenie, że podjęła jakąś decyzję. Przykucnęła na skale oparta na rękach i po chwili zaczęła schodzić ku nam. Poruszała się z małpią zręcznością. Jej złociste ciało służyło szybko po skale, ukazując się nam poprzez wąską, przejrzystą wstęgę wodospadu, skąpane w wodzie i świetle jak feeryczna zjawka. Chwytność się niedostrzegalnych występów skały błyskawicznie znalazła się nad jeziorem i przykucnęła na płaskim kamieniu. Patrzyła na nas przez kilka chwil, po czym skoczyła do wody i popłynęła w naszą stronę.

Zrozumieliśmy, że chce się bawić, więc pluskaliśmy się nadal z zapalem wiedząc, że w ten sposób pozyskaliśmy jej zaufanie, ale nieruchomieliśmy natychmiast, kiedy zdradzała oznaki przestachu. Efekt był taki, że po niedługim czasie wynikła z tego wspólna zabawa, której zasady dziewczyna sama nieświadomie ustaliła. Dziwna to była zabawa, podobna trochę do igraszek fok w basenie. Dziewczyna goniła nas i uciekała na przemian, to robiąc nagłe uniki, to ocierając się o nas nieomal, nie dopuszczając jednak nigdy do zetknięcia. Co za dziecinada!

Byliśmy gotowi na wszystko, żeby tylko oswoić piękną nieznajomą. Zauważyłem, że profesor

uczestniczył w tych figlach z nie ukrywaną przyjemnością.

Trwało to dość długo i już zaczynaliśmy odczuwać zmęczenie, kiedy zwróciła moją uwagę dziwna powaga malująca się na jej twarzy. Była tu z nami, z wyraźnym zadowoleniem uczestniczyła w zainspirowanej przez siebie zabawie, a przez cały czas jej rysów nie ożywił uśmiech. Od dłuższej chwili czułem się, nie wiem czemu, dziwnie nieswojo i z ulgą odkryłem przyczynę: nie śmiała się ani nie uśmiechała. Tylko od czasu do czasu gardłowymi okrzykami okazywała swoje zadowolenie.

Postanowiłem zrobić próbę. Kiedy zbliżała się do mnie płynąc dziwnym psim stylem, z włosami ciągnącymi się za nią jak ogon komety, spojrzalem jej w oczy i zanim zdążyła się odwrócić, obdarzyłem ją uśmiechem, usiłując w nim zawrzeć całą przyjaźń i czułość, na jaką mnie było stać.

Efekt był zaskakujący. Stała zanurzona po pas w wodzie i wyciągnęła przed siebie zaciśnięte ręce obronnym gestem. Potem odwróciła się i uciekła na brzeg. Tam obejrzała się i obserwowała nas spode łba jak wtedy na skalę, z bezradnością zwierzęcia, które jest świadkiem niepokojącego zdarzenia.

Być może nabrałaby znowu ufności widząc, że przestałem się uśmiechać i pływam sobie dalej najspokojniej w świecie, gdyby nie wydarzenie, które na nowo obudziło jej czujność. Z lasu dobiegł jakiś hałas i po chwili naszym oczom ukazał się Hektor skaczący z gałęzi na gałąź. Opuścił się na ziemię i w podskokach pomknął w naszą stronę, szczęśliwy ze spotkania. Z przejściem patrzyłem jak twarz dziewczyny wykrzywia zwierzęcy grymas wyrażający przerażenie i groźbę zarazem. Skuliła się między skałami, niemal wtopiona w otoczenie, wygięta w łuk, z napiętymi mięśniami i palcami wyciągniętymi jak szpony. A wszystko to na widok miłego, małego szympansa, który szykował nam niespodziankę.

Nie zauważył dziewczyny i właśnie przebiegał koło niej, kiedy skoczyła jak wyrzucona z procy. Dopadła Hektora i chwyciła go za szyję rękami, unieruchamiając jak w kleszczach uściskiem ud. Atak był tak niespodziewany, że nie zdążyliśmy mu zapobiec. Hektor nie bronił się prawie. Po chwili znieruchomiał i wypuszczony z uścisku padł martwy.

Ta promienna dziewczyna - której w przyływie romantycznych uczuć nadałem unie "Nova", porównując jej pojawienie się do narodzin jaśniejszej gwiazdy - po prostu zadusiła oswojone i nieszkodliwe zwierzę.

Kiedy otrząsnęliśmy się z wrażenia i popędziliśmy w jej stronę, było już za późno na ratunek. Dziewczyna zwróciła się ku nam, jakby szykowała się do odparcia ataku. Wyciągnęła przed siebie ręce, wyszczerzyła zęby i wyglądała tak groźnie, że stanęliśmy jak wryci. Wydała jeszcze jeden ostry krzyk, może wyrażający triumf, a może gniew, i uciekła w las. Po chwili zniknęła w zaroślach, które skryły jej złociste ciało. My tymczasem staliśmy niezdecydowani pośród dżungli, w której znów zapadła cisza.

VI

- Dzikuska - rzekłem - z jakiegoś pierwotnego plemienia, jak te z Nowej Gwinei albo z lasów afrykańskich?

Mówiłem to bez najmniejszego przekonania. Na to Artur prawie z gniewem zapytał, czy widziałem kiedykolwiek u ludów pierwotnych taką finezję kształtów. Miał po stokroć rację. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Profesor, który zdawał się być pogrążony w rozmyślaniach, śledził jednak naszą rozmowę.

- Najbardziej prymitywni ludzie na Ziemi mają jednak swój język - powiedział. - Ona nie mówi.

Obeszliśmy wokoło wodospad. Nieznajoma zniknęła bez śladu, wróciliśmy więc do szalupy pozostawionej na polanie. Antelle myślał o ponownym starcie w poszukiwaniu innej, bardziej cywilizowanej okolicy. Levain zaproponował jednak dwudziestoczęterogodzinny postój w celu

nawiązania dalszych kontaktów z mieszkańcami dżungli. Poparłem go i nasza propozycja została przyjęta. Nie śmieliśmy się przyznać, że na tej decyzji zaważyła nadzieja ponownego zobaczenia nieznajomej.

Popołudnie upłynęło spokojnie. Jednak już pod wieczór, kiedy skończyliśmy podziwiać fantastyczny zachód Betelgezy, której rozmiary i blask przechodziły ludzkie wyobrażenie, poczuliśmy, że coś się dzieje wokół nas. Słysząc było trzaski i tajemnicze szelesty w budzącej się do życia dżungli. Mieliśmy wrażenie, że czyjeś niewidzialne oczy śledzą nas poprzez listowie. Mimo to noc upłynęła spokojnie. Zabarykadowani w szalupie czuwaliśmy na zmianę. O świcie ogarnęło nas to samo uczucie niepokoju. Wydawało mi się, że słyszę przenikliwe pokrzykiwanie, takie samo jak wczoraj. Ale żadne ze stworzeń, jakie w naszej rozgorączkowanej wyobraźni zaludniały las, nie ukazało się.

Zdecydowaliśmy się wrócić pod wodospad. Przez całą drogę prześladowało nas to samo irytujące uczucie, że jesteśmy śledzeni i obserwowani przez stworzenia, które nie śmiały się nam ukazać. A przecież Nova nie kryła się przed nami poprzedniego dnia.

- Może boją się naszych ubrań - powiedział nagle Artur.

Zaczynałem rozumieć. Przypomniałem sobie teraz, jak Nova, udusiwszy Hektora, natknęła się uciekając na stos naszych ubrań i odskoczyła gwałtownie w bok, niczym spłoszony koń.

- Zaraz zobaczymy.

Rozebraliśmy się i skoczyliśmy do jeziora. Pławiliśmy się w wodzie, pozornie obojętni na wszystko, co nas otaczało.

Podstęp się udał. Po kilku minutach ujrzelśmy dziewczynę na skalnej płycie. Nadeszła niepostrzeżenie. Nie była sama. Koło niej stał mężczyzna, zupełnie nagi, zbudowany jak wszyscy mężczyźni na Ziemi. Był w średnim wieku, a jego rysy przypominały twarz naszej bogini, pomyślałem więc, że jest jej ojcem. Przyglądał się nam z tym samym wyrazem osłupienia i niepokoju.

Pojawili się następni. Dostrzegaliśmy coraz to innych, starając się jedynie zachować pozorną obojętność. Wychodzili chyłkiem z lasu i stopniowo otaczali jezioro. Mocno zbudowani, stanowili piękne okazy ludzkiej rasy. Kobiety i mężczyźni o złocistej skórze biegali niespokojnie, zdradzając duże podniecenie i pokrzykując od czasu do czasu.

Byliśmy okrażeni i, biorąc pod uwagę wczorajszy incydent z szympansem, dość zaniepokojeni. Postawa tych ludzi nie była jednak groźna. Oni także wydawali się być po prostu zainteresowani tylko naszymi pływackimi popisami.

Tak było rzeczywiście. Wkrótce Nova, którą uważałem już za starą znajomą, wśliznęła się do wody, a inni, mniej lub bardziej zdecydowanie, poszli w jej ślady. Skierowali się ku nam i znowu goniliśmy się jak wczoraj z tą różnicą, że teraz otaczało nas ze dwadzieścia pluskających się, prychających postaci, których poważne twarze zupełnie nie pasowały do tej dziecinnej zabawy. Po upływie kwadransa poczułem znużenie. Czy po to wylądowaliśmy na Sororze, żeby zachowywać się jak banda smarkaczy? Głupio mi było i z przykrością stwierdziłem, że nasz uczony profesor wydawał się bez reszty pochłonięty zabawą. Ale co mogliśmy innego zrobić? Trudno sobie wyobrazić, jak ciężko jest nawiązać kontakt z istotami, które nie mówią i nie śmieją się. Spróbowałem jednak. Wykonałem kilka znaczących gestów. Złożyłem po przyjacielsku dłonie, chyląc się w ukłonie chińskim obyczajem. Ręką posyłałem pocałunki. Nie wywołało to najmniejszego oddźwięku. Nie dostrzegłem w ich oczach żadnego błysku zrozumienia.

Kiedy w czasie podróży dyskutowaliśmy o ewentualnym spotkaniu żywych istot, wyobrażaliśmy je sobie jako bezkształtne, niepodobne do nas, monstrualne stwory. Zakładaliśmy jednak

podświadomie, że będą to istoty rozumne. Tymczasem na Sororze rzeczywistość wydawała się być krańcowo odmienna. Mieliśmy do czynienia z mieszkańcami fizycznie podobnymi do nas, ale pozbawionymi rozumu. Świadczył o tym wyraz oczu Novy, który mnie wczoraj tak zastanowił, a który odnalazłem dzisiaj również u innych. Brak w nim było świadomych reakcji. Brak duszy. Interesowała ich tylko zabawa, i to w dodatku prymitywna. Chcąc wprowadzić do niej choćby pozory harmonii, wzięliśmy się za ręce i zanurzeni po pas w wodzie wykonaliśmy dziecinny taniec, kręcąc się w kółko, podnosząc i opuszczając ramiona. Nie wywarło to na nich żadnego wrażenia. Większość odsunęła się, pozostali przyglądali się nam tak bezmyślnie, że zatrzymaliśmy się, zbici z tropu.

Nasza rozterka stała się właśnie przyczyną dramatu. Świadomość, że trzech dojrzałych mężczyzn, z których jeden cieszy się światową sławą, trzymają się za ręce i jak dzieci bawią się w kółeczko pod kpiącym spojrzeniem Betelgezy, wytrąciła nas z równowagi. Nie mogliśmy dłużej zachować powagi. Napięcie ostatnich piętnastu minut było tak wielkie, że odprężenie musiało nastąpić. Wstrząsnął nami nieprzytomny śmiech i zgięci w pół nie mogliśmy się opanować przez dłuższą chwilę.

Nasz wybuch wesołości wywołał wreszcie jakąś reakcję, jednak nie taką, jakiej byśmy sobie życzyli. W jeziorze zakotłowało się. Ludzie zaczęli uciekać na wszystkie strony, zdjęci paniką, która w innych okolicznościach byłaby wręcz śmieszna. Wkrótce zostaliśmy w wodzie sami. Oni tymczasem zbili się w gromadę na brzegu, po przeciwnej stronie jeziora. Rozgorączkowani, wydawali krótkie, złowrogie pokrzykiwania, wymachując rękami w naszą stronę. Ich ruchy i wyraz twarzy były tak groźne, że ogarnął nas strach. Skierowaliśmy się z Arturem ku miejscu, gdzie zostawiliśmy broń, ale rozsądny Antelle zabronił jej nam używać, a nawet pokazywać, zanim się do nas nie zbliżą.

Ubraliśmy się pośpiesznie, mając ich ciągle na oku. Ledwo wciągnęliśmy spodnie i koszule, niepokój ludzi zaczął przechodzić w szal. Odnieśliśmy wrażenie, że widok ubranego człowieka jest dla nich nie do zniesienia. Jedni uciekli, inni zaczęli zbliżać się wyciągając ręce z zaciśniętymi pięściami. Chwyciłem za karabin. Znikli wśród drzew, choć wydaje się absurdem, żeby istoty tak prymitywne mogły pojąć znaczenie tego gestu.

Pospieszyliśmy do szalupy. W drodze powrotnej miałem wrażenie, że choć niewidoczni, byli ciągle obecni i że w ciszy śledzili nasz odwrót.

VII

Atak nastąpił w chwili, kiedy wychodziliśmy na polanę, i był tak gwałtowny, że nie mieliśmy żadnych szans obrony. Ludzie wybiegli z zarośli i dopadli nas, zanim zdążyliśmy wycelować broń. Dziwna rzecz - agresja nie była skierowana bezpośrednio przeciwko nam. Czulem to podświadomie od pierwszej chwili, a wkrótce nie miałem już wątpliwości. Ani przez moment nie odnosiłem wrażenia, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, jak wczoraj Hektor. Ci ludzie nie nastawiali na nasze życie, swoją złość wyładowywali na ubraniach i przedmiotach, które mieliśmy przy sobie. Zostaliśmy błyskawicznie obezwładnieni. Kłęb niespokojnych rąk wrywał nam i odrzucał daleko broń, amunicję, torby, zdierał z nas ubranie i rwał na strzępy. Pojąłem o co im chodzi i poddałem się biernie. Choć trochę podrapany, wyszedłem jednak z opresji bez szwanku. Antelle i Levain postąpili podobnie i po chwili staliśmy wszyscy trzej goli jak święci tureccy wśród gromady mężczyzn i kobiet. Wyraźnie uspokojeni widokiem naszych nagich ciał, biegali teraz wokół nas, za blisko jednak, byśmy mogli próbować ucieczki.

Było ich teraz na polanie co najmniej stu. Ci, którzy nie byli nami zajęci, rzucili się na szalupę z taką samą furją, z jaką inni darli nasze ubrania. Mimo rozpaczliwej ogarniającej mnie na widok niszczenia naszego bezcennego pojazdu, obserwowałem bacznie ich zachowanie i chyba udało mi się

uchwycić jego zasadniczy sens: to przedmioty wprawiały ich w szal. Wszystko, co było wyprodukowane, wywoływało zarówno gniew jak i strach. Chwyciwszy jakąś rzecz nie zajmowali się nią dłużej niż było trzeba, żeby ją rozbić, porwać, połamać. Odrzucali szczątki jak mogli najdalej, a jeśli wracali do nich znowu, to tylko po to, by dokończyć dzieła zniszczenia. Przywodzili na myśl kota walczącego z wielkim szczurem, już półżywym, ale wciąż niebezpiecznym, albo ichneumona ze złapanym węzem. Już na samym początku zaskoczyło mnie, że zaatakowali nas zupełnie bezbronni, nie mając nawet kija.

Patrzyliśmy bezsilni na zagładę szalupy. Właz ustąpił pod siłą ramion. Wdarli się do środka i zniszczyli wszystko, co się dało, a przede wszystkim nasze najcenniejsze przyrządy pokładowe, których szczątki porozrzucali wokoło. Trwało to dość długo. Kiedy została już tylko nietknięta metalowa powłoka, zawrócili w naszą stronę. Zaczęli nas ciągnąć i popychać, aż w końcu powlekli w stronę dżungli.

Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Bezbronni, odarci z odzieży, zmuszeni do szybkiego, przekraczającego ludzkie siły marszu na bosaka, nie mogliśmy się porozumiewać ani nawet poskarżyć. Każda próba nawiązania rozmowy wyzwalała tak groźne odruchy, że cierpieliśmy dalej w milczeniu. A przecież te stworzenia były ludźmi jak my. Ubrani i uczesani nie wzbudzaliby na Ziemi żadnej sensacji. Wszystkie kobiety były piękne, choć żadna nie mogła równać się z Novą.

Nova biegła tuż za nami. Brutalnie popędzany, kilkakrotnie odwróciłem się do niej, wypatrując choćby śladu współczucia i chyba nawet dostrzegłem je raz na jej twarzy. Myślę jednak, że to było tylko moje pobożne życzenie. Kiedy krzyżowały się nasze spojrzenia, spuszczała głowę, a jej wzrok nie wyrażał nic prócz otępienia.

Ta katorga ciągnęła się godzinami. Padałem ze zmęczenia, stopy mi krwawiły, a całe ciało miałem podrapane przez cierniste krzewy, wśród których mieszkańcy Sorory prześlizgiwali się jak węże. Moi towarzysze byli w nie lepszym stanie. Antelle potykał się za każdym krokiem. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, które wydawało się być celem tego szalonego biegu. Las nie był tu tak gęsty, a zamiast zarośli pokazała się niewysoka trawa. Dali nam wreszcie spokój i nie zwracając na nas więcej uwagi znowu zaczęli gonić się wśród drzew, jakby nie mieli lepszego zajęcia. Padliśmy na ziemię nieprzytomni ze zmęczenia i korzystając z chwili wytchnienia zaczęliśmy naradzać się po cichu.

Trzeba było całego wysiłku woli i umysłu profesora, żeby uchronić nas przed najczarniejszą rozpaczą. Zapadał zmrok. Zapewne udałoby się nam uciec korzystając z ogólnego zamieszania, ale dokąd? Nawet gdybyśmy przebyli jeszcze raz tę całą drogę, nie mieliśmy żadnej możliwości uruchomienia szalupy. Uznaliśmy, że będzie najrozsądniej pozostać na miejscu i próbować zjednać sobie te nieobliczalne stworzenia. Poza tym głód dawał nam się już porządnie we znaki.

Wstaliśmy i nieśmiało zrobiliśmy parę kroków. Tamci kontynuowali swoją bezsensowną zabawę. Tylko Nova zdawała się o nas pamiętać. Szła za nami w pewnej odległości, odwracając głowę, gdy oglądaliśmy się za siebie. Włóczęc się tak bez celu zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy w obozowisku. Zamiast szałasów zobaczyliśmy coś, co przypominało gniazda wielkich małp afrykańskich. Po prostu kilka splątanych gałęzi, niczym nie przewiązanych i ułożonych na ziemi albo wtłoczonych w rozwidlenia niskich konarów. Niektóre gniazda były zajęte. Mężczyźni i kobiety - ciągle nie znajduję dla nich innego określenia - siedzieli tam skułem, często parami, i drzemali przytuleni do siebie jak zmarznięte psy. Większe gniazda zajmowały całe rodziny. Zauważyliśmy w nich kilkoro dzieci, które wydały mi się ładne i zdrowe.

Problem zaspokojenia głodu pozostawał wciąż nie rozwiązany. Wreszcie pod jakimś drzewem natknęliśmy się na rodzinę zabierającą się do jedzenia, ale widok ich posiłku nie był zachęcający.

Właśnie ćwiartowali jakieś duże zwierzę, podobne do jelenia. Bez żadnych narzędzi, rękami i pazurami wyrywali kawały mięsa i pożerali na surowo, odrywając tylko płyty skóry. Nigdzie w pobliżu nie dostrzegliśmy śladów ogniska. Zemdliło nas na widok tej uczty. Zresztą kiedy podeszliśmy na kilka kroków, pojęliśmy, że z pewnością nie zostaniemy zaproszeni do wspólnego stołu. Przeciwnie - rozległo się groźne warczenie i wycofaliśmy się pośpiesznie.

Pomogła nam Nova. Czy w końcu dotarło do niej, że jesteśmy głodni? Czy była w stanie cokolwiek zrozumieć? Może ona także odczuwała głód. Tak czy inaczej zobaczyliśmy, że podeszła do wysokiego drzewa, obejmując pień udami wspięła się na gałąź i zniknęła w listowiu. Po chwili na ziemię zaczęły sypać się owoce przypominające banany. Nova zsunęła się na ziemię, podniosła kilka sztuk i zaczęła jeść, spoglądając na nas. Po chwili wahania poszliśmy w jej ślady. Owoce były dość smaczne i w końcu poczuliśmy się nasyceni. Popiliśmy wodą ze strumienia i zaczęliśmy się szykować do snu.

Każdy z nas wybrał sobie w trawie miejsce i zabrał się do budowy gniazda wzorem innych mieszkańców tego osiedla. Nova wykazywała wyraźne zainteresowanie naszymi poczynaniami, podeszła nawet do mnie i pomogła mi ułamać jakąś oporną gałąź. Wzruszyłem się tym gestem, a Levain widząc to położył się zawiedziony i natychmiast zasnął. Profesor był tak zmordowany, że już od dawna spał.

Nie spieszyłem się z urządzeniem sobie legowiska. Nova stała trochę na uboczu i przyglądała mi się bez przerwy. Położyłem się wreszcie, a ona stała jeszcze jakiś czas nieruchomo, jakby niezdecydowana. Nie chciałem jej przestraszyć i leżałem bez ruchu. Podeszła wreszcie nieśmiało i wyciągnęła się obok. Przytuliła się w końcu do mnie i teraz nic już nas nie odróżniało od innych par tego dziwnego ludu, śpiących w sąsiednich gniazdach. Mimo niezwyklej piękności tej dziewczyny, nie traktowałem jej wtedy jeszcze jak kobiety. Zachowywała się jak oswojone zwierzę, które szuka ciepła swego pana. Ja grzałem się jej ciepłem, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłbym jej pożądać. Wreszcie zasnąłem, skulony w nienaturalnej pozycji, przytulony do tej pięknej, a przy tym jakże niewiarygodnie bezrozumnej istoty. Półżywy ze zmęczenia, ledwo rzuciłem okiem na satelitę Sorory, mniejszego od naszego Księżyca, który zalewał dżunglę swym żółtawym światłem.

VIII

Kiedy się obudziłem, przez gałęzie zobaczyłem blednące niebo. Nova jeszcze spała. Przyglądałem jej się w milczeniu i westchnąłem z żalem, przypominając sobie jak okrutnie rozprawiła się z biednym szympansem. Z pewnością ona była przyczyną wszystkich naszych niepowodzeń - przecież dała o nas znać swoim towarzyszom. Ale jak można zachować urazę na widok tak harmonijnych kształtów?

Poruszyła się nagle i uniosła głowę. Zesztywniała, a w jej oczach błysnęło przerażenie. Uspokoiła się widząc, że ciągle leżę nieruchomo. Przypomniała sobie. Po raz pierwszy przez chwilę wytrzymała moje spojrzenie. Poczytywałem to sobie za osobisty sukces i uśmiechnąłem się, zapominając o niepokoju, jaki ubiegłego wieczoru wywołał u niej ten ziemski odruch. Tym razem nie zareagowała tak gwałtownie. Drgnęła i znowu ze-sztywniała, jakby szykując się do ucieczki, ale nie ruszyła się z miejsca. Ośmielony, uśmiechnąłem się jeszcze serdeczniej. Znow zadrżała, ale uspokoila się zaraz, a na jej twarzy ukazało się głębokie zdziwienie. Czyżby udało mi się ją oswoić? Zaryzykowałem i położyłem jej rękę na ramieniu. Jej ciało przebiegł dreszcz, ale nie poruszyła się. Byłem oszołomiony sukcesem. Moje zadowolenie jeszcze wzrosło, kiedy odniosłem wrażenie, że próbuje mnie naśladować.

Tak było rzeczywiście. Próbowwała uśmiechnąć się. Mięśnie jej delikatnej twarzy były napięte. Przychodziło jej to z wielkim trudem. Kilka razy ponowiła próbę, ale tylko bolesny grymas

przemknął jej po twarzy. Rezultat tego, zdawałoby się, nadludzkiego wysiłku naśladowania rzeczy tak prostej jak uśmiech był godny pożałowania. Wstrząśnięty i przepełniony współczuciem, jakie odczuwa się wobec upośledzonego dziecka, ścisnąłem ją za ramię i przybliżyłem twarz do jej twarzy. Musnąłem usta. W odpowiedzi potarła nosem o mój nos i polizała po policzku.

Byłem zbity z tropu, niezdecydowany. Na wszelki wypadek niezgrabnie zrobiłem to samo. W końcu to ja byłem obcym przybyszem i powinienem się dostosować do obyczajów panujących w systemie Betelgezy. Nova wyglądała na zadowoloną. Me bardzo wiedziałem co robić dalej. Obawiałem się, że nieopatrznie popełnię jakieś głupstwo z tymi moimi ziemskimi manierami. Nie posunęliśmy się dalej w próbach nawiązania porozumienia, bo nagle poderwał nas na nogi okropny hałas.

Dwaj tak samolubnie przeze mnie zapomniani towarzysze poderwali się także na równe nogi. Świtało. Nova skoczyła jak oszalała, zdradzając oznaki najwyższego przerażenia. Szybko pojąłem, że ten hałas był zaskoczeniem nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich mieszkańców lasu. Porzucili swoje kryjówki i zaczęli biegać w popłochu na wszystkie strony. To już nie była zabawa z poprzedniego dnia, ich krzyki wyrażały wielkie przerażenie.

Zgiełk, który przerwał tak gwałtownie leśną ciszę, ściał nam krew w żyłach, ale intuicyjnie wyczuwaliśmy, że leśni ludzie wiedzieli co im grozi i ich panika była wywołana zbliżaniem się jakiegoś określonego niebezpieczeństwa. Była to szczególna kakofonia szybkich uderzeń, głuchych jak dudnienie bębna, pomieszanych z innymi nieskoordynowanymi dźwiękami przypominającymi koncert na rondlach. Słyszać było także krzyki. One to właśnie wywarły na nas największe wrażenie, bo choć nie przypominały żadnego znanego języka, były niewątpliwie ludzkie.

Blask wschodzącego słońca oświetlił niezwykłą scenę: mężczyźni, kobiety i dzieci biegali na wszystkie strony, wpadając na siebie i popychając się. Niektórzy wspinali się na drzewa, jakby w poszukiwaniu schronienia. Hałas zbliżał się powoli. Dobiegał do nas ze strony, gdzie las był najgęstszy. Przyszło mi do głowy porównanie ze zgiełkiem, jaki czynią nadciągający długim zwartym szeregiem naganiacze biorący udział w wielkim polowaniu.

Odniosłem wrażenie, że starcy podjęli jakąś decyzję. Wydali całą serię szczęknięć, niewątpliwie sygnałów czy rozkazów, i puścili się pędem w kierunku przeciwnym do dobiegających hałasów. Pozostali poszli w ich ślady i przemknęli obok nas jak stado spłoszonych jeleni. Nova już miała pobiec za nimi, gdy nagle zawahała się i spojrzała na nas, przede wszystkim na mnie - jak mi się zdawało - i zajęczała żałośnie, co przyjąłem jako zachętę do ucieczki. Potem skoczyła i znikła.

Łomot nasilał się i wydało mi się, że słyszę trzask zarośli pod ciężkimi krokami. Przyznając, straciłem zimną krew. Rozsądek nakazywał zostać na miejscu i stawić czoła nadchodzącym, którzy wydawali z minuty na minutę wyraźniejsze, ludzkie okrzyki. Po doświadczeniach wczorajszego dnia ten straszliwy hałas zbyt działał mi na nerwy. Udzieliło mi się przerażenie Novy i innych. Bez zastanowienia, bez porozumienia z towarzyszami dałem nura w gęstwinę i zacząłem uciekać śladami dziewczyny.

Przebiegłem kilkaset metrów, ale nie udało mi się jej dogonić. Dopiero wtedy zorientowałem się, że tylko Levain podążał za mną. Wiek profesora nie pozwalał na takie wyczyny. Artur biegł obok mnie ciężko dysząc. Spojrzeliśmy po sobie i zawstydziliśmy się naszego zachowania. Już miałem zaproponować, żeby wrócić albo poczekać na Antelle'a, kiedy poderwały nas nowe odgłosy.

Tu już nie było mowy o pomyłce. Rozległy się strzały: jeden, drugi, trzeci, potem następne, w nieregularnych odstępach, czasem pojedyncze. Niekiedy dwa strzały następowały szybko po sobie, przypominając do złudzenia myśliwski dublet. Strzelano przed nami, z kierunku obranego przez uciekinierów. Podczas gdy zastanawialiśmy się, co robić dalej, szereg naganiaczy zbliżał się coraz

bardziej ze strony, skąd dobiegły nas pierwsze krzyki. Poczuliśmy się osaczeni. Nie wiem czemu, ale strzelanina wydała mi się mniej groźna, bardziej swojska niż ten piekielny zgiełk. Instynktownie rzuciłem się znów naprzód, kryjąc się jednak po krzakach i starając się robić jak najmniej hałasu. Artur pobiegł za mną.

W ten sposób dotarliśmy do miejsca, skąd rozlegały się strzały. Zwolniłem biegu. Prawie czołgając się posunąłem się jeszcze trochę. Artur za mną. Wspiąłem się na mały pagórek i zatrzymałem na szczycie ciężko dysząc. Zobaczyłem przed sobą kilka drzew i gąszcz niskich zarośli. Posuwałem się ostrożnie z nisko pochyloną głową. Nagle zamarłem, przykuty do ziemi widokiem, który przekraczał wszelkie ludzkie wyobrażenia.

IX

Obraz roztaczający się przed moimi oczami składał się z wielu elementów, groteskowych i tragicznych na przemian. Najpierw całą moją uwagę przykuł widok postaci stojącej trzydzieści kroków ode mnie i patrzącej w moją stronę.

O mało nie krzyknąłem ze zdziwienia. Tak, mimo przerażenia, mimo całego tragizmu sytuacji - znalazłem się przecież między myśliwymi a nagonką - zdumienie wzięło górę nad wszystkimi innymi uczuciami, kiedy zobaczyłem to stworzenie stojące na czatach i wypatrujące zwierzyny. Była to bowiem małpa, okazały goryl. Powtarzałem sobie raz po raz, że chyba zwariowałem, ale przecież nie miałem najmniejszej wątpliwości. Sam fakt obecności goryla na Sororze nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Zdumiewające było to, że małpa była starannie ubrana, a jeszcze bardziej niezwykła była swoboda, z jaką nosiła ubiór. Ta naturalność uderzyła mnie od pierwszego wejrzenia. Nie musiałem się długo przyglądać, aby nabrać pewności, że to zwierzę nie było wcale przebrane. Ten stan był dla niego czymś naturalnym, tak naturalnym jak nagość dla Novy i jej towarzyszy.

Goryl był ubrany tak samo jak wy czy ja. To znaczy, chciałem powiedzieć, tak jak bylibyśmy ubrani biorąc udział w wielkim oficjalnym polowaniu z nagonką, urządzonym dla korpusu dyplomatycznego czy innych ważnych osobistości. Nosił brązową kurtkę, która wyglądała, jakby wyszła spod igły najlepszego paryskiego krawca. Pod kurtką widać było sportową koszulę w kratę. Spodnie, lekko bufiaste nad kostką, opinały getry. Tu kończyło się podobieństwo: zamiast obuwia zobaczyłem grube, czarne rękawice.

Powiadam wam, to był najprawdziwszy goryl! Z kołnierzyka koszuli wyłaniała się wstrętna, jajowato zakończona głowa o rozplaszczonym nosie i wydatnych szczękach, pokryta czarną sierścią. Stał przede mną, lekko pochylony w pozycji myśliwego na stanowisku, ściskając strzelbę w długich rękach. Znajdował się na wprost mnie, po drugiej stronie szerokiej przecinki wyrąbanej w lesie, prostopadłej do kierunku posuwania się nagonki.

Wzdrygnął się nagle. Obaj jednocześnie posłyszeliśmy lekki szelest w krzakach, trochę na prawo ode mnie. Spojrzał w tę stronę podnosząc jednocześnie broń, gotowy do strzału. Z wysoka dojrzałem ruch zarośli, przez które przedzierał się na oślep jeden z uciekinierów. Zamiary małpy były tak oczywiste, że chciałem krzyknąć, ostrzec go. Nie miałem na to jednak ani siły, ani czasu: oto człowiek wypadł jak sarna na otwartą przestrzeń. Gdy znajdował się na środku przecinki, padł strzał. Mężczyzna podskoczył, zwałił się na ziemię i po paru konwulsyjnych drgawkach zastygł w bezruchu. Jednak zanim ta scena dotarła do mojej świadomości, mój wzrok przykuła jeszcze na chwilę postać goryla. Śledziłem zmiany na jego twarzy od momentu, kiedy posłyszał szelest, i dostrzegłem w niej szereg zaskakujących zmian: najpierw okrutny wyraz myśliwego tropiącego zwierzynę, potem - gorączkę, radość ze sportowego wyczynu, ale nade wszystko - ludzki charakter tej twarzy. Właśnie to było głównym powodem mojego zaskoczenia. W oczach tego zwierzęcia dostrzegłem błysk inteligencji, którego daremnie szukałem u ludzi.

Uświadamiając sobie moje położenie otrząsałem się z osłupienia. Na odgłos strzału zwróciłem oczy na ofiarę i byłem bezsilnym świadkiem jej przedśmiertnych drgawek. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że przecinka zasłana była ludzkimi ciałami. Nie mogłem już dłużej żywić wątpliwości co do znaczenia tej sceny. Sto kroków dalej stał jeszcze jeden goryl. Byłem świadkiem polowania z nagonką i brałem w nim udział, niestety! Brałem udział w tym niesamowitym polowaniu, gdzie myśliwymi stojącymi w regularnych odstępach były małpy, a tropioną zwierzyną - ludzie tacy jak ja: mężczyźni i kobiety, których nagie ciała podziurawione kulami, skrwawione, powykręcane w nienaturalnych pozach, pokrywały ziemię.

Nie mogłem znieść tego widoku i odwróciłem oczy. Wolałem już patrzeć na tego idiotycznego goryla, który stał na mej drodze. Postąpił właśnie krok naprzód i ujrzałem drugą małpę, trzymającą się trochę z tyłu, jak sługa za panem. Był to szympan - nieduży i chyba młody - ale jestem gotów przysiąc, że na pewno szympan. Ubrany był nie tak wyszukanie, w proste spodnie i koszulę, i jak się wkrótce zorientowałem, on również odgrywał swoją rolę w tym starannie zorganizowanym przedstawieniu. Myśliwy podał mu strzelbę i wziął od niego drugą, którą trzymał w pogotowiu. Szympans zręcznymi ruchami nabił broń nabojami wyjętymi z pasa błyszczącego w promieniach Betelgezy. Potem obaj zajęli swoje stanowiska.

Wszystko to wydarzyło się w tak krótkim czasie, że nie byłem w stanie ani zebrać myśli, ani zastanowić się nad sytuacją. Artur Levain, ledwo żywy ze strachu, nie mógł być mi w niczym pomocny. Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą, słyszeliśmy za sobą zbliżających się naganiaczy. Hałas stawał się ogłuszający. Byliśmy w potrzasku jak dzikie zwierzęta, jak te nieszczęsne stworzenia przemykające co chwila obok nas. Było ich o wiele więcej niż mogłem z początku przypuszczać, bo ciągle jeszcze wybiegali z lasu, by znaleźć tu niechybną śmierć.

A jednak nie wszyscy. Z dużym wysiłkiem opanowałem się na tyle, że zacząłem z wysokości pagórka obserwować zachowanie uciekinierów. Jedni, oszalali ze strachu, pędzili łamiąc gałęzie i wystawiali się na pewne strzały zaalarmowanych hałasem małp. Inni dawali dowody pewnej przezorności, jak stary, wielokrotnie osaczany odyniec, zdolny do różnych wybiegów. Ci skradali się niespostrzeżenie i zatrzymywali na skraju lasu, wypatrywali z zarośli najbliższego strzelca i czekali na moment, kiedy odwróci uwagę w inną stronę. Wtedy wyskakiwali i puszczali się biegiem przez aleję śmierci. Niektórym się udawało i nietknięci znikali w krzakach po drugiej stronie.

Może to właśnie była szansa ratunku. Kiwnąłem na Artura i podczołgałem się bezszelestnie aż do ostatniego krzaka. Tutaj ogarnęły mnie nedorzeczne skrupuły. Jak to! Ja, człowiek, mam stosować takie sztuczki, żeby okpić małpę? A gdyby tak wstać, podejść do zwierzaka i pałką przywołać go do porządku? Czyż nie było to jedyne wyjście godne człowieka? Nasilający się z tyłu zgiełk wybił mi z głowy te szalone zachcianki.

Polowanie dobiegało końca wśród piekielnej wrzawy. Naganiacze deptali nam już po piętach. Jeden z nich wynurzył się z zarośli. Był to ogromny goryl, wałący na oślep kijem po krzakach i wrzeszczący ile sił w płucach. Wywarł na mnie jeszcze silniejsze wrażenie niż uzbrojony myśliwy. Artur dzwonił zębami i dygotał na całym ciele. Spojrzałem znowu przed siebie, wyczekując na sposobną chwilę.

Mój nieszczęsny towarzysz przez swoją nieostrożność nieświadomie uratował mi życie. Stracił kompletnie głowę. Podniósł się i nie kryjąc się wcale pobiegł na oślep przed siebie, aż wydostał się na odkryty teren, prosto pod muszkę myśliwego. Nie dobiegł daleko. Po strzale zgiął się w pół i runął martwy wśród innych ciał zalegających ziemię. Nie traciłem czasu na opłakiwanie go. Cóż zresztą mógłbym dla niego zrobić? Niecierpliwie wyczekiwałem chwili, kiedy goryl odda strzelbę służącemu. Jak tylko wyciągnął rękę, wyskoczyłem i pobiegłem na drugą stronę przecinki. Jak we

śnie mignął mi goryl sięgający pośpiesznie po broń. Kiedy podniósł ją do ramienia, byłem już bezpieczny. Dosłyszałem jeszcze okrzyk, jakby przekleństwo, ale nie zastanawiałem się, co to było.

Wygrałem. Rozpierała mnie radość i łagodziła doznane upokorzenie. Biegłem jak mogłem najszybciej, byle dalej od miejsca rzezi. Nie słyszałem już krzyku naganiaczy. Byłem uratowany.

Uratowany! Nie doceniłem pomysłowości małp. Nie przebiegłem nawet stu metrów, kiedy uderzyłem pochyloną głową w jakąś przeszkodę niewidoczną wśród zarośli. Była to sieć o dużych oczkach, rozpięta nad ziemią i zaopatrzona w obszerne kieszenie. Wpadłem w jedną z nich i zaplątałem się dokładnie. Nie ja jeden. Sieć przegradzała szeroki wycinek lasu i tłum ściganych, którym udało się umknąć przed kulami, dał się złapać jak ja. Z obu stron słychać było szamotanie i oszalałe piski świadczące o rozpaczliwych wysiłkach wydostania się na wolność.

Kiedy uświadomiłem sobie, że jestem uwięziony, dałem się ponieść wściekłej furii, silniejszej niż strach, odbierającej zdolność myślenia. Postąpiłem dokładnie na odwrót niż nakazywał rozsądek i zacząłem się miotać na oślep, zaciskając węzły sieci jeszcze mocniej wokół ciała. W rezultacie byłem skrępowany tak dokładnie, że musiałem się uspokoić i zdać na łaskę i niełaskę nadchodzących małp.

X

Na widok zbliżającej się gromady ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie. Po okropnościach, których byłem świadkiem, sądziłem, że zaraz nastąpi powszechna rzeź.

Myśliwi - same goryle - kroczyli przodem. Zauważyłem, że nie mieli już broni, co obudziło we mnie isierkę nadziei. Za nimi szła służba i naganiacze - goryle i szympansy w równej liczbie. Wytworne maniere myśliwych zdradzały błękitną krew. Byli w świetnych humorach i odniosłem wrażenie, że nie mają złych zamiarów.

Nawiasem mówiąc, dziś oswoiłem się już z paradoksami tej planety do tego stopnia, że pisząc ostatnie zdanie nie zdawałem sobie sprawy, jak absurdalnie musi brzmieć. A jednak to prawda! Goryle wyglądały na arystokratów. Rozmawiały wesoło normalnym, artykułowanym językiem, a ich fizjonomie ani na chwilę nie traciły owego ludzkiego piętna, którego śladu na próżno szukałem u Novy. Mówi się: trudno! Co mogło się z nią stać? Dreszcz mnie przeszedł na wspomnienie tej alei śmierci. Rozumiałem już teraz jej wzburzenie na widok naszego szympansa. Obie rasy musiała dzielić śmiertelna nienawiść. Żeby się przekonać, wystarczyło popatrzeć na zachowanie uwięzionych ludzi. Na widok nadchodzących małp zaczęli miotać się gorączkowo, kopać i machać rękami, szczyrzyć zęby i z pianą na ustach gryźć w szale sznury sieci.

Nie zwracając uwagi na ten rwetes, myśliwi-goryle - złapałem się na tym, że nazywam ich w myśli panami - wydawali polecenia służbie. Dróżką, która biegła z drugiej strony siatki, podjechały spore, niewysokie wozy z klatką zamiast platformy. Upchnięto nas do nich po dziesięciu. Trwało to dość długo, bo jeńcy bronili się rozpaczliwie. Dwa goryle w skórzanych rękawicach chroniących przed ukąszeniem brały jednego po drugim, wypłatywały z sieci i wrzucały do klatki, zatraskując za nimi drzwiczki. Jeden z panów, wsparty niedbale na lasce, kierował całą operacją.

Kiedy przyszła moja kolej, chciałem coś powiedzieć, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ledwie zdążyłem otworzyć usta, kiedy jeden z posługaczy, jakby spodziewając się napaści, brutalnie położył mi na twarzy urękawiczoną łapę. Musiałem więc zamilknąć i po chwili, wrzucony jak worek do klatki, znalazłem się wśród tuzina mężczyzn i kobiet, zbyt jeszcze podnieconych, żeby zwracać na mnie uwagę.

Załadunek dobiegł końca. Goryl sprawdził zamknięcie klatki i poszedł zameldować swemu panu. Ten kiwnął ręką i las rozbrzmiał warkotem zapuszczanych silników. Każdy wóz był ciągnięty przez motorowy traktorek, którym kierowała małpa. Widziałem dokładnie kierowcę ciągnika jadącego za

nam. Był to jowialny z pozoru szympan w roboczym kombinezonie. Od czasu do czasu wykrzykiwał coś ironicznie pod naszym adresem, a kiedy silnik zwalniał obroty, słyszałem jak nuci jakąś melancholijną, nawet nie pozbawioną wdzięku melodię.

Pierwszy etap drogi był bardzo krótki. Po kwadransie jazdy wyboistą dróżką konwój wydostał się na otwartą przestrzeń i zatrzymał przed domem z kamienia. Byliśmy na skraju lasu, przed nami rozciągał się widok na rozległą równinę pociętą uprawnymi polami porośniętymi jakimś zbożem.

Dom był kryty czerwoną dachówką, miał zielone okiennice i szyld nad wejściem. Sprawiał wrażenie oberży. Szybko zorientowałem się, że było to miejsce myśliwskich spotkań. Małpice oczekiwały swoich mężów i władców, których samochody właśnie nadjeżdżały inną drogą. Panie gorylice siedziały kręgiem w fotelach ustawionych w cieniu wysokich drzew przypominających palmy i plotkowały. Jedna z nich popijała coś od czasu do czasu ze szklanki przez słomkę.

Zaciekawione wynikiem polowania, podeszły do naszych wózków ustawionych rzędem. Goryle w długich fartuchach wyładowywały z dwóch dużych ciężarówek ubite sztuki i układały w cieniu drzew.

Plon polowania był imponujący. I w tym przypadku małpy postępowały metodycznie. Układały zakrwawione zwłoki na plecach równym szeregiem, jedno obok drugich. Wśród okrzyków zachwytu zaczęły prezentować zwierzynę w jak najbardziej korzystny sposób. Wyciągały ręce ofiar wzdłuż ciała, otwierały zaciśnięte pięści ukazując wnętrze dłoni, wyrównywały nogi i zginały je w stawach, jakby chcąc im nadać mniej trupi wygląd, tu i ówdzie prostowały nienaturalnie skurczone kończyny, poprawiały skręcone szyje. Gładziły pieszczotliwie włosy, kobiet zwłaszcza, gestem myśliwego głaszczącego sierść ubitej przed chwilą zwierzyny.

Obawiam się, że nie jestem w stanie opisać, jak groteskowy i szatański zarazem był dla mnie ten widok. Czy dostatecznie mocno podkreśliłem, że poza wyrazem oczu ich wygląd był całkowicie i absolutnie malpi? Czy mówiłem o tym, jak poubierane na sportowo, aczkolwiek z wielkim wyszukaniem, gorylice tłoczyły się wokół najpiękniejszych sztuk, pokazywały je sobie palcami, gratulowały panom gorylom? Czy wspomniałem, jak jedna z nich wyjęła z torebki nożyczki i pochyłona nad jakimś ciałem ucięła kosmyk ciemnej czupryny, owinęła sobie wokół palca a potem przypięła szpilką do kapelusza, w czym naśladowały ją po chwili wszystkie inne?

Pokaz był skończony. Pozostały trzy szeregi starannie poukładanych ciał mężczyzn i kobiet, których złociste piersi wyzywająco sterczały ku monstrualnej gwiazdzie rozplamieniącej niebo. Odwróciłem się ze zgrozą i zobaczyłem nową postać, niosącą podłużne pudło umocowane na statywie. Jeszcze jeden szympan, w którym odgadłem fotografa mającego uwiecznić myśliwskie wyczyny dla małpiej potomności. Ceremonia trwała przeszło kwadrans. Najpierw goryle fotografowały się pojedynczo, przybierając efektowne pozy, to z nogą tryumfalnie opartą na ciele ofiary, to znów w zwartej grupie, obejmując się rękami za ramiona. Potem przyszła kolej na małpice, wdzięcznie pozujące na tle tej trupiarni. Żadna nie zapomniała wyeksponować należycie swojego przystrojonego kapelusza.

Wiało od tej sceny grozą przekraczającą wytrzymałość normalnego umysłu. Przez jakiś czas udawało mi się panować nad sobą, ale kiedy spojrzałem na ciało, na którym przysiadła jedna z tych samic, żądnych sensacyjnego zdjęcia, kiedy w twarzy trupa leżącego wśród innych rozpoznałem młodzieńcze, niemal dziecinne rysy mojego nieszczęsnego towarzysza Artura Levai-na - nie byłem w stanie pohamować się. I znowu moje napięcie rozładowało się w absurdalny sposób, harmonizujący z groteskową stroną tego makabrycznego przedstawienia. Ogarnęła mnie szalona wesołość i wybuchnąłem śmiechem.

Nie pomyślałem o moich towarzyszach niewoli. Nie byłem zdolny do myślenia! Zamieszanie

wywołane moim śmiechem przypomniawszy mi o ich obecności. Stanowiła ona dla mnie nie mniejsze zagrożenie niż sąsiedztwo małp. Groźnie wyciągnięte ręce uświadomiły mi niebezpieczeństwo. Stłumiłem śmiech i wtuliłem głowę w ramiona, ale nie wiem, czy nie zginąłbym uduszony i rozerwany na sztuki, gdyby małpy zwabione hałasem nie przywróciły brutalnie porządku. Wkrótce zresztą ogólna uwaga zwróciła się w inną stronę. W oberży zadźwięczał dzwonek zapowiadający porę obiadu. Goryle skierowały się do budynku małymi grupkami, rozmawiając wesoło. Fotograf zbierał tymczasem swoje akcesoria po zrobieniu jeszcze kilku zdjęć naszych klatek.

Nie zapomniano jednak o nas, o ludziach. Nie wiem, czego należało oczekiwać ze strony małp, ale zaopiekowanie się nami wyraźnie leżało w ich interesie. Zanim zniknęły we wnętrzu oberży, jeden z panów wydał polecenia gorylowi wyglądającemu na zarządzającego. Ten skierował się w naszą stronę, zebrał swoich i wkrótce przyniesiono nam wodę w wiadrach i miski z jedzeniem. Było to coś w rodzaju gęstej zupy. Nie byłem głodny, ale postanowiłem jeść, żeby nie opaść z sił. Podszedłem do naczynia, wołając którego przykucnęło kilku więźniów. Przysiadłem również i wyciągnąłem rękę. Spojrzeli spode łba, ale nie przeszkadzali mi, bo jedzenia było dosyć. Z przyjemnością przełknąłem kilka garści gęstej, zbożowej papki, nawet niezłej w smaku.

Dzięki łaskawości strażników nasz jadłospis wzbogacił się jeszcze. Naganiacze, którzy przedtem napędzili nam takiego strachu, teraz, po zakończeniu polowania, nie byli dla nas źli, o ile zachowywaliśmy się spokojnie. Spacerowali między klatkami i rzucali nam od czasu do czasu owoce, bawiąc się jednocześnie wywołanym zamieszaniem. Byłem nawet świadkiem sceny, które dała mi dużo do myślenia. Mała dziewczynka złapała owoc w locie, a jej sąsiad rzucił się na nią, chcąc go odebrać. Na to małpiszon wsadził dzidę między pręty i brutalnie odpędził mężczyznę, a dziecku dał drugi owoc, prosto do ręki. W ten sposób dowiedziałem się, że tym stworzeniom nie obce jest uczucie litości.

Po skończonym posiłku zarządzający zaczął ze swoimi pomocnikami zmieniać skład konwoju, przenosząc niektórych więźniów z jednej klatki do drugiej. Odniosłem wrażenie, że przeprowadzają jakąś selekcję, której zasad nie rozumiałem. Kiedy w końcu znalazłem się w gromadzie wyjątkowo urodziwych kobiet i mężczyzn, wmawiałem sobie, że chodziło tu o najbardziej reprezentacyjnych osobników. Odczułem jednocześnie gorzką pociechę na myśl, że małpy od pierwszego wejrzenia uznały mnie za godnego reprezentanta elity.

Wśród nowego towarzystwa z wielką radością ujrzałem znów Novę. Była to dla mnie niespodzianka. Dziękowałem niebiosom Betelgezy, że pozwoliły jej ujść cało z masakry. O niej myślałem przyglądając się długo ofiarom i cierpiąc z obawy, że w stosie trupów rozpoznam jej cudne ciało. Miałem wrażenie, że odnalazłem drogą mi istotę i znowu, tracąc głowę, rzuciłem się ku niej z otwartymi ramionami. Było to czyste szaleństwo. Przeraziła się. Czyżby zapomniała o wspólnie spędzonej nocy? Czyżby to piękne ciało było zupełnie bezduszne? Spięta w sobie, wyciągnęła palce jak szpony i chyba mnie udusiła, gdybym się w porę nie zatrzymał.

Znieruchomiałem więc, a ona uspokoiła się dość szybko. Położyła się w kącie, a ja chcąc nie chcąc uczyniłem to samo. Reszta więźniów poszła za naszym przykładem. Wyglądali teraz na zmęczonych, otepiałych i pogodzonych z losem.

Tymczasem małpy przygotowywały konwój do drogi. Na klatki narzucono plandeki, opuszczając je do połowy krat, aby dochodziło do nas światło. Wydawano rozkazy, uruchamiano silniki. Ruszyliśmy z dużą szybkością. Mknąłem ku nieznanemu przeznaczeniu, przerażony tym, co mogło mnie jeszcze spotkać na planecie Soror.

XI

Byłem zdruzgotany. Wydarzenia dwóch ostatnich dni załamały mnie fizycznie i psychicznie,

pograżyły w tak głębokiej rozpaczy, że nie byłem w stanie opłakiwać moich towarzyszy. Nie docierało nawet do mnie w pełni, czym było dla nas zniszczenie szalupy.

Ściemniało się bardzo szybko. Jechaliśmy przez całą noc. Z ulgą przyjąłem zapadający zmrok, a później nieprzeniknioną ciemność, w której poczułem się nareszcie sam. Usiłowałem uchwycić sens wydarzeń, których byłem świadkiem. Odczuwałem potrzebę intensywnego myślenia, aby otrząsnąć się z obezwładniającej rozpaczy, upewnić się, że jestem człowiekiem przybyłym z Ziemi, rozumną istotą szukającą logicznego wytłumaczenia niepojętych na pozór wybryków natury, a nie zaszczytym przez cywilizowane małpy zwierzęciem.

Jeszcze raz przeanalizowałem swoje wszystkie, często podświadome, spostrzeżenia. Jedno było pewne: te małpy - samce i samice, goryle i szympansy - nie miały w sobie nic śmiesznego. Wspomniałem już, że w niczym nie przypominały poprzebieranych małp, jakie u nas pokazuje się w cyrku. Na Ziemi widok szympansicy w kapeluszu na głowie jest dla niektórych ludzi zabawny, dla mnie - jest przykry. Tutaj nic z tych rzeczy. Kapelusz i głowa pasowały doskonale do siebie, a ruchy małp były najnaturalniejsze w świecie. Małpiszon sączący napój przez słomkę wyglądał jak prawdziwa dama. Przypominam sobie myśliwego, który wyciągnął z kieszeni fajkę, nabił ją starannie i zapalił. Mówię wam, jego ruchy były tak swobodne, że nie widziałem w tym nic szokującego. Długo nad tym wszystkim rozmyślałem, aby w końcu dojść do paradoksalnych wniosków i chyba po raz pierwszy, odkąd znalazłem się w niewoli, pożałowałem, że nie ma przy mnie profesora. Jego mądrość i wiedza na pewno pomogłyby znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania. Co się z nim stało? Na pewno nie było go wśród ubitej zwierzyny. Czy znajdował się między więźniami? Niewykluczone, nie widziałem wszystkich. Nie śmiałem żywić nadziei, że jest wolny.

Mimo moich ograniczonych możliwości usiłowałem zbudować hipotezę, która prawdę mówiąc nie bardzo mnie zadowalała. Możliwe, że cywilizowanym mieszkańcom Sorory, których miasta widzieliśmy z szalupy, udało się tak wytresować małpy, że ich zachowanie nie różniło się od zachowania istot rozumnych. Wymagałoby to cierplivej selekcji, ogromnej pracy nad wieloma pokoleniami. W końcu na Ziemi niektóre szympansy też potrafią zadziwić swoimi umiejętnościami, a sam fakt posługiwania się mową nie jest może czymś aż tak nadzwyczajnym. Przypomniała mi się dyskusja na ten temat z pewnym specjalistą. Powiedział mi wtedy, że wielu poważnych uczonych poświęciło wiele lat życia usiłując nauczyć małpy ludzkiej mowy. Ich zdaniem, budowa małp nie stoi temu na przeszkodzie. Na razie wysiłki okazały się daremne, ale uczeni nie rezygnują, utrzymując, że całe niepowodzenie wypływa z faktu, że małpy nie chcą mówić. Czyżby pewnego dnia zechciały właśnie na planecie Soror? Jeśli tak, pozwoliło to hipotetycznym mieszkańcom Sorory wykorzystać ich umiejętności do wykonywania niektórych nieskomplikowanych czynności, takich jak to polowanie, w trakcie którego zostałem schwytyany.

Uczepiłem się kurczowo tej możliwości, nie dopuszczając myśli o innym, o wiele prostszym wytłumaczeniu. Świadomość, że na planecie istnieją prawdziwe rozumne istoty - to znaczy ludzie tacy jak ja, z którymi mógłbym się porozumieć - była dla mnie jedynym ratunkiem.

Ludzie! Do jakiej rasy należały więc istoty więzione i zabijane przez małpy? Do jakichś pierwotnych plemion? Jeżeli tak było, to jakże okrutni musieli być władcy tej planety, skoro tolerowali, a może sami organizowali podobne masakry!

Jakaś czołgająca się ku mnie postać przerwała tok moich myśli. To Nova. Naokoło wszyscy więźniowie leżeli grupkami na podłodze. Po chwili wahania przytuliła się do mnie zwinięta w kłębek, tak jak wczoraj. Na próżno usiłowałem doszukać się w jej spojrzeniu cienia ciepłego, przyjaznego uczucia. Odwróciła głowę i po chwili zamknęła oczy. Mimo to sama jej obecność podnosiła mnie na duchu. Zasnąłem w końcu przytulony do niej, starając się nie myśleć o jutrze.

XII

Udało mi się jakoś przespać całą noc, może w odruchu samoobrony przed natręctwem zbyt przygnębiających myśli. We śnie dręczyły mnie gorączkowe koszmary, w których pojawiała się Nova pod postacią ogromnego, oplatającego mnie węża. Kiedy rano otworzyłem-oczy, już nie spała. Odsunęła się trochę i obserwowała mnie tym swoim nieodmiennie bezmyślnym spojrzeniem.

Konwój zwolnił i zorientowałem się, że wjeżdżamy do miasta. Więźniowie podnieśli się i przykucnąwszy przy kracie wyglądali spod brzegu plandeki. Widok, jaki ukazał się ich oczom, rozbudził w nich na nowo wczorajszy niepokój. Ja również przytknąłem twarz do kraty, bo po raz pierwszy od wyładowania na Sororze miałem okazję zobaczyć cywilizowane miasto.

Jechaliśmy dość szeroką ulicą obrzeżoną chodnikami. Przyglądałem się niespokojnie przechodniom: to były małpy. Jakiś handlarz podnosił żaluzje swojego sklepu i odwrócił się, przyglądając się nam ciekawie: to też była małpa. Wpatrywałem się w kierowców mijających nas samochodów. Byli po ziemsku, modnie ubrani. I to też były małpy.

Zacząłem tracić nadzieję na spotkanie cywilizowanych ludzi i ostatni etap podróży upłynął mi w nastroju ponurego zniechęcenia. Znowu zwolniliśmy. Zorientowałem się, że konwój rozdzielił się w nocy i składał się teraz tylko z dwóch pojazdów. Reszta pojechała widać inną drogą. Skręciliśmy w bramę wjazdową i zatrzymaliśmy się na dziedzińcu. Otoczył nas tłum małp, które zaczęły przywracać spokój wśród coraz bardziej podnieconych więźniów.

Dziedziniec otaczały wielopiętrowe budynki z rzędami identycznych okien. Całość robiła wrażenie szpitala. Utwierdziłem się w tym przekonaniu na widok postaci w białych fartuchach idących w naszą stronę. To również były małpy.

Wszystko to były małpy, goryle i szympany. Pomagały strażnikom w wyładunku. Wyciągały nas po kolei z klatki, pakowały do dużego worka i zanosiły do wnętrza budynku. Nie stawiałem oporu i dałem się unieść dwóm gorylom w bieli. Mijały minuty, miałem wrażenie, że przemierzamy długie korytarze, wchodzimy po schodach. W końcu położyli mnie bez ceremonii na podłodze, wyciągnęli z worka i znowu wepchnęli do klatki. Tym razem klatka nie była ruchoma. Podłoga była wysłana słomą. Jeden z goryli starannie zaryglował drzwi i zostałem sam.

Pomieszczenie, w którym się znajdowałem, zawierało wiele podobnych klatek, ustawionych w dwu rzędach przedzielonych szerokim przejściem. Większość była zajęta: jedne przez moich towarzyszy z łapanki, inne przez mężczyzn i kobiety, którzy widocznie byli więzieni od dawna, bo wyróżniali się apatycznym zachowaniem. Podobnie jak ja, nowi byli pozamykani pojedynczo, starzy na ogół parami. Wtykając nos między kraty dojrzałem przy końcu przejścia klatkę większą od innych, a w niej gromadę dzieci. W przeciwieństwie do dorosłych były bardzo podekscytowane naszym przybyciem. Wymachiwały rękami, przepychały się, próbowały trząść kratami pokrzykując piskliwie, jak kłótniwe małpiątka.

Goryle wróciły z następnym workiem i ukazała się Nova. Znowu odczułem ulgę patrząc, jak ją lokują w klatce naprzeciwko. Broniła się, jak mogła, próbowała gryźć i drapać, a kiedy zatrzaśnięto drzwi, rzuciła się naprzód usiłując wyłamać pręty, zgrzytając zębami i zawodząc, aż się serce krajało. Trwało dobrą minutę, zanim mnie zobaczyła. Znieruchomiała i wyciągnęła szyję, zaskoczona. Uśmiechnąłem się do niej nieśmiało i pomachałem lekko ręką. Wezbrała we mnie radość, gdy zobaczyłem, jak niezdarnie usiłuje mnie naśladować.

Powrót goryli w białych kitlach wyrwał mnie z zamyślenia. Rozładunek musiał być zakończony, bo tym razem małpy popychały wózek z pożywieniem i wiadrami z wodą. Zaczęły rozdzielać jedzenie i w klatkach natychmiast zapanował spokój.

Przyszła moja kolej. Jeden goryl pilnował wejścia, a drugi wszedł do klatki i postawił przede

mną glinianą miskę z jakąś papką, owoce i wiadro. Postanowiłem uczynić co w mojej mocy, aby nawiązać z małpami kontakt, wszystko bowiem wskazywało na to, że są jedynymi rozumnymi i cywilizowanymi istotami na tej planecie. Goryl nie wyglądał groźnie. Widząc, że jestem spokojny, poklepał mnie nawet poufale po ramieniu. Spojrzałem mu prosto w oczy i kładąc rękę na piersi skłoniłem się ceremonialnie. Kiedy się wyprostowałem, na jego twarzy zobaczyłem wielkie zaskoczenie. Zabierał się już do wyjścia, ale stanął niezdecydowany i coś krzyknął. A więc zauważyli mnie wreszcie. Chciałem wzmocnić wrażenie i pokazać wszystko, na co mnie stać, więc powiedziałem pierwsze lepsze zdanie, jakie mi wpadło do głowy:

- Jak się pan miewa? Jestem człowiekiem z Ziemi. Odbyłem długą podróż.

Sens nie miał najmniejszego znaczenia. Wystarczyło powiedzieć byle co, żeby wiedział, kim jestem naprawdę. Niewątpliwie dopiąłem swego. Nigdy jeszcze na małpiej twarzy nie malowało się takie zdumienie. Obaj stali z zapartym tchem i rozdziawionymi gębami. Po chwili zaczęli półgłosem rozmawiać z ożywieniem, ale rezultat nie był taki, jakiego się spodziewałem. Przyglądając mi się podejrzliwie, goryl wycofał się pośpiesznie z klatki i zamknął ją wyjątkowo starannie. Obie małpy patrzyły na mnie przez chwilę, po czym wybuchnęły gromkim śmiechem. Musiałem rzeczywiście stanowić okaz jedyny w swoim rodzaju, bo zwierzęta nie przestawały bawić się moim kosztem. Aż im łzy pociekły z oczu, a jeden postawił nawet kociołek, który trzymał w ręku, żeby wyciągnąć chusteczkę.

Moje rozczarowanie było tak wielkie, że wpadłem w straszliwą furję. Zacząłem trząść kratami, szczerzyć zęby i wymyślać gorylom we wszystkich znanych mi językach. Kiedy wyczerpałem cały repertuar obelg, wrzeszczałem dalej, ale jedyną reakcją na to wszystko było wzruszenie ramionami.

Mimo wszystko udało mi się zwrócić na siebie uwagę. Goryle poszły sobie, ale po drodze odwracały się jeszcze kilkakrotnie, żeby zobaczyć, co robię. Kiedy uspokoiłem się w końcu wyczerpany, jeden wyjął z kieszeni notes i zapisał coś, notując najpierw starannie znak z tabliczki umieszczonej na szczycie klatki, prawdopodobnie mój numer.

Poszli wreszcie. Inni więźniowie, przez chwilę zaniepokojeni moim wybuchem, zabrali się z powrotem do jedzenia. Mnie też nie pozostawało nic innego, jak zjeść coś i wypocząć, czekając na lepszą okazję do ujawnienia mojej szlachetnej osobowości. W klatce naprzeciwko Nova przestawała od czasu do czasu przeżuwać i rzucała mi ukradkowe spojrzenia.

XIII

Przez resztę dnia pozostawiono nas w spokoju. Wieczorem po kolejnym posiłku goryle zgasiły światło i zostaliśmy sami. Mało spałem tej nocy. Nie dlatego, że klatka była niewygodna - słomiane posłanie było wystarczająco miękkie - ale ciągi-rozmyślałem nad sposobem porozumienia się z małpami. Przysiągłem sobie zachować spokój za wszelką cenę i cierpliwie, niezmordowanie czatować na każdą okazję udowodnienia im, że jestem istotą rozumną. Dwaj dozorczy, z którymi miałem dotąd do czynienia, to prawdopodobnie ograniczeni, podrzędni pracownicy, niezdolni do zrozumienia moich intencji, ale poza nimi musiały być i inne, reprezentujące wyższy poziom, małpiszony.

Na drugi dzień rano okazało się, że miałem pewne szansę. Nie spałem już od godziny. Większość moich towarzyszy krążyła w kółko po klatce, jak to robi wiele zwierząt w niewoli. Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie jestem wyjątkiem i od dłuższego czasu zachowuję się tak samo, zrobiło mi się głupio. Usiadłem więc przy kracie, starając się przyjąć postawę najbardziej ludzką i myślącą, na jaką mnie było stać. W tym momencie weszli obaj dozorczy w towarzystwie kogoś nieznanego. Była to szympan-sica. Sądząc po służalczym zachowaniu goryli, musiała piastować jakieś odpowiedzialne stanowisko w tej instytucji.

Z pewnością zdali jej sprawozdanie z mojego postępowania, bo z miejsca spytała o coś jednego z nich, a ten wskazał na mnie. Skierowała się prosto w moją stronę.

Przyglądałem się jej uważnie. Ubrana była także w biały fartuch z paskiem opinającym talię, ale o wiele lepiej skrojony. Krótkie rękawy ukazywały długie, zwinne ręce. Uderzyło mnie od razu jej niezwykle żywe i inteligentne spojrzenie. Była to dobra wróżba na przyszłość. Wydała mi się bardzo młoda, mimo małych zmarszczek wokół białego pyszczka. W ręku trzymała skórzaną teczkę.

Stała przed klatką i wyjmując z teczki zeszyt przyglądała mi się bacznie.

- Dzień dobry, madame - rzekłem kłaniając się.

Powiedziałem to bardzo spokojnie. Na twarzy szympancicy odbiło się wielkie zdziwienie, zachowała jednak powagę. Jednym stanowczym gestem uciszyła chichoczące goryle.

- Madame, czy może mademoiselle - ciągnąłem dalej, ośmielony - przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach i że stoję przed panią w takim stroju. Proszę mi wierzyć, że nie przywykłem...

Ciągle tym samym uprzejmym tonem plotłem jeszcze jakieś głupstwa, dobierając słowa pasujące do przyjętego tonu. Kiedy zamilkłem, kończąc przemówienie najmiłszym uśmiechem, jej zdziwienie przeszło w osłupienie. Zatrzepotała rękami i zmarszczyła czoło. Było jasne, że gorączkowo szukała rozwiązania zawilego problemu. Odpowiedziała mi jednak uśmiechem i intuicyjnie wyczułem, że zaczyna coś podejrzewać.

Tymczasem ludzie z innych klatek nie okazali tym razem złości na dźwięk mego głosu, ale zaczęli zdradzać pewne zainteresowanie. Jeden po drugim przerywali swój opętańczy taniec i z twarzami przyklejonymi do kraty śledzili nas uważnie. Tylko Nova ciągle miotła się z furją po klatce.

Szympancica wyjęła z kieszeni pióro i zanotowała kilka uwag w zeszycie. Podniosła głowę i napotykając moje niespokojne spojrzenie uśmiechnęła się znowu. Ośmielony jeszcze bardziej, pozwoliłem sobie na kolejną demonstrację przyjaznych uczuć. Przez kratę wyciągnąłem do niej otwartą dłoń. Goryle poderwały się, chcąc interweniować. Po krótkiej chwili wahania szympancica zdecydowała się jednak, uspokoiła dozorców i nie spuszczać ze mnie oka wyciągnęła kosmatą, lekko drżącą łapę. Nie poruszyłem się. Podeszła bliżej i położyła swoją nienaturalnie wydłużoną dłoń na mojej. Poczułem, jak drgnęła. Nie zrobiłem żadnego ruchu, który mógłby ją przestraszyć. Poklepała mnie po ręce, pogładziła po ramieniu i z triumfalną miną odwróciła się do dozorców.

Pełen nadziei, utwierdzałem się w przekonaniu, że zaczyna mnie doceniać. Widząc jak rozkazującym tonem wydaje polecenia jednemu z goryli, zgłupiałem na tyle, że wyobraziłem sobie, iż ten za chwilę otworzy klatkę i wypuści mnie z przeprosinami. Niestety! O tym nie było mowy! Strażnik poszperał w kieszeni, wyciągnął mały, biały przedmiot i podał go szefowej. Wsunęła mi go w dłoń z czarującym uśmiechem. Była to kostka cukru.

Kostka cukru! Brutalnie ściągnięty z obłoków na ziemię, poczułem się tak zawiedziony i bezsilny, że o mało nie rzuciłem jej w twarz tego upokarzającego datku. W porę przypomniałem sobie o moich rozsądnych postanowieniach i zmusiłem się do zachowania spokoju. Wziąłem cukier, ukloniłem się i schrupałem go z bardzo inteligentną miną.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Zirą. Później się dowiedziałem, że tak właśnie się nazywała. Była kierowniczką naszego oddziału. Mimo rozczarowania obiecywałem sobie wiele po jej zachowaniu i podświadomie czułem, że uda nam się nawiązać kontakt. Długo rozmawiała z dozorcami i wydawało mi się, że przekazuje im instrukcje dotyczące mojej osoby. Potem kontynuowała swój obchód, odwiedzając lokatorów pozostałych klatek. Oglądała uważnie każdego z nowo przybyłych i robiła notatki, ale bardziej lakoniczne, niż w moim przypadku. Nie ośmieliła się dotknąć żadnego z nich. Gdyby to zrobiła, chyba byłbym zazdrosny. Poczułem się dumny, że jestem

kimś wyjątkowym, zasługującym na specjalne traktowanie. Kiedy zobaczyłem, jak zatrzymuje się przed klatką z dziećmi i im również rzuca kawałki cukru, poczułem, że wzbiera we mnie gwałtowna niechęć do Ziry, nie mniejsza od niechęci okazywanej przez Novę. Moja towarzyszka najpierw wyszczerzyła na szympansicę zęby, a potem ułożyła się z wściekłością w głębi klatki i odwróciła do mnie plecami.

XIV

Następny dzień niczym nie różnił się od poprzedniego. Małpy nie zajmowały się nami poza porą karmienia. Zachodziłem w głowę, co to może być za dziwna instytucja. Wyjaśniło się wszystko nazajutrz, kiedy poddano nas serii testów. Na ich wspomnienie jeszcze do dziś odczuwam upokorzenie, choć wtedy traktowałem je jako rozrywkę.

Pierwszy test wydał mi się z początku dość bezsensowny. Jeden dozorca podszedł do mnie, drugi zajęty był przy innej klatce. Mój goryl jedną rękę krył za plecami, a w drugiej trzymał gwizdek. Spojrzał na mnie, jakby chciał przyciągnąć moją uwagę, po czym wsadził gwizdek do gęby i wydał całą serię przenikliwych świstów. Gwizdał dobrą minutę, wyciągnął drugą rękę schowaną dotąd za plecami i pokazał mi ostentacyjnie banana, przysmak wszystkich ludzi, którego smak miałem już okazję docenić. Trzymał owoc przede mną i przyglądał mi się uważnie.

Wyciągnąłem rękę, ale był za daleko. Goryl ani drgnął. Wyglądał na zawiedzionego, jakby oczekiwał innej reakcji. Po jakimś czasie znudził się, schował z powrotem owoc i od nowa zaczął gwizdać. Byłem niespokojny, a jednocześnie zaciekawiony tymi wyglupami. Zaczynałem już tracić cierpliwość, kiedy znowu zaczął wymachiwać bananem, wciąż poza moim zasięgiem. Opanowałem się, próbując odgadnąć, czego ode mnie chce, bo wydawał się coraz bardziej zdziwiony, jakby moje zachowanie było nienormalne. Zrobił jeszcze pięć czy sześć prób i zniechęcony przeszedł do następnego.

Poczułem się wyraźnie zawiedziony, kiedy zobaczyłem, że tamten dostał banan już po pierwszej próbie, tak samo kolejny więzień. Zacząłem baczniej obserwować poczynania drugiego goryla przy rzędzie klatek po drugiej stronie przejścia. Kiedy przyszła kolej na Novę, nie uroniłem najmniejszego szczegółu jej zachowania. Goryl zagwizdał i pokazał banana. Dziewczyna natychmiast zakręciła się niespokojnie, poruszyła szczękami i...

Nagle rozjaśniło mi się w głowie. Nova na widok przysmaku zaczęła ślinić się obficie jak pies, któremu pokazano kość. O to właśnie chodziło gorylowi. Dzisiejszy program został wyczerpany. Nova dostała upragniony owoc, a on poszedł dalej.

Wreszcie zrozumiałem. Nawet byłem z tego dumny, daję słowo. Studiowałem kiedyś biologię, więc prace Pawiowa nie miały dla mnie tajemnic. Odruchy, które Pawłów badał u psów, tutaj sprawdzano na ludziach. Ja, tak ogłupiały przed chwilą, mimo całego mojego rozumu i wykształcenia, nie tylko rozumiałem teraz sens tego testu, ale przewidywałem, jaki będzie dalszy ciąg. Przez kilka następnych dni małpy będą prawdopodobnie postępowały w następujący sposób: gwizdek, potem demonstracja ulubionego pożywienia, wywołująca ślinienie u badanego okazu. Po pewnym czasie sam dźwięk gwizdka wywoła ten sam efekt. Mówiąc językiem naukowym, ludzie wykształcą w sobie odruch warunkowy.

Nie mogłem się nacieszyć swoją bystrością i postanowiłem się nią popisać nie tracąc ani chwili. Mój goryl skończył właśnie obchód i przechodził obok, więc na wszelkie sposoby zacząłem zwracać na siebie uwagę. Trząsałem kratami, wymachiwałem rękami pokazując na usta. Wreszcie raczył powtórzyć doświadczenie. Już po pierwszym gwizdku, na długo zanim pokazał owoc, zacząłem się ślinić. Tak bardzo chciałem okazać mu swoją inteligencję, że ja, Ulisses Merou, zacząłem się ślinić. Śliniłem się z pasją, śliniłem jak szalony, jakby moje życie od tego zależało.

Goryl był, prawdę mówiąc, wyraźnie zbity z tropu. Zawołał swojego kolegę i, podobnie jak wczoraj, długo się naradzali. Nietrudno się było domyśleć, jakim torem przebiegało rozumowanie tych tępaków: oto człowiek, który przed chwilą nie wykazywał żadnych odruchów i który ni stąd, ni z owad demonstruje odruch warunkowy, co w przypadku innych ludzi wymagało długiego czasu i wielkiej cierpliwości! Aż litość brała na widok tych tępych głów, które nie dopuszczały jedynej możliwej przyczyny tego nagłego postępu: świadomości. Byłem pewny, że Zira okazałaby się bardziej błyskotliwa.

Tymczasem ani moje zdolności, ani gorliwość nie wywołały oczekiwanego skutku. Goryle poszły sobie, a jeden pogryzał po drodze banana, którego w końcu nie dostałem. Bo i po co, skoro i bez tego cel został osiągnięty.

Nazajutrz pojawili się z innymi przyrządami. Jeden niósł dzwonek, a drugi popychał przed sobą wózek z aparatem wyglądającym na prądnicę. Już wiedziałem, na czym polegają oczekujące nas doświadczenia, więc tym razem zrozumiałem, o co chodzi, zanim się wszystko zaczęło.

Na pierwszy ogień poszedł sąsiad Novy, wysoki dryblas o wyjątkowo tępym spojrzeniu. Wstał i obiema rękami ujął za pręty, tak jak robiliśmy wszyscy na widok nadchodzących dozorców. Jeden zaczął potrząsać dzwonkiem, a tymczasem drugi podłączył kabel do kraty. Kiedy dzwonienie rozlegało się już dosyć długo, goryl zakręcił korbą aparatu i mężczyzna odskoczył w tył z żalnym krzykiem.

Poddawali go temu doświadczeniu wielokrotnie. Przywabiany owocami, człowiek powracał za każdym razem do kraty. Wiedziałem, że dążą do tego, żeby odskakiwał na sam dźwięk dzwonka, zanim porazi go prąd (jeszcze jeden odruch warunkowy). Tego dnia nie udało im się, gdyż psychika tego osobnika nie była na tyle rozwinęta, by mógł ustalić związek między przyczyną i skutkiem.

Pokpiwając sobie w duchu czekałem niecierpliwie na moją kolej, chcąc im pokazać różnicę między instynktem a inteligencją. Na dźwięk dzwonka puściłem natychmiast kratę i cofnąłem się na środek klatki, przyglądając im się z drwiącym uśmiechem. Goryle zmarszczyły brwi. Nie śmiały się już tym razem. Po raz pierwszy chyba mnie podejrzewały, że się z nich nabijam.

Mimo wszystko zdecydowały się powtórzyć doświadczenie, w czym przeszkodziło im pojawienie się nowych gości.

XV

Trzy postacie zbliżały się przejściem między klatkami: szym-pansica Zira i jeszcze dwie małpy, z których jedna musiała być ważną osobistością.

Był to orangutan, pierwszy spotkany na Sororze przedstawiciel tego gatunku. Niższy od goryli, mocno pochylony, ręce miał stosunkowo długie i idąc opierał się na nich, jak na dwóch laskach, co rzadko widywało się u innych małp. Z długą, płową sierścią okalającą głowę tkwiącą głęboko w ramionach i z wyrazem głębokiej medytacji zastygłym na twarzy przypominał mi starego arcykapłana, czcigodnego i dostojnego. Jego nie pierwszej świeżości ubiór także wyróżniał go wśród innych. Miał na sobie długi, czarny surdut z czerwoną gwiazdą w klapie i spodnie w biało-czarne prążki.

Mała szympansica niosła za nim ciężką teczkę. Wyglądała na jego sekretarkę. Chyba nikogo już nie dziwi, że przy każdej okazji zwracam uwagę na sposób bycia i wyrażania się charakterystyczny dla tych małpisonów. Przysięgam, że każdy rozsądny człowiek doszedłby do tego samego wniosku, iż chodzi tu o poważnego naukowca i jego skromną sekretarkę. Ich przybycie pozwoliło mi jeszcze raz stwierdzić istnienie u tych zwierząt poczucia hierarchii. Zira okazywała szefowi wyraźny szacunek. Oba goryle pośpieszyły mu na spotkanie, gdy tylko go ujrzały, i pokłoniły się bardzo nisko. Orangutan odpowiedział im zdawkowym skinieniem ręki.

Skierowali się prosto do mojej klatki. Czyż nie byłem najciekawszym okazem w tym stadzie?

Powitałem dostojnika bardzo przyjaznym uśmiechem i zwróciłem się do niego pom-patycznym tonem:

- Drogi orangutanie - rzekłem - jakże jestem szczęśliwy, że nareszcie mam okazję stanąć przed osobą, z której emanuje mądrość i inteligencja! Jestem pewien, że dojdziemy obaj do porozumienia, ty i ja.

Na dźwięk mojego głosu czcigodny starzec drgnął. Drapiąc się za uchem, podejrzliwym wzrokiem badał klatkę węsząc jakiś podstęp. Zira zabrała wtedy głos i przeczytała nauki, jakie sporządziła na mój temat. Obstawała przy czymś uparcie, ale orangutan wyraźnie nie dawał się przekonać. Wygłosił dwa czy trzy patetyczne zdania, wzruszył parę razy ramionami, potrząsnął głową, wreszcie założył ręce do tyłu i zaczął spacerować po korytarzu. Przechodząc obok mojej klatki obrzucał mnie niezbyt przyjaznym spojrzeniem. Pozostałe małpiszony czekały na dalsze instrukcje w milczeniu pełnym szacunku.

Zachowywały w każdym razie pozory szacunku. Zważyłem w jego szczerość, gdy uchwyciłem ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenie, jakie jeden z goryli rzucił swemu koledze. Nie było wątpliwości: nabijali się z szefa. Na ten widok, rozgoryczony jego stosunkiem do mnie, wpadłem na pomysł odegrania małej scenki, która powinna go przekonać o mojej inteligencji. Zacząłem przemierzać klatkę wzdłuż i wszerz naśladowując jego krok, przygarbiony, z rękami do tyłu, ze zmarszczonym czołem, pogrążony w głębokiej medytacji.

Goryle dusiły się ze śmiechu i nawet Zira nie mogła zachować powagi. Sekretarka musiała wsadzić pyszczek do teczki, chcąc ukryć rozbawienie. Byłem dumny ze swojego popisu, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że może on mieć niebezpieczne konsekwencje. Zauważywszy moje zachowanie, orangutan wpadł w złość. Rzucił ostrym tonem parę słów, przywołując natychmiast wszystkich do porządku. Stał przede mną i zaczął sekretarce dyktować swoje spostrzeżenia.

Dyktował bardzo długo, podkreślając każde zdanie efektownym gestem. Zaczynałem już mieć dosyć jego ślepego uporu i postanowiłem dać mu jeszcze jeden dowód moich możliwości. Wyciągnąłem rękę w jego stronę i powiedziałem dobitnie:

- Mi Zaius.

Zauważyłem, że wszyscy podwładni zwracają się do niego tymi słowami. "Zaius", jak dowiedziałem się potem, było to imię dostojnika, "mi" - zaszczytny tytuł.

Mały osłupiał. Teraz już daleko im było do śmiechu. Zira wydała się szczególnie zakłopotana, kiedy wskazując na nią palcem powiedziałem: Zira. To imię również zapamiętałem, a mogło odnosić się tylko do niej. Jeśli chodzi o Zaiusa, był bardzo zdenerwowany i znów zaczął spacerować po korytarzu potrząsając głową z niedowierzaniem.

Uspokoił się w końcu i zarządził powtórzenie w jego obecności wszystkich testów, którym poddawano nas wczoraj. Poradziłem sobie bez trudu. Śliniłem się na pierwszy gwizdek. Skoczyłem do tyłu na dźwięk dzwonka. Drugi test kazał powtórzyć dziesięć razy, dyktując jednocześnie swoje niekończące się komentarze.

Wreszcie przyszło natchnienie. Kiedy goryl potrząsał dzwonkiem, odczepiłem od kraty kabel elektryczny i odrzuciłem go na zewnątrz. Trzymałem się dalej prętów nie ruszając się z miejsca, a dozorca, który nie zauważył mojego manewru, daremnie kręcił korbą unieszkodliwionego aparatu.

Byłem bardzo dumny ze swojego wyczynu, który dla każdej myślącej istoty powinien być niezbitym dowodem inteligencji. Rzeczywiście. Zachowanie Ziry przekonało mnie, że przynajmniej ona była silnie poruszona. Popatrzyła na mnie badawczo, a jej pyszczek zaróżowił się, co, jak się później dowiedziałem, było u szympanсів oznaką wzruszenia. Nic jednak nie było w stanie przekonać orangutana. Zira mówiła coś do niego, a ten piekielny małpiszon znów zaczął wzruszać ze

złością ramionami i potrząsać energicznie głową. Co za ograniczony, naukowy pedant! Nie dawał za wygraną i znowu rozkazał coś gorylom.

Zostałem poddany innemu testowi, który był kombinacją dwóch poprzednich.

Znałem go także z doświadczeń przeprowadzanych na psach w niektórych laboratoriach. Chodziło o zmylenie stworzenia i zamącenie mu w głowie poprzez połączenie dwóch odruchów. Jeden goryl zaczął gwizdać, co sugerowało nagrodę, podczas gdy drugi potrząsał dzwonkiem, który zapowiadał karę. Przypomniałem sobie wnioski słynnego biologa w związku z podobnym doświadczeniem. Według niego jest możliwe, że wprowadzając zwierzę w błąd, wywoła się u niego zaburzenia emocjonalne bardzo podobne do nerwicy spotykanej u człowieka. Można nawet doprowadzić je do obłądu, powtarzając często to samo doświadczenie.

Miałem się więc na baczności, żeby nie wpaść w panikę. Nastawiłem ostentacyjnie ucha, najpierw w stronę gwizdzącego goryla, potem w stronę dzwonka. Usiadłem w połowie drogi między nimi i podparłszy głowę rękami przyjąłem tradycyjną postawę myśliciela. Zira przyklasnęła. Nie mogła się powstrzymać. Zaius wyjął z kieszeni chustkę i otarł czoło.

Pocił się, ale uparcie trwał w swoim idiotycznym sceptycyzmie. Widziałem to po jego minie, kiedy gwałtownie dyskutował z Zira. Podyktował jeszcze coś sekretarce, wydał Zirze drobiazgowo polecenia, których słuchała bez najmniejszego przekonania, i wreszcie poszedł sobie, obdarzając mnie na pożegnanie pochmurnym spojrzeniem.

Zira zwróciła się do goryli. Zrozumiałem od razu, że nakazała zostawić mnie w spokoju, przynajmniej do końca dnia, gdyż odeszli zabierając swój sprzęt. Kiedy zostaliśmy sami, podeszła do mojej klatki i patrzyła na mnie bez słowa przez dłuższą chwilę. Później sama wyciągnęła po przyjacielsku łapę. Uścisnąłem ją gorliwie, cicho wymawiając jej imię. Rumieniec, który oblał jej pyszczek, świadczył o głębokim wzruszeniu.

XVI

Zaius wrócił po kilku dniach, a jego wizyta spowodowała zamieszanie w codziennym rozkładzie zajęć. Najpierw jednak opowiem, jak w ciągu tych paru dni udało mi się jeszcze wyróżnić w oczach małp.

Nazajutrz po pierwszej inspekcji orangutana posypała się na nas lawina nowych testów. Pierwszy związany był z posiłkami. Zamiast jak zwykle wstawić pożywienie do klatek, Zoram i Zanam - w końcu poznałem imiona obu goryli - zawiesili je w koszykach pod sufitem za pomocą systemu bloków, w które wyposażone były klatki. Jednocześnie włożyli do każdej celi cztery spore drewniane sześciany. Potem wycofali się i zaczęli nas obserwować.

Aż żal było patrzeć na zawiedzione miny moich towarzyszy. Próbowali skakać, ale żaden nie dosięgnął koszyka. Niektórzy wspinali się po kratkach aż pod sufit, ale jedzenie pozostawało poza zasięgiem wyciągniętych rąk. Wstyd mi było za ich głupotę. Nie warto chyba wspominać, że pierwszy znalazłem od razu właściwy sposób. Wystarczyło ustawić sześciany jeden na drugim, wspiąć się na nie i odczepić koszyk. Tak też zrobiłem, obojętną miną maskując rozpierającą mnie radość. Nie było w tym nic genialnego, ale tylko ja okazałem się tak zręczny. Wyraźny podziw goryli przejął mnie do głębi. Zabrałem się do jedzenia nie ukrywając pogardy wobec innych więźniów, niezdolnych do naśladowania czynności, których byli świadkami. Nawet Nova nie potrafiła zrobić tego co ja, choć z myślą o niej powtórzyłem kilkakrotnie wszystko od początku. A przecież próbowała, była bez wątpienia jedną z najinteligentniejszych w gromadzie. Usiłowała ustawić jeden sześcian na drugim. Postawiony krzywo spadł z hałasem, a Nova uciekła do kąta wystraszona. Ciekawe, że ta lekka i zwinna dziewczyna o giętkich ruchach okazywała się zdumiewająco niezgrabna, gdy przychodziło posłużyć się jakimś przedmiotem. Mimo wszystko po dwóch dniach

udało jej się wreszcie.

Tamtego ranka było mi jej żal i rzuciłem jej przez kraty dwa najładniejsze owoce. Zasłużyłem tym na pieśczętę Zirze, która weszła w tym momencie. Przeciągnąłem się jak kot pod dotknięciem włochatej łapy, ku wielkiemu niezadowoleniu Novy, którą taki widok zawsze wprawiał we wściekłość. Natychmiast zaczęła miotać się i pojękiwać.

Wyróżniłem się w wielu innych dziedzinach. Co najważniejsze, przysłuchując się uważnie rozmowom małp, udało mi się zrozumieć i zapamiętać kilka prostych słów. Kiedy Zira przechodziła obok klatki, ćwiczyłem swoją wymowę ku jej stale rosnącemu zdziwieniu. Wtedy to pojawił się Zaius z kolejną wizytą.

Tym razem towarzyszył mu oprócz sekretarki jeszcze jeden orangutan, tak samo uroczyście i obwieszony orderami. Zaius rozmawiał z nim jak równy z równym. Jestem dla niego tak kłopotliwym pacjentem - myślałem - że musiał zaprosić na konsultację uczonego kolegę. Wdali się przed klatką w długą dyskusję, po chwili przyłączyła się Zira. Przemawiała długo i żarliwie. Byłem pewien, że wygłasza coś w rodzaju mowy obrończej, podkreślając wyjątkową żywość mojej inteligencji, której nie można dłużej negować. Jedynym skutkiem tej interwencji był uśmiezek niedowierzania na twarzach obu uczonych.

Znowu nakłoniono mnie do poddania się testom, w których wykazałem się dużą zręcznością. Ostatni polegał na otworzeniu pudełka zamkniętego na dziewięć różnych systemów (zasuwka, klucz, haczyk, skobel itp.). Na Ziemi chyba Kinnaman skonstruował podobny przyrząd pozwalający ocenić stopień rozwoju małp i było to najbardziej skomplikowane zadanie, jakie niektórym udawało się rozwiązać. Tutaj to samo dotyczyło ludzi. Po kilku próbach wyszedłem z tego zwycięsko. Teraz Zira sama podała mi pudełko z tak błagalnym spojrzeniem, jakby jej własna reputacja zależała od tego, czy wykonam bezbłędnie zadanie. Uczyniłem zadość jej gorącemu życzeniu i w mgnieniu oka, nie okazując najmniejszego wahania otworzyłem dziewięć mechanizmów. Nie poprzestałem na tym. Wyjąłem owoc, który był zamknięty w pudełku i szarmancko wręczyłem go szympan-sicy. Przyjęła go zarumieniona. Zacząłem się teraz popisywać wszystkimi moimi umiejętnościami i powiedziałem te kilka słów, których się nauczyłem, wskazując jednocześnie na odpowiednie przedmioty.

Tym razem wydawało mi się, że obecni nie powinni mieć już żadnych wątpliwości co do mojej prawdziwej natury. Niestety, jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak zaślepione potrafią być orangutany! Z tymi swoimi sceptycznymi uśmiechami, które doprowadzały mnie do szału, przerwali Zirze w pół zdania i znów zaczęli dyskutować. Słuchali mnie tak, jakbym był papugą. Czulem, że próbują przypisać moje zdolności jakiemuś instynktowi czy wyostrzonemu zmysłowi naśladownictwa. Prawdopodobnie byli zwolennikami zasady, którą jeden z naszych uczonych sformułował następująco: "In no case may we interpret an action as the outcome of the exercise of a higher psychical faculty if it can be interpreted as the outcome of one which stands lower in the psychological scale".¹

Taki był moim zdaniem sens ich gadaniny i zaczynałem być wściekły. Może nawet ulżyłbym sobie, gdyby Zira nie mrugnęła do mnie znacząco. Zrozumiałem, że nie zgadza się z nimi i wstyd jej było wysłuchiwać takich rzeczy w mojej obecności.

Uczony kolega wyniósł się w końcu, ale na pewno wydał przedtem o mnie niepocholebną opinię. Zaius zajął się czym innym. Obszedł całą salę badając szczegółowo wszystkich więźniów i dając polecenia Zirze, która je skrzętnie notowała. Można było wyczytać z jego twarzy zapowiedź licznych zmian. Wkrótce przeniknąłem jego zamiary i zrozumiałem sens jego badań porównawczych, zmierzających do ustalenia pewnych cech charakteru poszczególnych mężczyzn i kobiet.

Nie pomyliłem się. Goryle zabrały się do wykonywania poleceń szefa, przekazanych im przez Zirę. Zostaliśmy umieszczeni w klatkach parami. Co za szatańskie doświadczenia za tym się kryły?

Znajomość laboratoriów biologicznych podsunęła mi odpowiedź. Badanie instynktu seksualnego dawało największe pole do popisu uczonemu, który poświęcił się zgłębianiu instynktów i odruchów.

To było to! Te potwory chciały eksperymentować na nas, na mnie, choć znalazłem się w tym stadzie przez przypadek, zrządzenie losu. Chciały badać miłosne praktyki ludzi, formy zalotów samca i samicy, sposoby spółkowania w niewoli, może zamierzały je porównywać z dawniejszymi obserwacjami życia tych samych ludzi na wolności. Może zechcą także prowadzić doświadczenia nad sztucznym doborem?

Gdy tylko przeniknąłem ich zamiary, poczułem się upokorzony jak jeszcze nigdy przedtem i przysiągłem sobie, że raczej umrę, niż poddam się jakimś upodlającym zabiegom. Choć trwałem w tym postanowieniu, muszę jednak przyznać, że uczucie wstydu osłabło nagle na widok kobiety, którą nauka przeznaczyła mi na towarzyszkę. Była to Nova. Nawet byłem skłonny wybaczyć staremu bałwanów jego głupotę i zaślepienie i bynajmniej nie opierałem się, kiedy Zoram i Zanam złapali mnie w pól i cisnęli pod nogi nimfy znad potoku.

XVII

Nie będę opisywał szczegółowo scen, jakie rozgrywały się w klatkach w ciągu następnych tygodni. Tak jak przypuszczałem, małpy postanowiły badać miłosne obyczaje ludzi. Stosowały swoją zwykłą metodę obserwacji, notując najdrobniejsze spostrzeżenia, prowokując zbliżenie, posługując się niekiedy dzidami, gdy trzeba było przywołać do porządku opornego osobnika.

Ja sam z początku prowadziłem obserwacje z myślą o uatrakcyjnieniu mojego przyszłego reportażu, opublikowanego po powrocie na Ziemię. Szybko mi się to jednak znudziło, bo nie odkryłem nic naprawdę pikantnego i godnego zapamiętania. Jedno może było niecodzienne: sposób, w jaki mężczyzna zabiegał o względy kobiety, zanim doszło do zbliżenia. Przypominało to zaloty miłosne niektórych ptaków. Mężczyzna wykonywał rodzaj powolnego, niezdecydowanego tańca - kilka kroków naprzód, kilka do tyłu i na boki - zataczając jednocześnie coraz ciaśniejsze kręgi wokół obracającej się w miejscu kobiety. Z ciekawością przyglądałem się tym zabiegom, których zasadniczy ceremoniał był zawsze taki sam, czasem zmieniały się tylko jakieś szczegóły. Początkowo czułem się zażenowany, będąc świadkiem samego stosunku, ukoronowania wszystkich tanecznych wstępów. Bardzo szybko przestałem okazywać większe zainteresowanie tym widokiem, podobnie jak inni więźniowie. Jedynym niecodziennym elementem tego ekshibicjonistycznego widowiska była naukowa powaga, z jaką mał-piszony śledziły ludzkie poczynania, notując ich przebieg w swoich zeszytach.

Sytuacja zmieniła się, kiedy widząc, że nie oddaję się tym igraszkom - przysiągłem sobie, że za nic nie zrobię z siebie przedstawienia - goryle postanowiły zmusić mnie siłą i zaczęły kłuć dzidą mnie, Ulissesa Merou, mnie - człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże! Stawiałem twardo opór, ale te bydlaki też się uparły i nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie Zira, której poskarżyli się na moje zachowanie.

Zastanawiała się długo, potem podeszła do klatki i patrząc na mnie swoimi pięknymi, inteligentnymi oczyma, poklepała mnie po karku i przemówiła słowami, których sens tak oto sobie wytłumaczyłem:

- Biedny człowieku - zdawała się mówić - jaki ty jesteś dziwny! Żaden z twoich jeszcze się nigdy tak nie zachowywał. Spójrz tylko na nich. Rób, co ci każą, a nie pożałujesz.

Wyciągnęła z kieszeni kostkę cukru i podała mi. Byłem zrozpaczony. Ona także traktowała mnie jak zwierzę, może trochę inteligentniejsze od innych. Potrząsałem z wściekłością głową i położyłem się w drugim końcu klatki, daleko od Novy, która patrzyła na mnie, nic nie rozumiejąc.

Na tym by się pewnie skończyło, gdyby nagle nie pojawił się Zaius, bardziej niż zwykle pewny

siebie. Przyszedł zobaczyć wyniki doświadczeń i swoim zwyczajem zapytał najpierw o mnie. Zira była zmuszona poinformować go o moim zachowaniu. Był bardzo niezadowolony. Chodził przez chwilę tam i z powrotem z rękami założonymi do tyłu, wreszcie tonem nie znoszącym sprzeciwu wydał jakieś polecenie. Zoram i Zanam otworzyli klatkę, zabrali z niej Novę, a na jej miejsce przyprowadzili jakąś matronę w średnim wieku. Ten cholerny pedant, uosobienie naukowej metodyczności, postanowił powtórzyć eksperyment z innym osobnikiem.

Nie to było jednak najgorsze i nawet nie myślałem już o swoim smutnym losie. Z niepokojem obserwowałem teraz Novę. Z przerażeniem zobaczyłem ją w klatce naprzeciwko, rzuconą na pastwę barczystemu olbrzymowi o włochatym torsie, który natychmiast zaczął tańczyć wokół niej, wykonując z szaleńczym zapalem ową dziwną grę miłosną, o której już wspominałem.

Gdy tylko pojąłem zamiary tego bydlaka, zapomniałem o swoich rozsądnych postanowieniach. Straciłem rozum i jeszcze raz zachowałem się jak szaleniec. Wpadłem dosłownie w szal. Wyłem, piszczalem, okazywałem swoją furję tak samo, jak ludzie z Sorory. Rzucąłem się na kraty i z pianą na ustach zgrzytałem zębami. Jednym słowem, zachowywałem się zupełnie jak zwierzę.

Co było jednak najbardziej zaskakujące, to nieoczekiwane konsekwencje mojego postępowania. Kiedy Zaius zobaczył, co wyrabiam, uśmiechnął się. Była to pierwsza oznaka życzliwości z jego strony. W jego mniemaniu zachowałem się jak człowiek i poczuł się pewniej. Triumfował. Okazał się tak wspaniałomyślny, że na prośbę Ziry ustąpił i zgodził się dać mi ostatnią szansę. Zabrano okropną matronę i zwrócono mi Novę, nie tkniętą przez brutala. Małpy cofnęły się i zaczęły nas dyskretnie obserwować.

Cóż mogę więcej dodać? Przeżyte emocje złamały mój opór. Wiedziałem, że nie zniosę widoku mojej nimfy wydanej na pastwę innego mężczyzny. Stchórzyłem i podporządkowałem się orangutanowi, który śmiał się teraz ze swojego podstępu. Wykonałem pierwszy, nieśmiały taneczny krok.

Tak! Ja, król stworzenia, zacząłem zataczać kręgi wokół mojej księżniczki. Ja, doskonałe dzieło odwiecznej ewolucji, stojąc przed gromadą małp obserwujących mnie ciekawym wzrokiem - starym orangutanem dyktującym uwagi sekretarce, uśmiechającą się pobłaźliwie szympanaicą i dwoma chichoczącymi goryłami - ja, człowiek szukający usprawiedliwienia w wyjątkowym splocie kosmicznych wydarzeń, przekonany już teraz, że są rzeczy na niebie i planetach, o których nie śniło się ziemskim filozofom, ja, Ulisses Merou, na wzór pawia rozpocząłem miłosne zaloty wokół cudownej Novy.

Część druga

I

Muszę przyznać, że z niebywałą łatwością przystosowałem się do warunków życia w niewoli. Pod pewnym względem powodziło mi się świetnie: w dzień małpiszony spełniały wszystkie moje zachcianki, w nocy dzieliłem posłanie zjedną z najpiękniejszych dziewczyn kosmosu. Tak przyzwyczałem się do nowej sytuacji, że w ciągu przeszło miesiąca, nie odczuwając całej jej niedorzeczności ani własnego upokorzenia, nie uczyniłem nic, aby położyć temu kres. Opanowałem zaledwie kilka nowych słów z małpiego języka. Nie starałem się już podtrzymać kontaktu z Zirą, która, jeśli kiedykolwiek chwilami podświadomie wyczuwała mój intelekt, to obecnie chyba dała się przekonać Zaiusowi, bo traktowała mnie jak zwykłego człowieka, czyli po prostu jak zwierzę. Zwierzę inteligentne być może, ale niewątpliwie pozbawione rozumu.

Moja wyższość nad innymi więźniami, której zresztą nie akcentowałem zbyt, żeby nie niepokoić dozorców, uczyniła ze mnie najcenniejszego pacjenta instytutu. Przyznaję ze wstydem, że to wyróżnienie zaspokajało moje obecne ambicje i nawet przepelniało mnie dumą. Zoram i Zanam odnosili się do mnie przyjaźnie i z zadowoleniem patrzyli, jak się uśmiecham lub wypowiadam kilka słów. Po wypróbowaniu wszystkich klasycznych testów starali się wymyślać inne, bardziej subtelne, i razem cieszyliśmy się, kiedy znajdowałem właściwe rozwiązanie. Nigdy nie zapominali przynieść mi jakichś słodczy, którymi dzieliłem się z Novą. Stanowiliśmy uprzywilejowaną parę. Co do mnie, byłem na tyle prózny, że sądziłem, iż zdaje sobie ona sprawę z tego, ile zawdzięcza moim talentom, więc popisywałem się przed nią całymi dniami.

Jednak któregoś dnia, po upływie paru tygodni, odczułem jakiś niesmak. Czy powodem tego było spojrzenie Novy, które tej nocy wydało mi się szczególnie pozbawione wyrazu? Czy była to ofiarowana przez Zirę kostka cukru, która nagle stała się gorzka? Faktem jest, że zawstydziłem się mojej tchórzliwej rezygnacji. Co by o tym pomyślał profesor Antelle, jeśli jakimś cudem żyje jeszcze i zastałby mnie w takim stanie? Ta myśl stała się nagle nie do zniesienia. Postanowiłem, że od tej chwili będę się zachowywał jak człowiek cywilizowany.

Głaszcząc łapę Ziry na znak podziękowania, chwyciłem jej notes i pióro. Nie zwracając uwagi na nieśmiałe protesty usiadłem na słomie i naszkicowałem sylwetkę Novy. Umiałem dosyć dobrze rysować, więc natchniony modelem, zrobiłem całkiem udany szkic i podałem go szympansicy.

Na jej twarzy odbiło się przejęcie i niepewność. Oblała się rumieńcem i zaczęła przyglądać mi się niespokojnie. Ponieważ ciągle trwała w osłupieniu, zdecydowanie odebrałem jej notes, który oddała mi bez słowa. Dlaczego wcześniej nie wpadłem na ten pomysł? Przywołując szkolne wspomnienia narysowałem figurę geometryczną ilustrującą twierdzenie Pitagorasa. Nie był to czysty przypadek. Przypomniałem sobie przeczytaną w młodości książkę fantastyczno-naukową, której bohater, stary uczonek, użył tego sposobu do nawiązania kontaktu z istotami rozumnymi z innych planet. Dyskutowałem nawet na ten temat z Antellem w czasie podróży. Aprobował tę metodę i dodał nawet, przypominam sobie bardzo dobrze, że reguły Euklidesa, będąc z gruntu fałszywe, stały się przez to uniwersalne.

W każdym razie na Zirze zrobiło to niesamowite wrażenie. Spurpurowiała na pyszczku i krzyknęła z przejęcia. Opanowała się, kiedy podeszli Zoram i Zanam, zaintrygowani jej zachowaniem. Reakcja szympansicy zaciekała mnie. Rzuciła mi ukradkowe spojrzenie i staranie schowała rysunki. Coś powiedziała do goryli, które natychmiast wyszły z sali, a ja zrozumiałem, że odprawiła je pod pierwszym lepszym pretekstem. Podeszła teraz do mnie i wzięła mnie za rękę. Tym

razem dotyk jej palców wyrażał coś zupełnie innego niż wówczas, kiedy głąskała mnie jak zwierzątko po udanym eksperymencie. Z błagalnym wyrazem twarzy podała mi wreszcie notes i pióro.

Teraz ona pragnęła nawiązać ze mną kontakt. Pobłogosławiłem w duchu Pitagorasa i śmielej wkroczyłem na drogę geometrii. Na jednej stronie narysowałem, jak umiałem najlepiej, trzy stożkowe z ich osiami i ogniskami: elipsę, para-bolę i hiperbolę. Na drugiej stronie narysowałem stożek obrotowy. Przypomnę tutaj, że przecięcie takiej bryły płaszczyzną daje, w zależności od kąta przecięcia, jedną z trzech stożkowych. Zrobiłem szkic dający elipsę i wróciwszy do pierwszego rysunku, wskazałem olśnionej szympansicy odpowiednią krzywą.

Wyrwała mi z ręki notes, naszkicowała drugi stożek, przecięty płaszczyzną pod innym kątem, i wskazała swoim długim palcem hiperbolę. Byłem tak poruszony, że łzy wzruszenia napłynęły mi do oczu. Uścisnąłem konwulsyjnie jej dłoń. Nova zaskomlała z gniewu w głębi klatki. Instynktownie zrozumiała, co się dzieje. Dzięki geometrii pomiędzy Zirą a mną nawiązała się łączność duchowa. Odczułem satysfakcję zmysłową i wiedziałem, że szympansica jest także głęboko przejęta.

Wyrwała mi się gwałtownie i wybiegła z sali. Jej nieobecność nie trwała długo. Ja tymczasem pogрузyłem się w zadumie nie śmiejąc spojrzeć na Novę, która kręciła się koło mnie pomrukując, bo czułem się wobec niej winny.

Zira wróciła i podała mi deskę kreślarską z przypiętym do niej arkuszem papieru. Po chwili namysłu postanowiłem zrobić decydujący krok. W jednym rogu arkusza narysowałem układ Betelgezy taki, jakim go odkryliśmy przy lądowaniu, to znaczy ogromną centralną gwiazdę i cztery planety. Zazaczyłem, gdzie trzeba, położenie Sorory i jej małego satelity. Wskazałem na planetę, potem wyciągnąłem znacząco palec w stronę Ziry. Dała mi znak, że doskonale rozumie.

Wobec tego w drugim rogu narysowałem mój stary Układ Słoneczny z jego głównymi planetami. Wskazałem na Ziemię i potem na siebie.

Tym razem Zira zawahała się. Wskazała także na Ziemię, i z kolei na niebo. Skinąłem potwierdzająco. Robiła wrażenie zahipnotyzowanej i było widać, że rozmyśla nad czymś bardzo intensywnie. Pomogłem jej, łącząc Ziemię i Sororę przerywaną linią i umieszczając na niej, narysowany w innej skali, nasz statek kosmiczny. Zobaczyłem w jej oczach błysk zrozumienia. Teraz byłem pewien, że dotarło do jej świadomości, kim jestem i skąd pochodzę. Już chciała się rzucić ku mnie w porywie uniesienia, kiedy nagle na końcu korytarza ukazał się Zaius, odbywający swoją okresową inspekcję.

W oczach szympansicy odbiło się przerażenie. Szybko zwinęła papier, schowała notes i zanim orangutan zdążył podejść bliżej, przytknęła prosząco palec do ust, polecając mi tym gestem, abym nie zdradził się przed Zaiusem. Posłuchałem jej nie rozumiejąc, czemu robi z tego tajemnicę, ale pewny, że mam w niej sprzymierzeńca, przyjąłem znów postawę inteligentnego zwierzęcia.

II

Od tej chwili, dzięki Zirze, moja znajomość małpiego świata i języka postępowała szybko naprzód. Urządzała się tak, aby pod pozorem specjalnych testów móc mi składać samotne wizyty prawie co dzień. Podjęła się nauczania mnie małpiego języka, ucząc się jednocześnie mojego z zadziwiająco szybkością. W niecałe dwa miesiące mogliśmy już prowadzić rozmowy na różnorodne tematy. Stopniowo przenikałem tajemnice Sorory i teraz już mogę spróbować opisać dzieje tej dziwnej cywilizacji.

Kiedy mogliśmy się już porozumieć, od razu skierowałem rozmowę na sprawę, która budziła we mnie największą ciekawość. Czy małpy były naprawdę jedynymi istotami myślącymi, królami stworzenia na tej planecie?

- A cóż ty sobie wyobrażasz? - powiedziała Zira. - Oczywiście, małpa jest jedynym myślącym stworzeniem, jedynym, które posiada zarazem i duszę, i ciało. Nawet najwięksi materialści spośród uczonych uznają nadprzyrodzony charakter małpiej duszy.

Kiedy słyszałem takie rzeczy, aż mnie coś podrywało mimo woli.

- Czym więc są ludzie, Ziro?

Rozmawialiśmy wtedy po francusku, odruchowo mówiąc sobie po imieniu, bo, jak już wspomniałem, nauka obcego języka przychodziła Zirze z większą łatwością niż mnie. Z początku mieliśmy pewne trudności interpretacyjne, gdyż takie słowa jak "małpa" i "człowiek" nie oznaczały dla nas tych samych stworzeń. Uporaliśmy się z tym jednak szybko. Kiedy Zira mówiła "małpa", tłumaczyłem to jako "istota wyższa", "szczyt ewolucji". Kiedy zaś mówiła o ludziach, wiedziałem, że ma na myśli zwierzęta, wprawdzie mające pewien zmysł naśladownictwa i wykazujące pewne analogie anatomiczne z małpami, lecz pozbawione świadomości i o załączkowej psychice.

- W ciągu niecałych stu lat - mówiła z powagą Zira - nauka o pochodzeniu gatunków zrobiła ogromne postępy. Kiedyś wierzano w ich niezmiennosc, we wszechmocnego Boga, który stworzył je w takiej postaci, jaką mają dziś. Ale pokolenie wybitnych myślicieli szympanów zmodyfikowało całkowicie nasze poglądy na tę sprawę. Dziś wiemy, że gatunki podlegają ewolucji i prawdopodobnie wszystkie pochodzą od wspólnego przodka.

- Czyżby małpa pochodziła od człowieka?

- Niektórzy tak sądzili, ale to niezupełnie tak jest. Małpy i ludzie stanowią odrębne gałęzie, które począwszy od pewnego punktu zaczęły rozwijać się w różnych kierunkach. Małpy stopniowo ewoluowały aż do momentu osiągnięcia świadomości, a ludzie pozostali w stanie zwierzęcym. Zresztą wiele orangutanów do tej pory zaprzecza oczywistym faktom.

- Ziro... mówiłaś o pokoleniu wielkich szympanów myślicieli?...

Przytaczam te nasze rozmowy beładnie, tak jak one wyglądały, gdyż moja chęć poznania wciągała Zirę w częste i długie dygresje.

- Prawie wszystkie wielkie odkrycia były dziełem szympanów - oświadczyła stanowczo.

- Czy wśród małp istnieją kasty?

- Jak widziałeś, są trzy oddzielne rodziny o odrębnych cechach: szympany, goryle i orangutany. Kiedyś istniały bariery rasowe, ale zostały zniesione, ucichły spory, głównie dzięki kampanii prowadzonej przez szympany. Teraz w zasadzie nie ma różnic między nami.

- Ale większości wielkich odkryć dokonały szympany - nalegałem.

- To fakt.

- A goryle?

- To zwykli zjadacze chleba - powiedziała lekceważąco.

- Kiedyś należały do klasy panującej i wiele z nich zachowało upodobanie do rządzenia. Lubią organizować, kierować. Uwielbiają polowanie i życie na świeżym powietrzu. Najbiedniejsi wynajmują się do prac fizycznych, wymagających dużej siły.

- A co powiesz o orangutanach?

Zira popatrzyła na mnie przez chwilę i roześmiała się.

- Reprezentują oficjalną naukę - powiedziała. - Sam widziałeś i będziesz miał jeszcze niejedną okazję, żeby się o tym przekonać. Orangutany są naładowane książkowymi wiadomościami. Wszystkie mają odznaczenia, niektóre uchodzą za luminarzy w wąskich specjalnościach wymagających ogromnej pamięci. A poza tym...

Skrzywiła się pogardliwie. Nie nalegałem, obiecując sobie powrócić jeszcze do tego tematu. Skierowałem rozmowę na zagadnienia bardziej ogólne. Na moją prośbę Zira narysowała drzewo

genealogiczne małp według koncepcji najlepszych specjalistów. Przypominało to bardzo nasze schematy ilustrujące proces ewolucji. Z pnia, którego podstawa gubiła się w nieznanym, wyrastały poszczególne gałęzie przedstawiające kolejno rośliny, organizmy jednokomórkowe, dalej jamochłony i szkarłupnie. Wyżej pojawiają się ryby, gady i wreszcie ssaki. Jeszcze dalej znajduje się klasa analogiczna do naszych ant-ropoidów. Z niej wyrasta nowa odnoga przedstawiająca człowieka, ale urywa się raptownie, podczas gdy główna gałąź rozwija się dalej, by dać początek różnym gatunkom małp prehistorycznych o dzikich nazwach i by dojść w końcu do *simius sapiens*, obejmującego trzy najwyższe formy ewolucji: szympansa, goryla i orangutana. Było to całkiem jasne.

- Mózg małpy rozwijał się, stawał się coraz bardziej złożony i zorganizowany - kończyła Zira. -

Tymczasem ludzki mózg nie podlegał prawie żadnym przeobrażeniom.

- A dlaczego mózg małpy tak się rozwinął?

Język był na pewno najważniejszym czynnikiem. Ale dlaczego przemówiły małpy, a nie ludzie? W tej kwestii zdania uczonych są podzielone. Niektórzy dopatrują się tu tajemniczej boskiej interwencji. Inni utrzymują, że na rozwój umysłowy małp wpłynęło posiadanie czterech chwytnych rąk.

- Człowiek ze swoimi dwiema rękami o krótkich i niezgrabnych palcach był prawdopodobnie upośledzony od samego początku, niezdolny do robienia postępów, do zdobycia konkretnej wiedzy o wszechświecie. Z tego powodu nigdy nie był w stanie zręcznie posłużyć się narzędziem... Cóż, nie jest wykluczone, że kiedyś człowiek próbował... usiłował... Odkryliśmy ciekawe wykopaliska. Prowadzimy teraz wiele badań poświęconych tym zagadnieniom. Jeżeli cię to interesuje, zapoznam cię któregoś dnia z Cornelusem. Zna się na tym lepiej ode mnie.

- Cornelius?

- Mój narzeczonny - Zira zarumieniła się. - Wielki, prawdziwy uczony.

- Szympan?

- Oczywiście... No tak - zakończyła - mój pogląd jest następujący: fakt, że jesteśmy czwororęczni, był jednym z najważniejszych warunków naszego umysłowego rozwoju. Na początku pomagało nam to w łażeniu po drzewach, dzięki czemu byliśmy w stanie pojąć trójwymiarowość przestrzeni. Człowiek tymczasem, przykuty do ziemi przez swój niedorozwój fizyczny, pozostał jakby uśpiony w dwóch wymiarach.

Potem rozwinął się u nas zmysł praktyczny, bo mogliśmy posługiwać się umiejętnie narzędziami. Przyszły dalsze osiągnięcia i tak oto znaleźliśmy się na najwyższym szczeblu ewolucji.

Na Ziemi często słyszałem zupełnie odwrotne argumenty, uzasadniające wyższość człowieka. Jednakże po chwili namysłu uznałem, że rozumowanie Ziry nie jest ani mniej, ani więcej przekonujące od naszego.

Chętnie kontynuowałbym tę rozmowę, bo miałem jeszcze tysiące pytań, ale przeszkodzili nam Zoram i Zanam, którzy weszli z wieczornym posiłkiem. Zira pożegnała mnie pośpiesznie i wyszła.

Zostałem w swojej klatce, mając Novę za jedyne towarzystwo. Skończyliśmy jeść. Goryle poszły pogasiwszy lampy oprócz jednej, która świeciła słabym blaskiem nad wejściem. Patrzyłem na Novę, dumając nad tym wszystkim, czego dowiedziałem się w ciągu minionego dnia. Nova wyraźnie nie lubiła Ziry i niechętnie odnosiła się do naszych spotkań. Początkowo protestowała nawet po mojemu, próbowała stawać między mną a szympan-sicą, skakała po klatce i rzucała w intruza garściami słomy. Musiałem użyć mocniejszych argumentów. Kiedy dostała kilka solidnych klapsów w delikatną pupkę, uspokoiła się wreszcie. Zrobiłem to prawie bez zastanowienia i w końcu wyrzuciłem sobie, że postąpiłem z nią zbyt brutalnie. Odniosłem jednak wrażenie, że Nova nie żywi do mnie urazy.

Wysiłek umysłowy, jaki włożyłem w przyswojenie sobie małpiej teorii ewolucji, zmęczył mnie i zdeprymował. Poczułem się szczęśliwy, kiedy Nova zbliżyła się do mnie w półmroku w oczekiwaniu pieszczot ni to ludzkich, ni to zwierzęcych. Stopniowo wypracowaliśmy sobie własny miłosny kod - mniejsza o szczegóły - składający się ze wzajemnych ustępstw i kompromisów między manierami z cywilizowanego świata i obyczajami tego niezwyklego szczepu, zaludniającego planetę Soror.

III

Był to dla mnie wielki dzień. Ulegając moim prośbom, Zira zgodziła się wyprowadzić mnie z Instytutu Nauk Biologicznych - taka była nazwa zakładu - i zabrać na spacer po mieście. Zdecydowała się na to po dłuższych wahaniach. Trzeba było wiele czasu, aby ją ostatecznie przekonać o moim pochodzeniu. O ile wszystko było dla niej oczywiste, kiedy przebywaliśmy razem, gdy była sama, ogarniały ją wątpliwości. Usiłowałem wczuć się w jej położenie. Musiała być głęboko wstrząśnięta moim opisem ludzi, a zwłaszcza małp żyjących na Ziemi. Przyznała później, że przez dłuższy czas wołała widzieć we mnie czarownika czy szarlatana, niż uznać moje racje. Jednakże wobec licznych i drobiazgowych dowodów, jakie jej przedstawiłem, nabrała wreszcie do mnie zaufania, a nawet zaczęła układać plany mające pomóc mi w odzyskaniu wolności, co nie było rzeczą łatwą, jak mi wyjaśniła tego dnia. Na razie, oczekując na rozwój wypadków, przysłała wczesnym popołudniem, żeby mnie zabrać na spacer.

Serce zaczęło mi bić na samą myśl, że znajdę się na świeżym powietrzu. Ostygłem jednak w zapale, kiedy zobaczyłem, że będę prowadzony na smyczy. Goryle wyciągnęły mnie z klatki, zatrzasnęły drzwiczki przed nosem Novy i założyły mi skórzaną obrozę, do której był przymocowany solidny łańcuch. Zira ujęła za drugi koniec i pociągnęła mnie za sobą. Żalose zawołanie Novy ścisnęło mi serce, ale kiedy z litości pomachałem do niej przyjaźnie, niezadowolona szympanśca szarpnęła bez skrpułów łańcuchem. Odkąd przekonała się, że mam prawdziwie małpi rozum, mój intymny stosunek do tej dziewczyny raził ją i drażnił.

Odzyskała humor, kiedy znaleźliśmy się sami w ciemnym, opustoszałym korytarzu.

- Przypuszczam - rzekła śmiejąc się - że ludzie na Ziemi nie są przyzwyczajeni do tego, że małpy prowadzą je na smyczy?

Zapewniłem, że istotnie, nie było to u nas rzeczą przyjętą.

Przeprosiła mnie tłumacząc, że o ile oswojeni ludzie mogą niekiedy swobodnie poruszać się po ulicach nie wywołując skandalu, to w moim przypadku jest raczej wskazane, żebym chodził uwiązany. Jeżeli w przyszłości okażę się naprawdę łagodny, nie jest wykluczone, że będzie mogła spuszczać mnie ze smyczy.

Zapominając trochę o moim prawdziwym człowieczeństwie, co jej się jeszcze często zdarzało, udzieliła mi licznych, a głęboko upokarzających przestroż.

- Żeby przypadkiem nie przyszło ci do głowy szczyrzyć zęby do przechodniów albo podrapać jakieś grzeczne dziecko, które cię zechce pogłaskać. Nie chciałam ci zakładać kagańca, ale...

Przystanąła i wybuchnęła śmiechem.

- Och, przepraszam! Przepraszam! - wykrzyknęła. - Ciągłe zapominani, że masz małpi rozum.

Poklepała mnie po przyjacielsku na przeprosiny. Jej śmiech rozproszył wzbierający we mnie zły humor. Lubiłem ten śmiech. Żałowałem czasem, że Nova nie była w stanie okazywać w ten sposób swojej radości. Wesolość małpy udzieliła mi się. W mrocznym korytarzu trudno było rozpoznać jej rysy, ledwo widziałem koniec jej białego pyszczka. Miała na sobie elegancki wyjściowy kostium i studencki beret naciągnięty na uszy. Zapominając przez chwilę, z kim mam do czynienia, wziąłem ją pod rękę. Nie protestowała. Uznała ten odruch za normalny. Przytuleni do siebie przeszliśmy kilka kroków. Koniec korytarza był oświetlony, i tu Zira wyrwała się i odepchnęła mnie. Spoważniała i

szarpnęła łańcuchem.

- Nie możesz się tak zachowywać - rzekła, nieco zmieszana. - Przede wszystkim jestem zaręczona i...

- Jesteś zaręczona!

Jednocześnie zdaliśmy sobie sprawę z niedorzeczności tej uwagi wywołanej moją poufałością. Zira opamiętała się i zaczerwieniła.

- Chciałam powiedzieć, że nikt na razie nie powinien się domyślać, kim jesteś. To leży w twoim interesie, zapewniam cię.

Nie nalegałem i spokojnie pozwoliłem prowadzić się dalej. Wyszliśmy na dwór. Portier instytutu, gruby goryl w mundurze, przepuścił nas ukłoniwszy się Zirze i przyglądając mi się ciekawie. Na ulicy zachwiałem się trochę, oszołomiony ruchem i olśniony blaskiem Betelgezy po przeszło trzech miesiącach spędzonych w zamknięciu. Wdychałem pełną piersią ciepłe powietrze, wstydząc się jednocześnie swojej nagości. Przyzwyczailem się do niej w klatce, ale tutaj, pod natrętnymi spojrzeniami małych przechodniów czułem, że jestem śmieszny i nieprzyzwoity. Zira kategorycznie odmówiła mojej prośbie o ubranie utrzymując, że ubrany byłbym jeszcze śmieszniejszy, bo przypominałbym wtedy jednego z tych wytresowanych ludzi, jakich pokazują na jarmarkach. Miała z pewnością rację. W końcu, jeśli przechodnie oglądali się, to nie dlatego, że byłem nagim człowiekiem, ale po prostu człowiekiem, gatunkiem, który budził na ulicy taką samą ciekawość, jaką wzbudziłby szympanś we francuskim mieście. Dorośli przechodzili śmiejąc się, otoczyło nas kilka małpiątek zachwyconych widowiskiem. Zira pociągnęła mnie szybko do samochodu, wepchnęła na tylne siedzenie, a sama usiadła za kierownicą i ruszyliśmy wolno ulicami miasta.

Miasto, które było stolicą ważnego okręgu, widziałem dotąd tylko przelotnie. Teraz musiałem już pogodzić się z faktem, że zamieszkiwały je małpy. Małpy piesze i małpy zmotoryzowane, małpy sklepikarze, małpy śpieszące za swoimi sprawami i małpy w mundurach, stojące na straży porządku. Poza tym miasto nie wyróżniało się niczym specjalnym. Domy były podobne do naszych. Ulice, dość brudne, też były jak nasze. Ruch samochodowy był mniejszy niż u nas. Uderzyła mnie jedna rzecz, a mianowicie sposób, w jaki piesi przechodzili przez ulice. Zamiast zebry na jezdni były przejścia powietrzne - metalowe sieci o dużych oczkach, których przechodnie czepiali się czterema łapami. Wszyscy nosili miękkie, skórkowe rękawiczki. Po długiej przejażdżce, która dała mi ogólne pojęcie o mieście, Zira zatrzymała samochód przed wysokim ogrodzeniem, przez które widać było ukwiecone zarośla.

- To jest park - rzekła. - Przejdziemy się trochę. Chciałabym ci pokazać inne rzeczy. Na przykład nasze muzea są godne uwagi, ale na razie to jeszcze niemożliwe.

Zapewniłem ją, że z wielką przyjemnością rozprostuję nogi.

- A poza tym - dodała - nikt nam tu nie będzie przeszkadzał. Ruch jest mały, a czas, żebyśmy porozmawiali poważnie.

IV

- Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwa jesteś tu narażony?

- Z niektórymi już się zetknąłem. Wydaje mi się jednak, że gdybym się ujawnił, małpy musiałyby mnie uznać za bratnią duszę, skoro mogę tego dowieść.

- I tu właśnie się mylisz. Posłuchaj...

Spacerowaliśmy po parku. Alejki były prawie puste i spotkaliśmy zaledwie kilka zakochanych par, u których wzbudziłem tylko przelotne zainteresowanie. Ja natomiast przyglądałem im się bez żenady, zdecydowany nie przepuścić żadnej okazji dowiedzenia się czegoś więcej o małych

obyczajach.

Pary chodziły drobnymi kroczkami trzymając się w pól. Długość ich ramion sprawiała, że całość robiła wrażenie mocno zaciśniętego, skomplikowanego węzła. Często stawały na zakręcie alejki i całowały się. Czasem, rzuciwszy dokoła ukradkowe spojrzenie, uczepiały się niskich gałęzi drzewa i unosiły w powietrze. Nie rozluźniając uścisku, pomagając sobie każde jedną ręką i jedną nogą z godną pozazdroszczenia zwinnością, wkrótce znikwały w listowiu.

- Posłuchaj - mówiła Zira. - Twoja szalupa (wiedziała ode mnie, w jaki sposób wylądowaliśmy na planecie), twoja szalupa została odkryta, a w każdym razie to, co z niej ocalało. Bardzo zaciekała naukowców. Przyznali, że nie mogła być zbudowana u nas.

- To wy budujecie podobne pojazdy?

- Nie tak doskonałe. Z tego, co mi mówiłeś, wynika, że jesteśmy w stosunku do was znacznie opóźnieni. Wystrzeliliśmy mimo to kilka sztucznych satelitów na naszą orbitę. W ostatnim było nawet żywe stworzenie: człowiek. Musieliśmy zniszczyć go w locie, nie mogąc sprowadzić z powrotem.

- Rozumiem - powiedziałem zamyślony. - Ludzie służą wam również i do takich doświadczeń.

- Tak trzeba... A więc odkryli twoją rakietę.

- A statek, który od trzech miesięcy krąży wokół Sorory?

- Nic o nim nie słyszałam, astronomowie musieli go przeoczyć. Ale nie przerywaj mi tak ciągle! Część naukowców przyjęła hipotezę, że szalupa pochodzi z innej planety i musiała mieć załogę. Nie posunęli się jednak tak daleko, aby wyobrazić sobie istoty inteligentne pod ludzką postacią.

- Ależ trzeba im to powiedzieć, Ziro! - krzyknąłem. - Mam dosyć życia w więzieniu, choćby w najwygodniejszej klatce, nawet pod twoją opieką! Dlaczego mnie ukrywasz? Dlaczego nie powiedzieć wszystkim prawdy?

Zira przystanęła, rozejrzała się wokół i położyła mi rękę na ramieniu.

Dlaczego? Robię to tylko w twoim interesie. Znasz Zaiusa?

- Jasne. Chciałem z tobą o nim porozmawiać. A bo co?

- Zauważyłeś, jakie na nim zrobiły wrażenie twoje pierwsze próby pokazania, kim jesteś? Czy wiesz, że setki razy próbowałam wybadać go na twój temat i ostrożnie zasugerować, że może nie jesteś zwierzęciem, wbrew wszelkim pozorom?

- Widziałem, jak prowadziliście długie rozmowy i nie mogliście się dogadać.

- Jest uparty jak muł i głupi jak człowiek! - wybuchnęła Zira. - Niestety, prawie wszystkie orangutany są takie! Zawyrokował raz na zawsze, że twoje zdolności wynikają z bardzo rozwiniętego instynktu zwierzęcego i za nic na świecie nie zmieni zdania. Na nieszczęście przygotował już długi elaborat o tobie, w którym dowodzi, że jesteś "człowiekiem uczonym", to znaczy wytresowanym, prawdopodobnie w czasie wcześniejszej niewoli, do bezmyślnego wykonywania pewnych czynności.

- Głupie zwierzę!

- Pewnie. Tylko że to głupie zwierzę reprezentuje oficjalną naukę, a poza tym ma wpływy. To jeden z najwyższych autorytetów w instytucie i wszystkie moje raporty muszą przechodzić przez niego. Jestem teraz przekonana, że oskarży mnie o naukową herezję, jeżeli ulegnę twoim prośbom i spróbuję wyjawić prawdę. Wylaliby mnie. W końcu to głupstwo, ale wiesz, co by się wtedy z tobą stało?

- A co może być gorszego od życia w klatce?

- Niewdzięczniku! Nawet nie wiesz, jak musiałam wysilać cały spryt, żeby tylko nie wysłał cię na oddział encefaliczny? Jeżeli będziesz się upierał i chciał udowodnić, że potrafisz myśleć, nic go nie powstrzyma.

- Co to jest oddział encefaliczny? - zapytałem zaniepokojony.

- Tam się przeprowadza pewne bardzo delikatne operacje mózgu: przeszczepy, badania i zabiegi na ośrodkach nerwowych, częściowe lub nawet całkowite amputacje.

- I wy robicie takie doświadczenia na ludziach!

- Oczywiście. Mózg człowieka, jak zresztą cała jego budowa, jest najbardziej zbliżony do naszego. Mamy szczęście, że natura dała nam do dyspozycji zwierzę, na którym możemy studiować własną anatomię. Człowiek służy nam jeszcze do wielu innych badań, zapoznasz się z nimi pomalutką... Nawet teraz przeprowadzamy serię bardzo ważnych doświadczeń.

- Które wymagają poważnych ludzkich zasobów.

- Poważnych. Właśnie dlatego każemy organizować w dżungli obławy, żeby odnowić zapasy. Niestety, zajmują się tym goryle i nie jesteśmy w stanie przeszkodzić im w uprawianiu ulubionej rozrywki, to znaczy w strzelaniu. W ten sposób wiele okazów jest straconych dla nauki.

- To rzeczywiście godne pożałowania - przyznałem, zagryzając wargi. - Ale wracając do mnie...

- Już teraz rozumiesz, dlaczego mi zależy na zachowaniu tajemnicy?

- Więc jestem skazany na spędzenie reszty życia w klatce?

- Nie, jeżeli powiesz mi swój plan. W każdym razie możesz się ujawnić tylko z pełną świadomością i z mocnymi atutami w ręku. Moja propozycja jest taka: za miesiąc odbędzie się doroczny kongres biologów. To będzie ważne wydarzenie z szerokim udziałem publiczności i przedstawicieli większych dzienników. Otóż opinia publiczna jest u nas czynnikiem potężniejszym od Zaiusa, potężniejszym od wszystkich orangutanów razem wziętych, potężniejszym nawet od goryli. To będzie twoja szansa. Właśnie przed tym zgromadzeniem, w trakcie obrad, musisz odkryć swe karty. Będziesz przedstawiony przez Zaiusa, który, jak ci mówiłam, przygotował długie sprawozdanie o tobie i twoim sławetnym instynkcie. Będzie więc lepiej, jeśli sam zabierzesz głos i wyjaśnisz swój przypadek. Sensacja będzie taka, że Zaius nie będzie w stanie ci przeszkodzić. Od ciebie zależy, czy potrafisz wypowiedzieć się jasno przed kongresem i czy przekonasz tłum i dziennikarzy tak, jak przekonałeś mnie.

- A jeśli Zaius i orangutany uprą się?

- Goryle muszą liczyć się z opinią i nauczą tych durniów. Zresztą nie wszystkie są tak głupie, jak Zaius. Jest też wśród uczonych kilka szympansów, które Akademia musiała przyjąć na członków ze względu na ich sensacyjne odkrycia. Jednym z nich jest Cornelius, mój narzeczonny. Jemu i tylko jemu opowiedziałam wszystko. Obiecał wstawić się za tobą. Oczywiście chce cię najpierw zobaczyć i osobiście sprawdzić te nieprawdopodobne historie, które ode mnie słyszał. Dlatego cię tu, między innymi, przyprowadziłam. Umówiliśmy się i powinien nadejść lada chwila.

Cornelius czekał na nas obok kępy gigantycznych paproci. Był to postawny szympans, niewątpliwie starszy od Ziry, ale bardzo młody jak na uczonego i członka Akademii. Gdy tylko go zobaczyłem, przykuło moją uwagę jego głębokie spojrzenie, wyjątkowo żywe i inteligentne.

- Jak ci się podoba? - szepnęła Zira po francusku.

Zrozumiałem z tego pytania, że zdobyłem sobie całkowite zaufanie szympansicy. Szeptem wygłosiłem pochwalną opinię i podeszliśmy bliżej.

Narzeczeni uściskali się tak samo, jak inne napotkane pary. Cornelius objął Zirę ramionami, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Wiedział przecież od Ziry, kim jestem, a mimo to moje towarzystwo nie znaczyło dla niego więcej niż obecność domowego zwierzęcia. Nawet Zira zapomniała się na dłuższą chwilę, kiedy ich pyszczki złączyły się w długim pocałunku.

Nagle wzdygnęła się, oswoiła gwałtownie z uściskiem i odwróciła wzrok zakłopotana.

- Kochanie, nikogo tu nie ma.

- Ja tu jestem - powiedziałem z godnością w mojej najlepszej małpiźnie.

- Co! - wrzasnął szympans, i aż podskoczył.

- Mówię, że ja tu jestem. Przykro mi, że muszę o tym przypominać. Wasze zachowanie bynajmniej mnie nie krępuje, ale później moglibyście mi mieć za złe.

- Do diabła! - wykrzyknął uczony. Zira roześmiała się i przedstawiła nas:

- Doktor Cornelius z Akademii, Ulisses Merou - mieszkaniec Układu Słonecznego, Ziemi - ściślej mówiąc.

- Bardzo mi miło pana poznać - powiedziałem. - Zira mówiła mi o panu. Gratuluję tak uroczej narzeczonej.

Wyciągnąłem do niego rękę. Rzucił się w tył, jakby zobaczył węża.

- Więc to prawda? - szepnął, patrząc na Zirę błędnym wzrokiem.

- Kochanie, czy ja okłamałam cię kiedy? Cornelius opanował się, był przecież naukowcem. Po chwili wahania uścisnął mi dłoń.

- Jak się pan miewa?

- Dziękuję, nieźle - odpowiedziałem. - Jeszcze raz przepraszam za mój strój.

- Myśli tylko o tym - roześmiała się Zira. - To jakiś kompleks. Nie zdaje sobie sprawy, jakie wrażenie robiłby w ubraniu.

- Pan naprawdę przybywa z... z...

- Z Ziemi, planety Słońca.

Najwidoczniej Cornelius do tej pory nie dawał zbyt wiele wiary opowieściom Ziry i podejrzewał jakąś mistyfikację. Teraz zarzucił mnie pytaniami. Chodziliśmy wolnym krokiem, oni przodem, trzymając się pod rękę, ja za nimi na łańcuchu, żeby nie zwracać uwagi nielicznych przechodniów. Moje odpowiedzi podsycaly do tego stopnia jego ciekawość badacza, że często stawał, puszczał ramię narzeczonej i zaczynaliśmy dyskutować stojąc twarzą w twarz, żywo gestykulując i kreśląc rysunki na piasku alejki. Zira nie oponowała. Przeciwnie, wyglądała na zachwyconą.

Rzecz oczywista, Cornelius pasjonował się szczególnie sprawą pojawienia się homo sapiens na Ziemi i dziesiątki razy kazał mi powtarzać wszystko, co wiedziałem na ten temat. Wreszcie zamyślił się głęboko. Powiedział, że moje rewelacje stanowiłyby bez wątpienia argument o kapitalnym znaczeniu dla nauki, zwłaszcza dla niego osobiście, gdyż swego czasu zajmował się bardzo żmudnymi badaniami dotyczącymi pochodzenia małp. Zrozumiałem, że Cornelius wcale nie uważał tego zagadnienia za rozwiązane i nie zgadzał się z powszechnie przyjętymi teoriami. Teraz stał się jednak powściągliwy i nie zdradził do końca swych myśli podczas naszego pierwszego spotkania.

W każdym razie przedstawiałem w jego oczach ogromną wartość i poświęciłby chętnie cały majątek, żeby mieć mnie w swoim laboratorium. Rozmawialiśmy jeszcze o mojej obecnej sytuacji i o Zaiusie, którego głupota i zaślepienie były wszystkim znane. Cornelius zaaprobował plan Ziry i obiecał osobiście zająć się przygotowaniem gruntu. Będzie się starał zainteresować moim tajemniczym przypadkiem grono swoich uczonych kolegów.

Kiedy zegnaliśmy się, bez wahania wyciągnął do mnie rękę rozejrzawszy się najpierw, czy nikogo nie ma w pobliżu. Potem pocałował narzeczoną i oddalił się, ale odwracał się kilkakrotnie, jakby chcąc się upewnić, że nie padł ofiarą halucynacji.

- Czarujący młody małpizson - powiedziałem do Ziry, kiedy wracaliśmy do samochodu.

- I bardzo wybitny uczony. Jestem pewna, że przy jego poparciu przekonasz kongres.

- Ziro - szepnąłem jej do ucha, kiedy usadowiłem się już na tylnym siedzeniu - będę ci zawdzięczał wolność i życie.

Zdawałem sobie sprawę, ile dla mnie uczyniła od pierwszego dnia mojej niewoli. Bez niej nie

udałoby mi się nigdy nawiązać kontaktu ze światem małp. Zaius bez wahania kazałby usunąć mi mózg tylko po to, by udowodnić, że nie jestem istotą rozumną. Dzięki niej miałem teraz sprzymierzeńców i mogłem myśleć o przyszłości z większym optymizmem.

- Zrobiłam to dla nauki - odpowiedziała rumieniąc się. - Jesteś unikalnym przypadkiem, który trzeba chronić za wszelką cenę.

Moje serce przepęłniała wdzięczność. Uległem urokowi jej uduchowionego spojrzenia, udało mi się nawet nie dostrzec jej brzydoty. Położyłem dłoń na długim, włochatym ramieniu. Drgnęła i w jej oczach dojrzałem nagły przypływ sympatii do mnie. Byliśmy oboje głęboko wzruszeni i droga powrotna upłynęła nam w milczeniu. Kiedy odprowadziła mnie do klatki, odepchnęłem brutalnie Nowę, która zaczęła wyprawiać dziecinne figle na moje powitanie.

V

Zira pożyczyła mi w tajemnicy latarkę i przemyca książki, które trzymam pod słomą. Czytam i mówię biegle ich językiem. Studiuję co noc po kilka godzin małpią cywilizację. Nova początkowo protestowała. Obwąchiwała książkę szczerząc zęby, jak na groźnego przeciwnika. Wystarczy skierować na nią światło, żeby uciekła w kącie roztrzęsiona i jęcząca. Odkąd mam latarkę, jestem panem i władcą i nie potrzebuję używać bardziej przekonujących argumentów, żeby przywołać ją do porządku. Czuję, że się mnie boi, a pewne fakty wskazują, że inni więźniowie dzielają jej strach. Mój prestiż wyraźnie wzrósł. Nadużywam go z okrucieństwem i czasem pozwalam sobie bez powodu terroryzować światłem moją towarzyszkę. Łasi się potem do mnie i prosi o przebaczenie.

Mogę się pochwalić, że mam teraz określony pogląd na małpi świat.

Małpy nie dzielą się na narody. Całą planetą rządzi rada ministrów, na której czele stoi triumwirat składający się z goryla, szympansa i orangutana. Obok rządu władzę sprawuje trzyizbowy parlament. Każda z izb - goryli, orangutanów i szympanсів - czuwa nad interesami swojej rasy.

Ten podział jest jedynym, jaki istnieje. W zasadzie wszyscy mają równe prawa i dostęp do wszystkich stanowisk. A jednak, poza pewnymi wyjątkami, każda rasa specjalizuje się w określonej dziedzinie.

Już w dawnych czasach goryle sprawowały rządy silnej ręki. Po dziś dzień zachowały umiłowanie władzy i tworzą jeszcze w tej chwili najsilniejszą klasę. Nie mieszają się z tłumem, nie widuje się ich na ludowych festynach, ale właśnie one kierują z dala największymi przedsięwzięciami. Niezbyt mądre, instynktownie potrafią korzystać z nabytych wiadomości. Celują w wydawaniu ogólnych zarządzeń i manewrowaniu innymi małpami. Kiedy jakiś technik dokona ciekawego wynalazku, na przykład świetlówki albo nowego paliwa, prawie zawsze znajdzie się goryl, który wprowadzi wynalazek w życie i będzie z tego ciągnął jak największe zyski. Mimo braku prawdziwej inteligencji, goryle są dużo sprytniejsze od orangutanów. Grając na ich ambicjach czerpią korzyści dla siebie. Tak na przykład na czele naszego instytutu ponad Zaiusem - dyrektorem naukowym - stoi administrator goryl, którego widuje się bardzo rzadko. U mnie był tylko raz. Przyjrzał mi się takim wzrokiem, że mimo woli stanąłem na baczność. Zauważyłem służalcze zachowanie Zaiusa, nawet Zira zdawała się być pod wrażeniem jego osobowości.

Te goryle, które nie zajmują ważnych stanowisk, spełniają podrzędniejsze funkcje, wymagające siły. Zoram i Zanam na przykład są pracownikami fizycznymi, używanymi zwłaszcza do przywracania porządku, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Poza tym uprawiają myślistwo, które właściwie jest tylko ich domeną. Łowią dzikie zwierzęta, głównie ludzi do badań naukowych. Zajmują one bardzo ważne miejsce w małpi świecie. Wydaje się, że duża część społeczeństwa interesuje się biologią; zresztą jeszcze powrócę do tej dziwnej sprawy. W każdym razie zaopatrzenie w ludzki towar wymaga dobrze zorganizowanej akcji. Cała

masa myśliwych, naganiaczy, przewoźników, sprzedawców jest zatrudniona w tym przemyśle, na którego czele stoi zawsze goryl. Sądzę, że tego rodzaju przedsiębiorstwa są dochodowe, bo ludzie są w cenie.

Obok goryli - a właściwie poniżej, mimo że oficjalnie nie ma żadnej hierarchii - są orangutany i szympany. Te pierwsze, dużo mniej liczne, reprezentują, jak to określiła Zira - oficjalną naukę.

Jest to tylko część prawdy, bo niektóre wtrącają się do polityki, sztuki, literatury. Do każdej z tych dziedzin wnoszą cechy swej osobowości. Nadęci, uroczyści, pedantyczni, pozbawieni oryginalności i zmysłu krytycznego, zaciekli tradycjoniści, ślepi i głusi na wszystko co nowe. Rozmiłowani w komunałach i utartych frazesach, są filarami wszystkich Akademii. Obdarzeni świetną pamięcią, z książek uczą się wielu rzeczy na pamięć. Następnie sami piszą książki, w których powtarzają to, co już przeczytali, i tym zyskują sobie poważanie u innych orangutanów. Być może jestem trochę uprzedzony do nich pod wpływem Ziry i jej narzeczonego, którzy ich nie znoszą, jak zresztą wszystkie szympany. Gardzą nimi także i goryle. Podkpiwają sobie z ich służalczości, wykorzystując jednocześnie do swoich własnych kombinacji. Prawie za każdym orangutanem stoi goryl albo rada goryli, która ich proteguje i wysuwa na zaszczytne stanowiska, starając się dla nich o tytuły i odznaczenia, za którymi orangie przepadają. Tak się dzieje dopóty, dopóki są potrzebni. Potem są bezlitośnie odprawiani, a na ich miejsce przychodzą nowi przedstawiciele tego gatunku. Pozostają szympany. To one zdają się reprezentować pierwiastek intelektualny tej planety. Zira nie przechwalała się twierdząc, że wszystkie wielkie odkrycia należały do nich. Jeśli można zarzucić im pewną przesadę w uogólnieniach, to tylko dlatego, że zdarzały się wyjątki. W każdym razie to szympany są autorami większości ciekawych książek. Badania naukowe są ich mocną stroną.

Wspomniałem już o pracach, których autorami są orangutany. Na nieszczęście właśnie one piszą podręczniki, rozpowszechniając wśród małpiej młodzieży błędne poglądy. Zira ubolewa nad tym i twierdzi, że jeszcze niedawno podręczniki szkolne utrzymywały, że Soror jest środkiem wszechświata, choć każda średnio inteligentna małpa od dawna uważa to za herezję. A wszystko dlatego, że przed tysiącami lat żył na Sororze małpiszon imieniem Haristas. Cieszył się wielkim poważaniem i ogłosił taką teorię. Od tej pory wszystkie orangutany traktują jego poglądy jako dogmat. Stosunek Zaiusa do mnie stał się bardziej zrozumiały, kiedy wyczytałem, że według Haristasa tylko małpy mogą mieć duszę. Szympany mają na szczęście więcej krytycyzmu. Od kilku lat wydają się zwalczać ze szczególną zaciekłością niezbite prawdy staerego mistrza.

Goryle piszą mało. Jeśli jednak wydadzą książkę, to zasługuje ona na uwagę zarówno ze względu na formę jak i na treść. Przejrzałem niektóre tytuły: "Naukowe podstawy trwałej organizacji", "O skuteczną politykę socjalną", "Organizacja wielkich obław na ludzi na zielonym kontynencie". We wszystkich przypadkach były to dobrze udokumentowane prace, każdy rozdział był dziełem specjalisty. Można tam znaleźć wykresy, tabele i ciekawe zdjęcia.

Zjednoczenie planety, brak wojen i co za tym idzie wydatków na zbrojenia - nie ma tu armii, jest tylko policja - wszystko to mogłoby moim zdaniem być czynnikiem sprzyjającym szybkiemu rozwojowi we wszystkich dziedzinach. Tak jednak nie jest. Chociaż Soror jest prawdopodobnie trochę starsza od Ziemi, to nie ulega wątpliwości, że małpy pozostają za nami w tyle pod wieloma względami.

Mają elektryczność, przemysł, samochody i samoloty, ale jeśli chodzi o podbój kosmosu, są dopiero na etapie sztucznych satelitów. W kategoriach ściśle naukowych ich znajomość zjawisk nieskończenie wielkich i nieskończenie małych nie dorównuje naszej. To opóźnienie może być czysto przypadkowe, więc nie zdziwiłbym się, gdyby nas dogonili pewnego dnia, gdyż znane są pracowitość i zdolności naukowo-badawcze szympansów. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że przechodzili okres

zastoju, który trwał bardzo długo, dłużej niż u nas, i że dopiero od niedawna weszli w nową erę poważnych osiągnięć.

Chciałbym jeszcze podkreślić, że zamięrowania badawcze koncentrują się głównie na naukach biologicznych, a przede wszystkim na studiach nad małpim gatunkiem, prowadzonych na podstawie doświadczeń na ludziach. Człowiek odgrywa więc w ich życiu bardzo ważną, choć dość upokarzającą rolę. Mają szczęście, że jest tak dużo ludzi na planecie. Czytałem pracę, w której udowodniono, że ludzi jest więcej niż małp. Jednak ich liczba stale wzrasta, podczas gdy ludzi ubywa, tak więc niektórzy uczeni już się niepokoją o przyszłe zaopatrzenie laboratoriów.

Wszystko to nie wyjaśnia tajemnicy osiągnięcia przez małpy najwyższego szczebla ewolucji. Być może nie ma w tym żadnej tajemnicy. Może ich rozkwit jest równie naturalnym zjawiskiem jak nasz. Bronię się jednak przed tą myślą, która jest dla mnie nie do przyjęcia. Wiem, że niektórzy tutejsi uczeni uważają nawet, iż problem ewolucji małp jest jeszcze daleki od wyjaśnienia. Cornelius należy do tej szkoły i sądzę, że popierają go co wybitniejsze umysły. Nie wiedząc, skąd pochodzą, kim są i dokąd zmierzają, może małpy nabawiły się kompleksów? Może to właśnie uczucie skłania je do gorączkowych badań biologicznych i tak ściśle określa kierunek ich naukowych poszukiwań?

Na tych pytaniach przerwałem moje nocne rozmyślenia.

VI

Zira zabierała mnie dość często na spacer po parku. Czasem spotykaliśmy tam Corneliusa i wspólnie przygotowywaliśmy przemówienie, które miałem wygłosić na kongresie. Termin się zbliżał i stałem się dość nerwowy. Zira zapewniała, że wszystko będzie dobrze. Cornelius niecierpliwie oczekiwał dnia, który miał mi przynieść powszechne uznanie i wolność, a jemu możliwość badania mnie... współpracowania ze mną - poprawiał się natychmiast, widząc jak reaguję niespokojnie, gdy wyrwało mu się coś podobnego.

Tego dnia Corneliusa nie było i Zira zaproponowała mi zwiedzenie ogrodu zoologicznego, który przylegał do parku. Chętnie bym obejrzał jakieś przedstawienie albo poszedł do muzeum, ale tego rodzaju rozrywki nie były jeszcze dla mnie dostępne. Na razie tylko książki pozwalały mi wyrobić sobie pojęcie o małpiej sztuce. Podziwiałem reprodukcje malarstwa klasycznego, portrety sławnych małp, wiejskie sceny rodzajowe, akty lubieżnych małpie, wokół których fruwały skrzydlate małpeczki-amorki, sceny batalistyczne pochodzące z epoki, kiedy bywały jeszcze wojny, przedstawiające straszliwe goryle w szamerowanych mundurach. Małpy miały także swój impresjonizm, a kilku współczesnych malarzy uprawiało nawet sztukę abstrakcyjną. Wszystko to odkrywałem w swojej klatce przy świetle latarki. Byłem też z Zirą na meczu przypominającym piłkę nożną, który dostarczył mi mocnych wrażeń, a raz oglądaliśmy popisy lekkoatletyczne, gdzie podziwiałem zwinne szympansy skaczące o tycze nieprawdopodobnie wysoko.

Zgodziłem się więc pójść do zoo. Z początku nic mnie specjalnie nie zdziwiło. Zwierzęta wykazywały wiele podobieństw do ziemskiej fauny. Były tam koty, gruboskóre, przeżuwające, gady i ptaki. Jeżeli nawet zobaczyłem gatunek trzy-garbny wielbłąd albo dzika z koźlimi rogami, nie mogło mnie to w żaden sposób zadziwić po tym wszystkim, co do tej pory widziałem na Sororze.

Dopiero kwatery ludzi wzbudziła moje zainteresowanie. Zira próbowała mnie namówić, żebym tam nie chodził, i chyba nawet żałowała, żeśmy tu w ogóle przyszli. Moja ciekawość jednak przeważyła i ciągnąłem za smycz tak długo, aż wreszcie ustąpiła.

Stanęliśmy przed pierwszą klatką. Wystawiono tu na pokaz przynajmniej pięćdziesięciu ludzi - mężczyzn, kobiety i dzieci - ku wielkiej uciechu małpiej gawiedzi. W klatce panował bezładny, gorączkowy ruch, ludzie skakali i przepychali się, popisywali, wyprawiając rozmaite harce.

Bo to było przedstawienie. Ludzie starali się zaskarbić sobie łaski małych małpek, które otaczały

klatkę i od czasu do czasu rzucały im owoce i okruchy ciastek, kupionych u starej małpicy przy wejściu do zoo. Kto najzręczniejszemu wspinał się po kratkach, chodził na czworakach albo na rękach - ten dostawał nagrodę, obojętne czy był to dorosły człowiek, czy dziecko. Kiedy przysmak padał w sam środek grupy, wybuchało zamieszanie, w ruch szły paznokcie i fruwały wyrwane włosy, a wszystko przy akompaniamencie przenikliwych krzyków rozłoszczonych zwierząt.

Niektórzy bardziej stateczni ludzie nie uczestniczyli w tym tumulcie. Trzymali się na uboczu blisko krat, i dopiero na widok małpki zanurzającej dłoń w torebce wyciągali ku niej rękę prosiącym gestem. Jeżeli małpiątko było bardzo małe, często cofało się wystraszone i dopiero zawstydzony żartami rodziców i starszych dzieci, decydowało się z drżeniem podać przysmak prosto do ręki człowieka.

Pojawienie się człowieka na wolności wywołało pewne poruszenie zarówno u więźniów jak i u małpiej publiczności. Ludzie przerwali na chwilę swoje popisy i przyglądali mi się podejrzliwie, ale zachowywałem się spokojnie i z godnością odmawiałem jałmużny, więc wkrótce jedni i drudzy przestali się mną interesować i mogłem przyglądać się wszystkiemu do woli. Ponizanie się tych stworzeń budziło obrzydzenie i czułem, że rumienię się ze wstydu stwierdzając po raz któryś, jak bardzo jesteśmy do siebie fizycznie podobni.

Inne klatki przedstawiały równie upokarzający widok. Pograżony w czarnych myślach potulnie szedłem za Zirą. Nagle o mało nie krzyknąłem ze zdziwienia. Zobaczyłem oto przed sobą pośród ludzkiego stada... tak, to był on – towarzysz podróży, kierownik i dusza naszej wyprawy, sławny profesor Antelle! Schwytyany jak ja, miał jednak mniej szczęścia i sprzedano go do zoo.

Radość z odnalezienia profesora żywego była tak wielka, że łzy napłynęły mi do oczu, ale dreszcz mnie przeszedł, gdy sobie uświadomiłem jak nisko upadł ten wielki uczoney. Wzruszenie przeszło znowu w bolesne osłupienie, gdy spostrzegłem, że jego zachowanie niczym nie różniło się od zachowania innych ludzi. Musiałem przecież uwierzyć własnym oczom, mimo całego nieprawdopodobieństwa tej sceny. Profesor siedział grzecznie wśród innych, nie biorąc udziału w bijatyce, i z miną żebraka wyciągał rękę przez kraty. Kiedy tak patrzyłem na profesora, nic w jego postawie nie zdradzało, kim był naprawdę. Mała małpka podała mu owoc. Uczony wziął go, usiadł po turecku i zaczął łapczywie pożerać, zerkając jednocześnie łakomie, jakby spodziewał się następnego kąska. Na ten widok rozplakałem się na nowo. Po cichu wyjawiałem Zirze przyczynę mojego wzruszenia. Chciałem podejść i porozmawiać z profesorem, ale odradziła mi stanowczo. W tej chwili nic nie mogłem dla niego zrobić, a pod wpływem emocji spowodowanej spotkaniem moglibyśmy wywołać skandal, który zaszkodziłby nam obu, a na dodatek zniweczył moje własne plany.

- Po kongresie - powiedziała Zira - kiedy będziesz już uznany i zaakceptowany jako istota rozumna, wtedy się nim zajmujemy.

Miała rację i choć niechętnie, dałem się wyprowadzić. Po drodze do samochodu opowiedziałem jej, kim był profesor Antelle i jaką reputacją cieszył się w świecie nauki na Ziemi. Zamyśliła się, a w końcu obiecała, że postara się wyciągnąć go z zoo. Wróciłem do instytutu trochę podniesiony na duchu, ale kiedy wieczorem goryle przyniosły jedzenie, nie mogłem nic przełknąć.

VII

W tygodniu poprzedzającym kongres Zaius pojawiał się bardzo często i poddawał mnie licznym dziwacznym testom. Sekretarka zapisała kilka zeszytów uwagami i wnioskami. Pilnowałem się bacznie, żeby nie wypaść lepiej, niż Zaius mógłby sobie tego życzyć.

Nadeszła tak długo oczekiwana chwila, ale przyszli po mnie dopiero w trzecim dniu kongresu. Dotychczas małpy prowadziły dyskusje na czysto teoretyczne tematy. Zaius odczytał już swój długi

raport, przedstawiając mnie jako człowieka o wyjątkowo wyostrzonych instynktach, lecz całkowicie pozbawionego świadomości. Cornelius zadał mu kilka podchwytliwych pytań i domagał się wytłumaczenia pewnych moich reakcji. Roznieciło to na nowo stare spory i końcowa dyskusja była dość burzliwa. Uczni podzielili się na dwa obozy. Jedni utrzymywali, że zwierzę jest całkowicie pozbawione duszy, drudzy, że między psychiką zwierząt i małp istnieje różnica tylko w stopniu rozwoju. Oczywiście, poza Corneliusem i Zirą nikt nawet nie podejrzewał prawdy. Niemniej raport Zaiusa zawierał tyle zaskakujących faktów, że choć ten bałwan nie zdawał sobie z tego sprawy, posiał jednak niepokój w umysłach niektórych bezstronnych obserwatorów, a być może i wśród wyorderowa-nych naukowców. Po mieście rozeszła się wieść, że odkryto jakiegoś nie spotykanego dotąd, wyjątkowego człowieka.

Zira wyprowadziła mnie z klatki szepcząc do ucha:

- Będzie wielki tłum i prasa w komplecie. Wszyscy są podnieceni i przeczuwają coś niezwykłego. To świetna okazja dla ciebie. Trzymaj się!

Potrzebowałem jej moralnego wsparcia. Byłem strasznie zdenerwowany. Powtarzałem sobie moje przemówienie przez całą noc. Znałem je na pamięć. Powinno przekonać najbardziej ograniczonych, ale prześladowała mnie okropna myśl, że nie udzielą mi głosu.

Goryle zaciągnęły mnie do okratowanej ciężarówki, w której siedziało już parę ludzkich okazów, widać także uznanych, dzięki jakimś szczególnym cechom, za godnych przedstawienia tak uczonemu gremium. Zajechaliśmy pod monumentalny gmach zwieńczony kopułą. Strażnicy wyprowadzili nas do holu z klatkami, przylegającego do sali obrad. Tu mieliśmy czekać, aż uczeni raczą nas zaprosić. Od czasu do czasu rosły goryl w czarnym mundurze otwierał drzwi i wywoływał jakiś numer. Wtedy strażnicy zakładali smycz któremuś z ludzi i ciągnęli za sobą. Za każdym ukazaniem się woźnego biło mi serce. Przez uchylone drzwi z sali dobiegał zgiełk, od czasu do czasu słychać było okrzyki i brawa.

Moi towarzysze zostali po prezentacji szybko odwiezieni z powrotem. Kiedy zostałem sam z dozorcami, zacząłem gorączkowo powtarzać najważniejsze fragmenty przemówienia. Zostawiono mnie na koniec, na deser. Goryl w czerni ukazał się po raz ostatni i wywołał mój numer. Poderwałem się z miejsca, wyrwałem z rąk ogłupiałego małpiszona smycz, którą chciał mi przypiąć do obroży, i założyłem ją sobie sam. Tak oto, z dwoma dozorcami u boków, wkroczyłem pewnym krokiem na salę obrad. Za progiem przystanąłem, oślepiiony światłem i zbity z tropu.

Widziałem już wiele dziwnych rzeczy od czasu przybycia na planetę Soror. Sądziłem, że jestem do tego stopnia oswojony z obecnością małp i z ich zachowaniem, że nic już nie będzie w stanie mnie zaskoczyć. Tymczasem wobec niesamowitości widoku, jaki roztaczał się przed moimi oczami, doznałem zawrotu głowy i znowu wydawało mi się, że śnię.

Znajdowałem się w głębi gigantycznego amfiteatru (dziwnie przypominał mi on piekło Dantego), którego wszystkie rzędy obsiadły małpy. Było ich kilka tysięcy. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu małp naraz. Ich mnogość przerastała najbardziej zwariowane senne marzenia, jakie mogły zrodzić się w głowach biednych ziemskich fantastów. Ta liczba przytłaczała mnie.

Zachwiałem się i chcąc wrócić do równowagi zacząłem szukać w tym tłumie jakiegoś punktu oparcia. Dozorcy popychali mnie do środka koła podobnego do cyrkowej areny, gdzie znajdowała się estrada. Obróciłem się wolno wokół siebie. Szeregi małp wznosiły się aż pod sufit, który wydawał mi się na zawrotnej wysokości. Pierwsze miejsca zajmowali uczestnicy kongresu, sami zasłużeni naukowcy, ubrani w prążkowane spodnie i ciemne surduty, wszyscy przy orderach, prawie wszyscy w sędziwym wieku i prawie same orangutany. Zauważyłem jednak wśród nich małą grupkę goryli i szympansov. Szukałem tam Corneliusa, ale go nie dostrzegłem.

Za dostojnikami, po drugiej stronie balustrady, zajmował miejsca niższy personel naukowy. Na tym samym poziomie stała trybuna zarezerwowana dla dziennikarzy i fotoreporterów. Wreszcie jeszcze wyżej, za następną balustradą, kłębił się tłum, małpia publika, sądząc po żywej reakcji na moje wejście - bardzo podniecona.

Szukałem również Ziry, która powinna znajdować się wśród asystentów. Potrzebowałem jej krzepiącego spojrzenia. Jeszcze raz poczułem się zawiedziony. Żadnej bratniej małpiej duszy w tym całym otaczającym mnie piekielnym legionie małp.

Przeniosłem uwagę na dostojników. Siedzieli w fotelach obitych czerwonym sukniem, podczas gdy dla reszty były tylko krzesła i ławki. Przypominali mi z wyglądu Zaiusa. Pochylone głowy schowane w ramiona, długie, zgięte łapy położone na pulpitych, notujące od czasu do czasu kilka słów, choć może to były dziecinne bazgroły. Przez kontrast z ożywieniem panującym w wyższych rzędach, wyglądali jak upupieni. Odniosłem wrażenie, że moje wejście i zapowiedź przez głośnik przysły w samą porę, żeby rozbudzić ich słabnącą uwagę. Przypominam sobie nawet bardzo dobrze, jak trzy orangie poruszyły się gwałtownie i wyciągnęły szyje, jakby wyrwane z głębokiego snu.

Teraz wszyscy rzeczywiście się przebudzili. Moje wejście było gwoździem programu i poczułem na sobie spojrzenia tysięcy par małpich oczu, wyrażających najrozmaitsze uczucia, od obojętności do entuzjazmu.

Dozorcy wprowadzili mnie na trybunę, gdzie zasiadał postawny goryl. Zira wyjaśniła mi, że kongresowi przewodniczył organizator, a nie naukowiec, jak dawniej bywało. Uczone małpy, pozostawione same sobie, pograżały się w dyskusjach bez końca, które do niczego nie prowadziły. Po lewej stronie tej imponującej postaci siedział sekretarz-szympan i protokołował przebieg obrad. Po prawej zajmowali kolejne miejsca uczeni wygłaszający swoje referaty i demonstrujący ciekawe okazy. Teraz przyszła kolej na Zaiusa, którego powitano wątłymi brawkami. Dzięki głośnikom i silnym reflektorom nic z tego, co działo się na trybunie, nie mogło umknąć uwagi widzów z wyższych rzędów.

Prezydujący goryl potrząsnął dzwonkiem, a kiedy zapadła cisza oddał głos Zaiusowi, mającemu przedstawić człowieka, o którego istnieniu zgromadzenie już zostało poinformowane. Orangutan wstał, uklonił się i rozpoczął przemowę. Słuchając jej, swoją postawą dawałem do zrozumienia, że pojmuję wszystko. Kiedy mówił o mnie, kłaniałem się kładąc rękę na sercu, co wywoływało śmiechy na sali, tłumione natychmiast dźwiękiem dzwonka. Szybko zrozumiałem, że działam na swoją niekorzyść strojąc podobne żarty, które mogły być wzięte po prostu za rezultat dobrej tresury. Stałem więc spokojnie, czekając końca przemówienia.

Zaius nawiązał do wniosków przedstawionych w swoim referacie i zapowiedział wykonanie ze mną tych swoich przeklętych doświadczeń, do których akcesoria stały już przygotowane na estradzie. Na zakończenie powiedział, że jestem także zdolny do powtórzenia kilku słów jak niektóre ptaki, i dodał, że ma nadzieję, iż uda mu się to zademonstrować przed zgromadzeniem.

Zwrócił się teraz do mnie i podał mi szkatułkę zamkniętą na różne systemy. Zamiast przystąpić do dzieła, zrobiłem coś zupełnie innego. Wybiła moja godzina. Podniosłem rękę, ująłem za smycz i pociągając za sobą delikatnie dozorcę podszedłem do mikrofonu i zwróciłem się do przewodniczącego.

- Dostojny panie przewodniczący - rzekłem w swoim najlepszym małpim języku - z największą przyjemnością otworzę to pudełko i bardzo chętnie wykonam również wszystkie inne punkty programu. Tymczasem, zanim przystąpię do tego zadania, trochę zbyt łatwego dla mnie, proszę o pozwolenie złożenia oświadczenia, które, przysięgam, zadziwi szanowne zgromadzenie.

Mówiłem bardzo wyraźnie i każde moje słowo zostało zrozumiane. Rezultat był taki, jakiego się

spodziewałem. Małpy siedziały jak przykute do ławek, ogłuszone, z zapartym tchem. Dziennikarze zapomnieli o swoich notatkach, żaden fotograf nie był na tyle przytomny, żeby utrwalić na kliszy tę historyczną chwilę.

Przewodniczący przyglądał mi się z głupią miną. Zaius był wściekły.

- Panie przewodniczący! - wykrzyknął - ja protestuję...

Zamilkł jednak natychmiast zdawszy sobie sprawę, że ośmiesza się dyskutując z człowiekiem. Skorzystałem z tego i mówiłem dalej.

- Panie przewodniczący, domagam się usilnie, choć z najgłębszym szacunkiem, wyświadczenia mi tej łaski. Kiedy wyjaśnię pewne sprawy, przysięgam na honor, że spełnię polecenia dostojnego Zaiusa.

Huragan, jaki wybuchnął po ciszy, wstrząsnął zgromadzeniem. Burza przeszła przez oszalały amfiteatr przemieniając małpy w historyczną masę, słychać było krzyki, śmiechy, płacze i wiwaty, a wszystko wśród nieprzerwanego trzaskania magnezji oprzytomniałych wreszcie fotoreporterów.

Tumult trwał dobre pięć minut. Przewodniczący zaczął odzyskiwać tymczasem zimną krew i przyglądał mi się bacznie. Zdecydował się w końcu i potrząsnął dzwonkiem.

- Nie... nie wiem - zaczął, jękając się - nie bardzo wiem, jak mam się zwracać...

- Po prostu: proszę pana - oświadczyłem.

- A więc, no cóż, proszę p... pana, sądzę, że wobec tego niespotykanego przypadku, naukowy kongres, któremu mam zaszczyt przewodniczyć, winien wysłuchać pańskiego oświadczenia.

Nowa fala entuzjastycznych braw przyjęła tę mądrą decyzję. O to mi tylko chodziło. Stałem wyprostowany na środku podium, wyregulowałem wysokość mikrofonu i wygłosiłem następujące przemówienie.

VIII

- Dostojny panie przewodniczący, szlachetne goryle, uczone orangutany, subtelne szympansy, o małpy! Pozwólcie, że zwróci się do was człowiek. Wiem, że mój wygląd jest groteskowy, kształty - odpychające, profil - zwierzęcy, zapach - odrażający, a kolor skóry - wstrętny. Wiem, że sam widok tego śmiesznego ciała jest dla was zniewagą, ale wiem także, że zwracam się do najbardziej wykształconych i najmądrzejszych małp, których' umysły są zdolne wznieść się ponad uczucia podyktowane przez zmysły i pod żalostną cielesną powłoką dostrzec uduchowione wnętrze.

Ten pokorny i zarazem pompatyczny wstęp narzucili mi Zira i Cornelius, wiedzieli bowiem dobrze, czym można ująć orangutany. W głębokiej ciszy mówiłem dalej:

- Wysłuchajcie mnie, o małpy, albowiem ja mówię! I zapewniam was, że mówię nie jak nakręcona zabawka czy jak papuga. Ja myślę, mówię i rozumiem równie dobrze to, co wy mówicie, jak i to, co sam chcę wyrazić. Jeśli Wasze Wielmożności zechcą mi zadać jakieś pytania, za chwilę z przyjemnością na nie odpowiem, jak umiem najlepiej. Na razie chcę wam wyznać tę oto zdumiewającą prawdę: nie tylko jestem istotą myślącą, nie tylko - cóż za paradoks - istnieje dusza w moim ludzkim ciele, ale przybywam z odległej planety, Ziemi. Na tej Ziemi, w wyniku nie wyjaśnionego kaprysu natury, właśnie ludzie posiadli rozum i mądrość. Teraz za waszym pozwoleniem wyjaśnię, skąd pochodzę. Oczywiście, uczynię to nie z myślą o wybitnych doktorach, których widzę wokół siebie, ale o tych spośród słuchaczy, którzy być może nie są obeznani z różnymi systemami gwiazdnymi.

Podszedłem do czarnej tablicy i pomagając sobie kilkoma szkicami opisałem, jak umialem, Układ Słoneczny i jego położenie w naszej Galaktyce. Mojego wykładu wysłuchano w nabożnym skupieniu, ale kiedy skończyłem rysować i otrzepałem ręce z kredowego pyłu, ten zwyczajny gest wywołał wybuch entuzjazmu wśród publiczności z wyższych rzędów. Odwróciłem się do audytorium i

mówiłem dalej:

- A więc na tej Ziemi duch wcielił się w ludzką rasę. Tak już jest i nic na to nie poradzę. Podczas gdy małpy - jestem tym wstrząśnięty, odkąd odkryłem wasz świat - podczas gdy małpy pozostawały w stanie dzikim, ludzie podlegali ewolucji, ich mózg rozwijał się i doskonalił. To ludzie nauczyli posługiwać się językiem, odkryli ogień, wynaleźli narzędzia. Oni zagospodarowali planetę i ukształtowali jej oblicze, oni wreszcie stworzyli cywilizację tak wyrafinowaną, że pod wieloma względami przypomina ona waszą, o małpy!

Tu zacząłem przytaczać liczne przykłady naszych najwspanialszych osiągnięć. Opisałem nasze miasta, przemysł, środki komunikacji, formy rządów, prawa, rozrywki. Następnie, zwracając się wprost do uczonych, spróbowałem przedstawić nasze zdobycze w dziedzinie nauki i sztuki. Mówiłem coraz pewniej, zaczynałem odczuwać coś w rodzaju upojenia, jak bogacz wyliczający swoje majątki.

Przeszedłem z kolei do relacji z własnych przygód. Wyjaśniłem, w jaki sposób dotarłem w pobliże Betelgezy i wylądowałem na Sororze, jak zostałem następnie złapany, uwięziony w klatce i wreszcie jak próbowałem nawiązać kontakt z Zaiu-sem, przy czym, zapewne z braku pomysłu, wszystkie moje wysiłki okazały się daremne. Na koniec wspomniałem o bystrości Ziry i jej nieocenionej pomocy, jak również o pomocy doktora Corneliusa. Zakończyłem tymi słowami:

- To wszystko, co chciałem wam powiedzieć, o małpy! Teraz do was należy decyzja, czy po tych wszystkich nadzwyczajnych przygodach mam być nadal traktowany jak zwierzę i czy mam w klatce spędzić resztę życia. Dodam jeszcze, że przybyłem do was bez żadnych wrogich zamiarów, kierowany jedynie chęcią poznania. Odkąd was dobrze poznałem, odczuwam do was ogromną sympatię i podziwiam was szczerze. Oto mój plan, jaki proponuję wybitnym umysłom tej planety. Jeśli wziąć pod uwagę moją ziemską wiedzę, z pewnością będę mógł być dla was użyteczny. Co do mnie, w ciągu kilku miesięcy spędzonych w klatce nauczyłem się więcej, niż przez całe dotychczasowe życie. Podążajmy, małpy i ludzie, ręka w rękę, a wtedy żadna potęga, żadna tajemnica kosmosu nie zdoła nam się oprzeć!

Umilkłem wyczerpany, wśród głębokiej ciszy. Odruchowo chwyciłem szklankę z wodą stojącą na stoliku przewodniczącego i wychyliłem ją duszkiem. Jak poprzednio otrzepanie rąk, tak i teraz ten zwyczajny gest wywołał niebywałe wrażenie i dał sygnał do ogólnej wrzawy. Cała sala wybuchnęła nagle entuzjazmem, którego żadne pióro nie zdołałoby opisać. Wiedziałem już, że podbiłem słuchaczy, ale nigdy bym nie uwierzył, że jakiegokolwiek zgromadzenie na świecie może eksplodować takim hałasem. Stałem ogłuszony, zachowując jednak na tyle przytomność umysłu, by móc dostrzec jedno ze źródeł tak fantastycznej wrzawy. Małpy, żywiołowe z natury, klaszczą czterema łapami, kiedy podoba im się przedstawienie. Teraz znajdowałem się w samym środku kłębowiska opętanych stworzeń, balansujących na tyłkach dla zachowania równowagi i bijących rękami i nogami frenetyczne oklaski, aż miałem wrażenie, że za chwilę zawali się sklepienie sali, a wszystko to przy akompaniamencie wrzasków, wśród których dominował bas goryli. To był jeden z ostatnich obrazów, jakie pozostawiło mi to pamiętne posiedzenie. Poczułem, że chwieję się na nogach, i rozejrzałem się niespokojnie dookoła. Zaius wstał gwałtownie i zaczął spacerować po podium z rękami założonymi do tyłu, jak zwykł był chadzać przed moją klatką. Dojrzałem jak przez mgłę jego pusty fotel i opadłem nań ciężko. Usłyszałem jeszcze w odpowiedzi nową falę wrzasków, potem zemdlałem.

IX

Napięcie ostatnich godzin tak mnie wyczerpało, że dopiero po długim czasie odzyskałem przytomność. Zira i Cornelius krzatali się wokół mnie, a goryle w mundurach powstrzymywały napór

dziennikarzy i ciekawskich, którzy próbowali się do mnie dostać.

- Wspaniale! - szepnęła Zira. - Wygrałeś.

- Ulissesie - rzekł Cornelius - dokonamy razem wielkich rzeczy.

Dowiedziałem się, że Rada Najwyższa Sorory zakończyła właśnie nadzwyczajne posiedzenie, na którym zapadła decyzja o natychmiastowym wypuszczeniu mnie na wolność.

- Było kilku oponentów - dodał Cornelius - ale pod presją opinii musieli ustąpić.

On sam prosił o zezwolenie zaangażowania mnie jako swojego współpracownika i otrzymał je. Zacierał teraz ręce na myśl, jak pomocny mu będę przy jego badaniach.

- Ulokuję pana tutaj. Mam nadzieję, że ten apartament będzie panu odpowiadał. Będziemy mieszkać obok siebie, w skrzydle instytutu zarezerwowanym dla wyższego personelu.

Ze zdumieniem rozejrzałem się wokoło i pomyślałem, że śnię. Pokój był komfortowy. Nadszedł więc dla mnie początek nowej ery. Tak marzyłem o tej chwili, a jednak poczułem nagle, że ogarnia mnie jakaś tęsknota. Popatrzyłem na Zirę. Nasze spojrzenia spotkały się i zrozumiałem, że ta subtelna szympansi-ca odgadła moje myśli.

- Tutaj, oczywiście, nie będziesz miał Novy.

Zarumieniłem się i wruszając ramionami uniosłem się na poduszce. Wracalem do siebie i chciałem jak najszybciej rzucić się w wir nowego życia.

- Czy czujesz się na siłach wziąć udział w małej uroczystości? - spytała Zira. - Zaprośiliśmy kilku przyjaciół szympansów, żeby uczcić ten wielki dzień.

Odrzekłem, że nic nie sprawi mi większej przyjemności, lecz nie chcę już dłużej chodzić nago. Dopiero teraz zauważyłem, że mam na sobie pidżamę. Cornelius pożyczył mi swoją. O ile jednak mogłem od biedy włożyć pidżamę szympansa, o tyle w jego ubraniu wyglądałbym groteskowo.

- Jutro będziesz miał kompletną garderobę, a na dziś wieczór przyzwoity garnitur. O, przyszedł krawiec.

W drzwiach ukazał się niewysoki szympans i ukłonił mi się z wielkim uszanowaniem. Podobno, kiedy leżałem nieprzytomny, najslawniejsi krawcy ubiegali się o prawo ofiarowania mi swych usług. U tego właśnie, najbardziej renomowanego, ubierały się goryle ze stołecznej elity. Podziwiałem jego zręczność i szybkość. W niespełna dwie godziny udało mu się uszyć całkiem porządny garnitur. Poczuję się bardzo dziwnie w ubraniu, a Zira przyglądała mi się szeroko otwartymi oczami. Podczas gdy artysta dokonywał ostatnich poprawek, Cornelius wpuścił dobijających się do drzwi dziennikarzy. Pastwili się nade mną godzinę. Zarzucany pytaniami, pod ostrzałem fotoreporterów, musiałem im dostarczyć co ciekawszych szczegółów na temat Ziemi i życia jej mieszkańców. Z przyjemnością uczestniczyłem w tym spotkaniu. Jako dziennikarz rozumiałem dobrze, jakim smakowitym kąskiem byłem dla moich kolegów, i wiedziałem też, że prasa jest moim potężnym sprzymierzeńcem.

Kiedy zostaliśmy sami, było już późno. Mieliśmy właśnie wyjść na spotkanie z przyjaciółmi Corneliusa, gdy wszedł Za-nam. Musiał być poinformowany o ostatnich wydarzeniach, bo pokłonił się bardzo nisko. Przyszedł powiedzieć Zirze, że źle się dzieje na jej oddziale. Nova, wściekła z powodu mojej przedłużającej się nieobecności, narobiła straszego hałasu. Jej niepokój udzielił się innym i w żaden sposób nie można ich uspokoić.

- Już idę - rzekła Zira. - Poczekajcie tu na mnie. Rzuciłem jej błagalne spojrzenie. Zawahała się, po czym wruszyła ramionami.

- Chodź ze mną, jeśli chcesz - powiedziała. - W końcu jesteś wolny i może właśnie tobie będzie łatwiej ją poskromić.

Weszliśmy oboje do sali z klatkami. Więźniowie zamilkli na mój widok i po ogólnym tumulcie

zaległa dziwna cisza. Rozpoznali mnie z pewnością mimo ubrania i zdawali się rozumieć, że zaszło coś nadzwyczajnego.

Przejęty, skierowałem się do klatki Novy; do mojej klatki. Podszedłem blisko. Uśmiechnąłem się i przemówiłem do niej. Odniosłem przez moment wrażenie, że podąża za moim tokiem myślenia i zaraz odpowie. To było niemożliwe, ale sama moja obecność uspokoiła ją i pozostałych. Przyjęła kostkę cukru i gryzła ją łapczywie, podczas gdy ja oddalałem się z ciężkim sercem.

Z tego wieczoru spędzonego w jednym z modnych kabaretów - Cornelius postanowił bowiem od razu wprowadzić mnie w małpie środowisko, ponieważ i tak było mi przeznaczone żyć odtąd wśród nich - zachowałem mętne i dość niepokojące wspomnienia.

Ogólny zamęt wywołał alkohol, który wlewałem w siebie od samego początku i od którego mój organizm zdążył się odzwyczaić. Niepokój wziął się z przedziwnego uczucia, które nawiedzało mnie i później, przy wielu innych okazjach.

Wyjaśnić to mogę następująco: stopniowo zaczynałem zapominać, że otaczają mnie małpy, a nie ludzie. Liczyło się to, co robią, czym się zajmują, jaką rolę odgrywają w społeczeństwie. Maitre d'hôtel na przykład, który cały w ukłonach prowadził nas do stolika, to nie był goryl, a po prostu maitre d'hôtel. Wyzywająco ubrana szympanśica była tylko starą kokotą, a kiedy tańczyłem z Zirą, nie myślałem zupełnie z kim właściwie tańczę, bo w ramionach czułem tylko kibić tancerki. Szympan-sia orkiestra była zwykłą orkiestrą jakich wiele, a eleganckie światowe małpy popisujące się swym intelektem stały się podobne do wytwornych bywalców salonów.

Nie będę już opisywał sensacji, jaką wzbudziła wśród nich moja obecność. Wszystkie spojrzenia skierowane były na mnie. Musiałem rozdawać autografy licznym amatorom, a dwa goryle sprowadzone przezornie przez Corneliusa miały pełne ręce roboty, kiedy przyszło bronić mnie przed kłębiącymi się szym-pansicami w różnym wieku, z których każda chciała wypić ze mną albo zatańczyć.

Zrobiła się późna noc. Byłem już dobrze pijany, kiedy przypomniałem sobie o profesorze Antelle. Poczulem wyrzuty sumienia. Z przykrością pomyślałem, że ja tu się bawię i piję z małpami, a mój towarzysz marznie w klatce na słomie. Zira zapytała, czemu posmutniałem. Powiedziałem jej. Cornelius wtrącił, że pytał o profesora i że cieszy się dobrym zdrowiem. Nikt się już nie sprzeciwił wypuszczeniu go na wolność. Oświadczyłem stanowczo, że nie będę czekał ani minuty dłużej z zanieśieniem mu tej nowiny.

- W końcu, w takim dniu nie można panu niczego odmówić - zgodził się Cornelius po chwili zastanowienia. - Chodźmy, znam dyrektora zoo.

Opuściliśmy we trójkę kabaret i pojechaliśmy do ogrodu zoologicznego. Obudzony dyrektor pośpieszył na nasze spotkanie. Słyszał już o mnie. Cornelius powiedział mu, kim jest naprawdę jeden z trzymanyh w klatce ludzi. Nie wierzył własnym uszom, ale i on nie chciał mi niczego odmówić. Trzeba było oczywiście doczekać dnia, aby dopełnić kilku formalności związanych z uwolnieniem profesora, ale nic nie przeszkadzało, abym go zaraz zobaczył. Zaproponował nam swoje towarzystwo.

Świtało, kiedy znaleźliśmy klatkę, w której nieszczęsny uczony żył jak zwierzę pośród pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet. Spali jeszcze, jedni parami, inni grupkami po czterech i pięciu. Kiedy dyrektor zapalił światło, pootwierali oczy.

Szybko odnalazłem mojego towarzysza. Jak inni, leżał skulony na ziemi, przytulony do dość młodej, jak mi się wydawało, dziewczyny. Ciarki mi przeszły po plecach na jego widok, a jednocześnie rozczuliłem się nad sobą, bo i ja w takim upodleniu przeżyłem cztery miesiące.

Byłem tak przejęty, że nie mogłem mówić. Ludzie wyrwani ze snu nie okazywali specjalnego

zdziwienia. Byli oswojeni i dobrze wytresowani, więc od razu zaczęli swoje codzienne sztuczki w nadziei na jakąś nagrodę. Dyrektor rzucił im kawałki ciasta. Zrobił się zamęt i przepychanie, podobnie jak w dzień. Najmądrzejsi przyjęli swoją ulubioną pozę, siedząc w kucki przy kracie z wyciągniętą proszącą ręką.

Profesor podszedł jak najbliżej dyrektora, zebrząc o coś słodkiego. Jego upokarzające zachowanie dotknęło mnie z początku do żywego, ale po chwili ogarnął mnie paniczny strach. Był o trzy kroki, patrzył mi w oczy i zdawał się nie poznawać. Prawdę mówiąc jego spojrzenie, tak niegdyś żywe, straciło cały swój blask i wyrażało tę samą co u innych duchową pustkę. Z przerażeniem dostrzegłem jednak pewną reakcję, tę samą, dokładnie tę samą, co u innych ludzi, zaniepokojonych widokiem ubranego człowieka.

Dużo mnie to kosztowało wysiłku, ale w końcu przemówiłem, żeby przerwać ten koszmar.

- Profesorze - rzekłem. - Mistrzu, to ja, Ulisses Merou. Jesteśmy uratowani. Przyszedłem to panu powiedzieć...

Oślupiałem. Dźwięk mojego głosu wywarł ten sam odruch, co u innych: wyciągnął nagle szyję i cofnął się o krok.

- Profesorze, profesorze Antelle! - powtarzałem ze łzami w oczach. - To ja, Ulisses Merou, pański towarzysz podróży. Jestem wolny, a za kilka godzin pan też będzie wolny. Te małpy to nasi przyjaciele. Wiedzą, kim jesteśmy i traktują nas jak braci.

Nie odezwał się ani słowem. Nie okazał najmniejszego zrozumienia, tylko jak wystraszone zwierzę wycofał się chyłkiem w głąb klatki.

Byłem zrozpaczony, a małpy mocno zaintrygowane. Cornelius zmarszczył czoło jak zawsze, kiedy szukał rozwiązania jakiegoś problemu. Przyszło mi do głowy, że profesor, wystraszony ich obecnością, mógł równie dobrze symulować. Poprosiłem, żeby odeszli i zostawili nas samych, co zresztą z chęcią uczynili. Kiedy oddalili się, obszedłem klatkę, przybliżyłem się do zaszytego w kącie profesora i znów zacząłem mówić:

- Mistrzu, błagam, rozumiem pańską ostrożność. Wiem, na co Ziemianie narażają się na tej planecie. Ale nie jesteśmy sami, przysięgam, że ciężkie chwile ma pan już za sobą. Ja to panu mówię, ja, pański towarzysz, uczeń, przyjaciel, ja, Ulisses Merou.

Cofnął się jeszcze bardziej, rzucając spojrzenie spode łba. Kiedy tak stałem roztrzęsiony, nie wiedząc, co począć dalej, jego usta rozchyliły się.

Czyżby udało mi się go przekonać? Patrzyłem na niego z nadzieją. Odjęło mi jednak mowę z przerażenia, kiedy zobaczyłem, w jaki sposób okazał swoją emocję. Powiedziałem, że otworzył usta, nie był to jednak świadomy odruch osoby, która chce coś powiedzieć. Usłyszałem gardłowy dźwięk, który u tych dziwnych ludzi wyrażał zadowolenia albo strach. Krew ścięła mi się w żyłach, bo oto profesor Antelle nie poruszając wargami zawył przeciągle.

Cześć trzecia

I

Obudziłem się wcześniej po źle przespanej nocy. Przewracałem się długo na łóżku przecierając oczy, zanim przyszedłem do siebie. Nie przywykłem jeszcze do cywilizowanego życia, jakie wiodłem od miesiąca, i co rano budziłem się zaniepokojony, że nie słyszę szelestu słomy i nie czuję ciepłego dotknięcia Novy.

Oprzytomniałem wreszcie na dobre. Zajmowałem jeden z najlepszych apartamentów instytutu. Małpy okazały się wspaniałomyślne. Miałem do dyspozycji łóżko, łazienkę, ubrania, książki, telewizor. Dostałem wszystkie gazety. Byłem wolny. Mogłem wyjść, spacerować po ulicach, wybrać się na jakie zechcę przedstawienie. Moja obecność w miejscach publicznych ciągle jeszcze

wywoływała spore zaciekawienia, ale emocje pierwszych dni zaczynały powoli wygasać.

Dyrektorem naukowym instytutu jest teraz Cornelius. Zaius poszedł w odstawkę - dostał jednak jakieś inne stanowisko, a także nowe odznaczenie, a narzeczony Ziry został mianowany na jego miejsce. W rezultacie nastąpiło odmłodzenie kadr, ogólny awans szympansej partii i wzrost aktywności we wszystkich dziedzinach. Zira została zastępczynią nowego dyrektora.

Co do mnie, uczestniczę w jego pracach naukowych już nie w roli królika doświadczalnego, ale jako współpracownik. Nawiasem mówiąc, Cornelius z wielkim trudem uzyskał na to zezwolenie, przezwyciężając rozmaite opory ze strony Rady Najwyższej. Wyglądało na to, że władze niechętnie przyjęły do wiadomości prawdę o mojej naturze i pochodzeniu.

Ubrałem się szybko i wyszedłem, kierując się w stronę mojego dawnego więzienia. Mieści się tu oddział Ziry, który w dalszym ciągu prowadzi, łącząc tę pracę ze swoimi nowymi funkcjami. Za zgodą Corneliusa podjąłem tam systematyczne badania nad ludźmi.

Oto jestem w sali klatek i przechadzam się wzdłuż krat, jakbym był jednym z władców tej planety. Czy muszę mówić, że bywam tu często, o wiele częściej, niż wymaga tego moja praca? Czasami zbyt mi ciężko nieustanna obecność małp i tutaj znajduję coś w rodzaju schronienia.

Więźniowie przyzwyczaili się już do mnie i uznają mój autorytet. Czy widzą jakąś różnicę pomiędzy mną, Zirą i karmiącymi ich goryłami? Chciałbym bardzo, wątpię jednak, aby tak było. Choć upłynął miesiąc, również i mnie nie udało się - mimo cierpliwości i wytrwałej pracy - nauczyć ich czegoś więcej, niż można nauczyć dobrze wytresowane zwierzę. A jednak jakieś podświadome przecucie mówi mi, że drzemią w nich większe możliwości.

Chciałbym ich nauczyć mówić. Jest to moją wielką ambicją. Rzecz jasna, nie udało mi się jeszcze. Zaledwie kilku zdoła powtórzyć dwie albo trzy sylaby, ale i u nas są szympansy, które potrafią robić to samo. To niewiele, ale nie tracę nadziei. Dodaje mi otuchy natarczywość, z jaką wszystkie spojrzenia szukają teraz mego wzroku, spojrzenia, które od pewnego czasu zmieniły się jakby, bo oto w miejsce otępienia pojawiła się w nich ciekawość, będąca oznaką wyższego stopnia świadomości.

Powoli obchodzę całą salę, zatrzymując się przed każdym. Przemawiam do nich łagodnie, cierpliwie. Oswoili się już z tym niezwykłym faktem. Robią wrażenie, jakby słuchali. Trwa to kilka minut, potem zmieniam taktykę i zaczynam wymawiać proste słowa, powtarzając je kilkakrotnie i wyczekując odzewu. Ten i ów wymówi niezręcznie jakąś sylabę, ale dziś nie posuniemy się dalej. Męczą się szybko, zniechęcają wobec przekraczającego ich siły zadania i kładą na słomie, jak po ciężkiej pracy. Z westchnieniem przechodzę do następnego. Staję w końcu przed klatką, w której wegetuje Nova, samotna teraz i smutna. Właśnie, smutna! W każdym razie w swojej ziemskiej zarozumiałości chcę w to uwierzyć, próbuję wyczytać to uczucie w tej pięknej, lecz pozbawionej wyrazu twarzy. Zira nie przydzieliła jej nowego towarzysza i zyskała tym moją wdzięczność.

Często myślę o Novie. Nie mogę zapomnieć spędzonych z nią chwil. Jednak już nigdy potem nie wszedłem do jej klatki. Zabrania mi tego ludzka godność. Czyż Nova nie jest zwierzęciem? Obracam się teraz w wyższych sferach naukowych, jakże więc mógłbym sobie pozwolić na tak kompromitującą poufałość? Czerwienię się na samą myśl o naszej dawnej zażyłości. Odkąd przeszedłem do przeciwnego obozu, nie pozwalałam sobie nawet na okazanie jej większego zainteresowania niż innym.

A jednak muszę przyznać, że Nova wyróżnia się spośród pozostałych i to mnie cieszy. Z nią uzyskuję najlepsze wyniki. Kiedy mnie zobaczyła, przywarła do kraty i wykrzywiła usta w grymasie, który od biedy może uchodzić za uśmiech. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, próbuje wymówić te cztery czy pięć znanych jej sylab. Wyraźnie stara się. Może jest z natury zdolniejsza od innych? A może zmieniła się pod moim wpływem i jest dzięki temu bardziej podatna na naukę? Chętnie myślę,

że tak właśnie jest.

Wymawiam swoje imię, później jej, i wskazuję na nas kolejno. Nova naśladuje mój gest. W tej chwili słyszę za sobą cichy śmiech, a Nova momentalnie zmienia się na twarzy i szczyrzy zęby.

To Zira i Cornelius. Zira podkpiwa sobie dobrotliwie z moich wysiłków, a jej obecność za każdym razem wprawia Novę w złość. Cornelius natomiast interesuje się moimi próbami i często przychodzi, żeby zobaczyć jak mi idzie. Dziś miał do mnie zupełnie inną sprawę. Był dość podniecony.

- Ulissesie, co by pan powiedział na małą podróż?

- Podróż?

- Dość daleko, prawie na antypody. Jeśli można wierzyć nadsyłanym sprawozdaniom, archeolodzy odkryli tam niezwykle ciekawe ruiny. Wykopaliskami kieruje orangutan, więc nie bardzo można liczyć na właściwą interpretację tego odkrycia. Jest w tym coś niejasnego, coś, co mnie intryguje i co może mieć decydujący wpływ na wyniki pewnych moich badań. Akademia wysłała mnie tam służbowo i sądzę, że pańska obecność będzie mi bardzo pomocna.

Nie bardzo wiedziałem, w czym mógłbym mu pomóc, ale z radością przystałem na propozycję, bo dawała mi okazję zobaczenia czegoś nowego. Cornelius zabrał mnie do swego biura, gdzie mieliśmy szczegółowo omówić całą sprawę.

Bardzo mi to odpowiadało. Miałem wymówkę, żeby nie dokończyć codziennego obchodu. Został mi jeszcze jeden więzień - profesor Antelle. Jest ciągle w tym samym stanie, który uniemożliwia wypuszczenie go na wolność. Za moim wstawiennictwem umieszczono go jednak osobno, w dość wygodnej celi. Odwiedziny u niego odczuwam jako przykry obowiązek. Nie reaguje na moje zabiegi i w dalszym ciągu zachowuje się jak stuprocentowe zwierzę.

II

Wyjechaliśmy w tydzień później. Towarzyszyła nam Zira, ale miała wrócić po kilku dniach, żeby czuwać nad pracą w instytucie pod nieobecność Corneliusa. On sam przewidywał dłuższy pobyt na wykopaliskach, o ile okazałyby się tak ciekawe, jak przypuszczał.

Do naszej dyspozycji został oddany specjalny samolot. Był to odrzutowiec podobny do naszych pierwszych powojennych samolotów tego typu, bardzo wygodny zresztą, wyposażony w mały dźwiękoszczelny salonik, gdzie można było sobie spokojnie porozmawiać. Zasiadliśmy tam z Zirą zaraz po starcie. Byłem szczęśliwy, że mogę odbyć tę podróż. Czułem się już teraz dobrze wśród małp. Ani mnie nie zdziwił, ani nie przestraszył widok małpy pilotującej duży samolot. Przez cały czas rozkoszowałem się krajobrazem i okazją ujrzenia imponującego wschodu Betelgezy. Lecieliśmy na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów. Powietrze było niezwykle czyste, a gigantyczna gwiazda rysowała się na horyzoncie, podobna do Słońca obserwowanego przez lunetę. Zira nie posiadała si? z zachwytem.

- Czy na Ziemi bywają takie piękne ranki? - pytała. - Czy twoje Słońce też jest takie piękne?

Odpowiedziałem, że nie jest tak wielkie i mniej czerwone, ale że nam wystarcza w zupełności. Za to nasz księżyc jest większy, a jego blade światło jest intensywniejsze niż satelity Sorory.

Byliśmy w radosnym nastroju, niczym dzieciaki na wakacjach, żartowałem z Zirą, jak z najlepszą przyjaciółką. Gdy po pewnym czasie dołączył do nas Cornelius, miałem mu niemal za złe, że zakłócił nasze sam na sam. Był zatroskany. Nie od dziś zresztą wydawał się niespokojny. Pracował bardzo dużo, prowadząc samodzielne badania. Był nimi tak pochłonięty, że czasami robił wrażenie zupełnie nieobecnego. Przedmiot swoich poszukiwań utrzymywał w tajemnicy i podejrzewam, że Zira także go nie znała. Wiedziałem tylko, że miało to jakiś związek z pochodzeniem małp i że młody naukowiec coraz bardziej oddalał się od klasycznych teorii. Tego ranka po raz pierwszy odsłonił przede mną

pewne aspekty swoich badań i szybko zrozumiałem, dlaczego moja obecność, obecność człowieka cywilizowanego, była dla niego tak ważna. Znowu powrócił do tematu, który przedyskutowaliśmy już tysiąc razy.

- Mówił mi pan, Ulissesie, że na waszej Ziemi małpy są naprawdę zwierzętami? Że człowiek osiągnął stopień rozwoju równy naszemu i że pod wieloma względami nawet... Niech się pan nie boi mnie urazić, nauka nie zna miłości własnej.

- Tak. Pod wieloma względami go przewyższa. Nie ulega najmniejszej wątpliwości. Najlepszy dowód, że jestem tutaj. Wydaje mi się, że pozostajecie na etapie...

- Wiem, wiem... - przerwał mi ze znużeniem. - Mówiliśmy już o tym wszystkim. Zgłębiaamy teraz tajemnice, które wy odkryliście kilka wieków temu... Ale intrygują mnie nie tylko pańskie wypowiedzi - ciągnął, chodząc nerwowo tam i z powrotem. - Od dłuższego czasu nie daje mi spokoju moja intuicja, intuicyjne przekonanie poparte pewnymi konkretnymi wskazówkami, że te tajemnice nawet tutaj, na naszej planecie, zostały zgłębione przez inne istoty rozumne już w odległej przeszłości.

Mogłem mu na to odpowiedzieć, że podobne wrażenie ponownego odkrywania nurtowało tak samo niektóre umysły na Ziemi. Może nawet był to pogląd powszechnie przyjęty i może leżał u źródeł naszej wiary w Boga. Nie chciałem mu przerywać. Szedł za tokiem swoich myśli, bardzo jeszcze bezładnych, i wypowiadał się z wielką ostrożnością.

- Istoty rozumne - powtórzył, zadumany - które być może nie były...

Urwał nagle. Wyglądał na nieszczęśliwego, jakby prześladowało go przecucie jakiejś prawdy, którą rozum nakazywał mu odrzucić.

- Mówił mi pan również, że wasze małpy mają bardzo rozwinięty zmysł naśladownictwa?

- Naśladują nas we wszystkim, co robimy, to znaczy w czynnościach, które nie wymagają prawdziwego rozumowania. Do tego stopnia, że czasownik "małpować" jest dla nas synonimem naśladowania.

- Ziro - wymamrotał Cornelius, przygnębiony - czy ta zdolność małpowania nie jest charakterystyczna także i dla nas?

Nie zwracając uwagi na jej protesty, ciągnął z ożywieniem:

- To zaczyna się już w dzieciństwie. Całe nasze nauczanie jest oparte na naśladowaniu.

- To orangutany...

- Tak! Ich wpływ jest tutaj największy. Przecież to one kształtują młodych poprzez swoje książki. Zmuszają dzieci do powtarzania wszystkich pomyłek minionych pokoleń. Tym się tłumaczy fakt, że tak wolno postępujemy naprzód. Od dziesięciu tysięcy lat stoimy prawie w miejscu.

Ten powolny rozwój u małp wymaga kilku słów wyjaśnienia. Uderzyło mnie to, kiedy studiowałem ich historię. Dostrzegłem wtedy poważne różnice między możliwościami umysłowymi tych zwierząt a naszymi. Oczywiście my także w historii przeżywaliśmy okresy pewnej stagnacji, myśmy też mieli swoje orangutany, fałszywe nauczanie, śmieszne wręcz programy. Taki stan trwał bardzo długo.

Nie tak długo wszakże jak u małp, a przede wszystkim nie na tym samym szczeblu rozwoju. Okres obskurantyzmu, nad którym szympanś tak ubolewał, trwał na Sororze około dziesięciu tysięcy lat. W tym czasie nie dokonał się żaden prawdziwy postęp, z wyjątkiem może ostatniego półwiecza. Ale co było dla mnie niesłychanie ciekawe to fakt, że ich pierwsze legendy, pierwsze kroniki, pierwsze pamiętniki świadczą o bardzo rozwiniętej cywilizacji, w gruncie rzeczy prawie takiej jak obecna. Te stare dokumenty sprzed dziesięciu tysięcy lat wskazują na poziom ogólnej wiedzy i osiągnięć porównywalny ze współczesnym. A przedtem - jedna wielka niewiadoma, żadnej tradycji ustnej czy

pisanej, żadnej poszlaki. Krótko mówiąc, wszystko przemawiało za tym, że małpia cywilizacja rozkwitła cudownie i niespodziewanie dziesięć tysięcy lat temu i przetrwała prawie nie zmieniona. Przeciętny małpishon przywykł uważać ten stan za normalny, nie wyobrażał sobie, że może istnieć jakiś inny etap świadomości, ale wnikliwy umysł Corneliusa dopatrywał się w tym niejasności i to mu nie dawało spokoju.

- Przecież są małpy zdolne do oryginalnej twórczości - zaprotestowała Zira.

- To prawda - przyznał Cornelius. - Szczególnie od kilku lat. Z upływem czasu duch może się wcielić w czyn. Powinien nawet. W ewolucji jest to normalny bieg rzeczy... Ale to czego szukam do tej pory bezskutecznie, Ziro, to co chcę znaleźć - to odpowiedź na pytanie, jak się to wszystko zaczęło... Dzisiaj nie wydaje się nieprawdopodobne, że u początków naszej ery leżało zwykłe naśladownictwo.

- Naśladownictwo czego, kogo?

Znów wrócił do poprzedniej rezerwy, spuścił wzrok, jakby żałował, że za dużo powiedział.

- Nie mogę jeszcze wyciągnąć konkretnych wniosków - rzekł wreszcie. - Potrzeba mi dowodów. Może znajdziemy je w ruinach zasypanego miasta. Według sprawozdań liczy sobie przeszło dziesięć tysięcy lat i pochodzi z epoki, o której nic jeszcze nie wiemy.

III

Cornelius nie powiedział nic więcej, zachowuje rezerwę, ale to, co zaczyna się wyłaniać z jego niedomówień, wprawia mnie w szczególne uniesienie.

Archeolodzy odkryli całe miasto pogrzebane w piaskach pustyni, z którego pozostały niestety tylko ruiny. Jestem przekonany, że kryją w sobie cudowną tajemnicę, i przysięgłem sobie ją zgłębić. Można tego dokonać, jeśli się umie myśleć i obserwować. Orangutan kierujący wykopaliskami nie wydaje się być do tego zdolny. Przyjął co prawda Corneliusa z dużym szacunkiem, należnym wysokiemu stanowisku, jednocześnie ledwo ukrywa lekceważenie dla jego młodego wieku i oryginalnych poglądów.

Prowadzenie poszukiwań wśród rozpadających się przy każdym ruchu kamieni, w piasku, który usuwa się spod nóg, jest benedyktyńską pracą. Trwa to już miesiąc. Zira dawno wyjechała, ale Cornelius ciągle przedłuża swój pobyt. Pasjonuje się tym jak ja, przekonany, że w starych ruinach znajdzie odpowiedź na gnębiące go zasadnicze pytania.

Zakres jego wiedzy jest zadziwiający. Na początku postawił sobie za zadanie ustalenie wieku miasta. Metody ich badań są, podobnie jak nasze, oparte na głębokiej znajomości chemii, fizyki i geologii. W tej kwestii szympans zgodził się z oficjalną opinią: miasto jest bardzo, bardzo stare. Liczy wiele więcej niż dziesięć tysięcy lat i stanowi jedyny w swoim rodzaju dowód, że małpia cywilizacja nie była wybrykiem natury, zrodzonym jakimś cudem z niczego.

Coś musiało się wydarzyć na długo przedtem. Ale co? Po całym miesiącu gorączkowych poszukiwań jesteśmy rozczarowani, bo odnosimy wrażenie, że to prehistoryczne miasto nie różni się zasadniczo od współczesnego. Odkryliśmy ruiny domów, ślady fabryk, pozostałości świadczące o tym, że przodkowie małp posiadali samochody i samoloty podobnie jak dziś. Osiągnęli więc ten sam szczebel rozwoju już w zamierzchłej przeszłości. Czuję, że Cornelius oczekiwał czegoś więcej. Ja też nie tego się spodziewałem.

Tego ranka Cornelius poszedł pierwszy na miejsce robót, gdzie robotnicy odłoniли dom o grubych, jakby betonowych murach, który wydaje się lepiej zachowany od innych. Wnętrze wypełnione jest piaskiem zmieszonym z różnymi szczątkami. Postanowiono dokładnie je zbadać. Do wczoraj nie znaleziono jeszcze nic nowego: resztki instalacji, sprzętów domowych, naczyń. Siedzę przez chwilę beczynnym przy wejściu do namiotu, który dzielę z Corneliusiem. Widzę stąd

orangutana, jak wydaje polecenia brygadziście, młodemu szympansovi o sprytnym spojrzeniu. Mojego przyjaciela nie widać, jest w wykopie z robotnikami. Często pracuje razem z nimi. Boi się, żeby nie wyrządzili jakiejś szkody, nie przeoczyli czegoś ciekawego.

Właśnie wychodzi z dołu, z daleka widać, że znalazł coś wyjątkowego. Trzyma w rękach jakiś mały przedmiot. Bez ceremonii odpycha starego orangutana, który usiłuje mu go odebrać, i z wielką ostrożnością kładzie na ziemi. Patrzy w moją stronę i przywołuje mnie. Podchodzę, zaintrygowany zmienionym wyrazem jego twarzy.

- Ulissesie! Ulissesie!

Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Ledwie może wykrztusić słowo. Robotnicy także wyleźli z dołu i otaczają teraz kołem zdobycz, więc na razie nic nie widzę. Pokazują sobie coś palcami, wyraźnie ubawieni. Niektórzy głośno się śmieją. Są to prawie bez wyjątku rosłe goryle. Cornelius nie pozwala im się zbliżyć.

- Ulissesie!

- Co się stało?

Dopiero teraz widzę przedmiot leżący na piasku, a on mówi stłumionym głosem:

- Lalka, Ulissesie, lalka!

Rzeczywiście jest to lalka. Zwykła, porcelanowa lalka. Jakimś cudem zachowała się prawie nietknięta, widać resztki włosów, oczy ze szczątkami kolorowej emalii. Jest to widok tak dla mnie zwyczajny, że w pierwszej chwili nie rozumiem podniecenia Corneuusa. Trzeba było paru sekund, żeby pojąć... Już wiem! To odkrycie wstrząsnęło mną do głębi. Przecież to ludzka lalka przedstawiająca dziewczynkę, naszą dziewczynkę. Zaraz... nie dajmy się zwariować. Zanim będziemy mówić o cudownym odkryciu, trzeba zbadać wszystkie możliwości banalnego wyjaśnienia. Uczony tej miary co Cornelius z pewnością już to zrobił. Zastanówmy się: wśród lalek, jakimi bawią się małe małpki, są przecież, nieliczne wprawdzie ale przecież są, lalki przedstawiające zwierzęta, a nawet ludzi. Samo znalezienie lalki nie mogło więc aż tak wstrząsnąć szympansem. Już rozumiem - małpie zabawki przedstawiające zwierzęta nie są z porcelany, a przede wszystkim nie są ubrane. W każdym razie nie są ubrane tak, jak ubierają się istoty rozumne. Tymczasem ta lalka, powiadam wam, jest ubrana po ludzku. Widać wyraźnie strzępy sukienki, gorsetu, halki, majteczek - zupełnie jakby to ziemską dziewczynka wystroiła swoją ulubioną zabawkę. Jest ubrana ze starannością, jaką by okazało małpiątko z Sorory ubierające swoją lalkę-małpeczkę, ale nigdy, przenigdy - ludzką postać.

Rozumiem, rozumiem coraz lepiej poruszenie mojego szympan-siego przyjaciela.

Ale to nie wszystko. Ta zabawka jest niezwykła jeszcze pod innym względem. Dziwna rzecz pobudziła do śmiechu robotników, uśmiechnął się nawet orangutan, kierownik wykopalisk. Lalka mówi. Tak jak mówią lalki na Ziemi. Kładąc ją na ziemi Cornelius uruchomił przypadkowo mechanizm i wtedy przemówiła. No, nie trwało to długo. Wymówiła jedno słowo, proste, dwusylabowe słowo ta-ta. Ta-ta, powtarza lalka, kiedy Cornelius podnosi ją znowu i obraca na wszystkie strony zwinnymi palcami. To słowo brzmi tak samo po francusku i po małpiemu i może także w wielu innych językach niezbadanego kosmosu. Ta-ta, powtarza znowu mała, ludzka lalka. Mój uczyony kolega jest cały czerwony z wrażenia, a ja jestem tak przejęty, że muszę powstrzymać się od krzyku. Cornelius odciąga mnie na bok zabierając cenną zdobycz.

- Skończony kretyn - mruknął po dłuższej chwili milczenia.

Wiem, kogo ma na myśli, i podzielam jego oburzenie. Stary, obwieszony orderami orang dostrzegł tylko zwykłą zabawkę małej małpki, którą jakiś ekscentryczny rzemieślnik wyposażył w zamierzchłej przeszłości w mówiący mechanizm. Nie warto go przekonywać i Cornelius nawet nie próbuje. Wyjaśnienie, jakie siłą rzeczy przychodzi mu do głowy, jest tak kłopotliwe, że woli je

zachować dla siebie. Nie odezwał się do mnie ani słowem, ale dobrze wie, że ja i tak odgadłem.

Był zamyślony i milczący do końca dnia. Odniosłem wrażenie, że boi się teraz kontynuować swoje badania i żałuje krótkich chwil szczerości. Ochłonawszy z pierwszgo uniesienia ubolewa teraz, że byłem świadkiem jego odkrycia.

Zaraz nazajutrz miałem tego wyraźny dowód: wyrzuca sobie, że mnie tu sprowadził. Unikając mego wzroku oświadczył, że po nocnych rozmyślaniach zdecydował odesłać mnie do instytutu.

Będę tam mógł wrócić do badań ważniejszych niż te tutaj, wśród ruin. Zarezerwowano mi już bilet na samolot. Wyjeżdżam za dwadzieścia cztery godziny.

IV

Przypuśćmy - mówiłem sobie - że kiedyś ludzie rządili na tej planecie. Przypuśćmy, że ludzka cywilizacja podobna do naszej kwitła na Sororze przeszło dziesięć tysięcy lat temu.

Taka hipoteza nie jest wcale pozbawiona sensu. Przeciwnie. Ledwie sformułowałem to przypuszczenie, poczułem podniecenie, jakie wywołuje znalezienie jedynej dobrej drogi wśród mylnych ścieżek. Wiem, że podążając tą drogą, znajdę rozwiązanie intrygującej małpiej zagadki. Spostrzegłem, że podświadomie zawsze marzyłem o właśnie takim wyjaśnieniu.

Siedzę w samolocie, który unosi mnie w kierunku stolicy, w towarzystwie sekretarza Corneliusa, małomównego szympansa. Nie odczuwam potrzeby rozmowy. Podróż samolotem zawsze skłaniała mnie do refleksji, więc trudno o lepszą okazję do uporządkowania myśli.

...Przypuśćmy więc, że na Sororze istniała stara cywilizacja, zbliżona do naszej. Czy jest możliwe, żeby istoty pozbawione rozumu przedłużały jej żywot na zasadzie prostego naśladownictwa? Odpowiedź na to pytanie wydaje mi się ryzykowna, ale w miarę jak analizuję ją dokładniej, znajduję masę argumentów świadczących, że nie jest ona taka niedorzeczna. Teoria, że doskonale maszyny mogą nas zastąpić któregoś dnia, jest, o ile sobie dobrze przypominam, bardzo rozpowszechniona na Ziemi. I to nie tylko wśród poetów i powieściopisarzy, ale we wszystkich środowiskach. Może dlatego, że jest tak powszechna, spontanicznie zrodzona z ludzkiej wyobraźni, może dlatego ta teoria irytuje uczonych. Może dlatego, że zawiera cząstkę prawdy. Tylko cząstkę. Maszyny będą zawsze maszynami, najbardziej doskonały robot pozostanie tylko robotem. A żywe stworzenia, mające rozwiniętą w pewnym stopniu psychikę, jak na przykład małpy? Przecież właśnie małpy są obdarzone wyostrozonym zmysłem naśladowczym...

Przymykam oczy, leniwie wsłuchuję się w szum silników. Czuję potrzebę podyskutowania z samym sobą, aby uzasadnić mój punkt widzenia.

Co określa cywilizację? Wyjątkowy geniusz? Nie, życie codzienne. Hm! Dajmy pierwszeństwo sprawom duchowym. Zgódźmy się, że jest to przede wszystkim sztuka, a w pierwszym rzędzie literatura. Czy rzeczywiście jest ona poza zasięgiem naszych małp człekokształtnych, jeśli założymy, że są zdolne łączyć i kojarzyć słowa? Z czego się składa nasza literatura? Z arcydzieł? Też nie. Jeżeli pojawi się wybitna książka - nie ma ich wiele więcej niż jedna czy dwie na stulecie - inni pisarze naśladują je, czyli przepisują i w rezultacie pojawiają się setki tysięcy dzieł. Opisują dokładnie te same rzeczy, zmieniają się tylko tytuły i kombinacje zdaniowe. Do tego małpy - urodzeni naśladowcy - powinny być zdolne, pod warunkiem jednak, że potrafią posłużyć się językiem.

W sumie, język stanowi jedyną prawdziwą przeszkodę. Ale uwaga! Małpy niekoniecznie muszą rozumieć to, co przepisują, aby ułożyć sto tysięcy tomów na podstawie jednego. Nie jest im to bardziej potrzebne niż ludziom. Jak nam, wystarczy im powtórzyć zasłyszane zdania. Cała reszta procesu literackiego jest czysto mechaniczna. Na tym etapie rozumowania teorie niektórych biologów nabierają wartości. Nie ma niczego w anatomii małp - twierdzą - co by im uniemożliwiało posługiwać się mową. Niczego poza brakiem woli. Można z łatwością sobie wyobrazić, że na skutek

jakiejś nagłej mutacji przyszła im na to ochota.

Kontynuacja dzieła literackiego, takiego jak nasze, przez mówiące małpy nie przeczy więc zdrowemu rozsądkowi. Później, być może, kilku małpich pisarzy wniosło się na wyższy poziom intelektualny. Jak mawiał mój przyjaciel Cornelius, duch wcielił się w czyn - i kilka oryginalnych myśli mogło się narodzić w tym nowym małpim świecie. Jedna na sto lat, jak na Ziemi.

Uparcie podążając za tym tokiem rozumowania doszedłem do przekonania, że wytresowane zwierzęta mogły równie dobrze malować obrazy i wykonywać rzeźby, które zdobią stołeczne muzea, a ogólnie biorąc, mogły dojść do doskonałości we wszystkich dziedzinach ludzkiej sztuki, nie wyłączając kinematografii.

Po rozważeniu w ten sposób wyższych czynności duchowo-intelektualnych, rozciągnięcie mojej teorii na inne dziedziny było dziecinnie łatwe. Z przemysłem uporałem się szybko. Zdało mi się oczywiste, że jego trwanie w czasie nie wymagało żadnej racjonalnej inicjatywy. Podstawę produkcji przemysłowej stanowią robotnicy wykonujący ciągle te same czynności, przy których mogły ich równie dobrze zastąpić małpy. Na wyższych szczeblach były kadry, których rola polegała na pisaniu sprawozdań i umiejętności powiedzenia kilku właściwych słów w określonych sytuacjach. Wszystko to jest kwestią odruchów warunkowych. Na szczycie drabiny administracyjnej małpowanie wydawało mi się jeszcze bardziej na miejscu. Żeby zachować ciągłość naszego systemu wystarczyło, żeby byle goryl naśladował pewne określone postawy i wygłaszał przemowy wzorowane na jednym i tym samym modelu.

Zacząłem rozpatrywać najprzeróżniejsze dziedziny naszej ziemskiej działalności pod zupełnie nowym kątem i wyobrażałem sobie, że uczestniczą w nich małpy. Nie bez satysfakcji wciągnąłem się w tę grę, która nie wymagała żadnego umysłowego wysiłku. Przypominałem sobie niektóre zgromadzenia polityczne, w których brałem udział jako dziennikarz, oklepane frazesy wygłaszane przez udzielające mi wywiadów osobistości. Ze szczególną wyrazistością przeżywałem jeszcze raz słynny proces, który obserwowałem przed kilku laty.

Obrońcą był jeden z mistrzów palestry. Dlaczego widziałem go teraz pod postacią dumnego goryla, tak samo zeszłą jak i prokuratora - inną prawniczą sławę? Czemu ich gesty i interwencje przypisywałem odruchom warunkowym, wynikającym z dobrej tresury? Dlaczego przewodniczący trybunału był dla mnie uroczystym orangutanem recytującym wyuczone na pamięć formułki automatycznie, stosownie do takich czy innych wypowiedzi świadków, takiej czy innej reakcji sali?

Na takich obsesyjnych myślach, pełnych sugestywnych skojarzeń, upłynęła mi reszta podróży. Kiedy doszedłem do świata finansów i interesu, przypomniło mi się czysto małpie widowisko, jakiego byłem ostatnio świadkiem. Mam na myśli wizytę na giełdzie, dokąd zaprowadził mnie przyjaciel Corneliusa, gdyż była to jedna z ciekawostek stolicy. Oto, co zobaczyłem, oto obraz, który podczas ostatnich minut lotu jak żywy stanął mi przed oczami.

Giełda mieściła się w dużym gmachu. Już z daleka wyczuwało się jakąś dziwną atmosferę wywołaną pomrukiem tłumu, nasilającym się stopniowo i przechodzącym w ogłuszającą wrzawę. Weszliśmy i znaleźliśmy się od razu w samym środku tumultu. Przyłgnąłem do kolumny. Byłem już przyzwyczajony do pojedynczych małp, ale widok zbitego tłumu wciąż jeszcze wprawiał mnie w osłupienie. Tak było i teraz, tylko że to, co zobaczyłem, było jeszcze bardziej niesamowite niż zgromadzenie uczonych w dniu sławetnego kongresu. Niech ktoś spróbuje sobie wyobrazić ogromną salę zapełnioną, dosłownie nabitą po brzegi małpami, które krzyczą, gestykują, biegają tam i z powrotem jak w historycznym transie, które nie tylko przepychają się i wpadają na siebie, ale skłębioną masą unoszą się aż pod sufit, na wysokość przyprawiającą o zawrót głowy. W sali zainstalowane były drabiny, trapezy, liny służące do przenoszenia się z miejsca na miejsce w

dowolnej chwili. Wypełniały cały gmach giełdy, który sprawiał wrażenie gigantycznej klatki, przystosowanej do cyrkowych popisów czwororęcznych.

Małpy dosłownie fruwały w powietrzu, czepiając się czegoś w ostatniej chwili, kiedy już myślałem, że spadną na ziemię. Wszystko to działo się przy piekielnym akompaniamencie wrzasków, okrzyków, nawoływań, a nawet dźwięków, które nie przypominały żadnego cywilizowanego języka. Były tam małpy, które czekały; naprawdę czekały bez żadnego wyraźnego powodu, przerzucając się z jednego końca sali na drugi, uczone długiej liny.

- Czy widział pan kiedyś coś podobnego? - spytał z dumą przyjaciel Corneliusa.

Przyznałem skwapliwie, że nie widziałem. Rzeczywiście, trzeba mi było całej dotychczasowej znajomości świata małp, żeby moje w dalszym ciągu uważać za istoty rozumne. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, sprowadzony do tego cyrku, musiałby dojść do wniosku, że patrzy na wyczyny oszalałych zwierząt. Żadnego przebłysku inteligencji w ich spojrzeniach, wszystkie małpy były do siebie podobne, nie potrafiłem odróżnić jednej od drugiej. Wszystkie jednakowo ubrane, przywdziały tę samą maskę, maskę szaleństwa.

Przeżywałem jeszcze raz całą scenę. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu nabierała ona zupełnie innego sensu. O ile przed chwilą uczestnicy ziemskich wydarzeń jawili mi się pod postaciami goryli i szympanсів, to teraz ten obłąkańczy tłum małp nabierał w moich oczach cech człowieczeństwa. To byli ludzie, którzy krzyczeli, szczekali i wieszali się na końcu liny, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu. Gorączkowo usiłowałem wyłowić z pamięci inne charakterystyczne szczegóły. Przypominałem sobie, że po dłuższej obserwacji dostrzegłem w końcu parę drobiazgów, które niejasno sugerowały, że w tym zamieszaniu były mimo wszystko jakieś elementy organizacji. Czasem wśród zwierzęcego wycia docierało do mnie jakieś artykułowane słowo. Zawieszony na rusztowaniu na zawrotnej wysokości goryl gestykułując histerycznie chwycił jedną nogą kawałek kredy i zapisywał na tablicy jakąś cyfrę, która musiała coś znaczyć. Jego też wyobraziłem sobie pod ludzką postacią.

Otrząsnąłem się wreszcie z przywidzeń, powracając do mojej jeszcze niezbyt sprecyzowanej teorii o pochodzeniu małpiej cywilizacji. We wspomnieniu ze świata finansów odnalazłem nowe argumenty na jej korzyść.

Samolot lądował. Byłem z powrotem w stolicy. Zira czekała na mnie na lotnisku. Z daleka zauważyłem jej studencki beret naciągnięty na uszy i poczułem wielką radość. Kiedy podszedłem do niej po załatwieniu formalności celnych, musiałem zapanować nad sobą, żeby jej nie wziąć w ramiona.

Po powrocie przeleżałem cały miesiąc w łóżku złożony chorobą, złapaną prawdopodobnie przy pracy wśród ruin, objawiającą się gwałtownymi atakami jakby malarycznej gorączki. Nic mi szczególnie nie dolegało, ale umysł miałem zmacony, a w głowie kotłowały mi się bez przerwy strzępy przerażającej prawdy, którą już dawniej przeczuwałem. Nie miałem teraz cienia wątpliwości, że epokę małpią na Sororze porzodziła ludzka cywilizacja, i to przekonanie pograżyło mnie w stanie dziwnego otępienia.

Prawdę mówiąc, nie wiem właściwie, czy powinienem być dumny z tego odkrycia, czy raczej odczuwać głębokie upokorzenie.

Moją miłość własną zaspokajała satysfakcja, że małpy niczego nie wynalazły i okazały się tylko naśladowcami. Upokarzał natomiast fakt, że ludzka cywilizacja mogła być przez małpy przyswojona z taką łatwością.

Jak mogło do tego dojść? W gorączkowych majaczeniach krążyć bez końca wokół tego problemu. Oczywiście od dawna wszyscy wiemy, że cywilizacje nie są wieczne, ale świadomość tak totalnej zagłady nie mieści się w głowie. Jakiś nagły wstrząs? Kataklyzm? A może powolna degradacja

jednych i stopniowe wznoszenie innych? Skłaniam się ku tej ostatniej hipotezie i w obecnym rozwoju małp, w ich aktualnych zainteresowaniach odkrywam niezmiernie istotne wskazówki, świadczące o takiej ewolucji.

Na przykład to znaczenie, jakie przywiązują do badań biologicznych. Jakże jasno widzę teraz jego źródła. W tamtych czasach wiele małp musiało służyć ludziom do doświadczeń, tak jest przecież w naszych laboratoriach. To właśnie one, one pierwsze roznieciły płomień. One stały się pionierami rewolucji. Było oczywiste, że rozpoczną od naśladowania gestów i zachowań zaobserwowanych u swych panów - naukowców, badaczy, biologów, lekarzy, pielęgniarzy, dozorców. Stąd to niezwykle piętno, wyciśnięte na większości ich przedsięwzięć, piętno, które przetrwało do dziś.

A tymczasem ludzie?

Dajmy spokój małpom! Już dwa miesiące nie widziałem starych towarzyszy niedoli, moich ludzkich braci. Dziś czuję się lepiej. Wczoraj powiedziałem Zirze - opiekowała się mną podczas choroby jak siostra - otóż powiedziałem jej, że chciałbym podjąć badania na oddziale. Nie wyglądała na zachwyconą, ale się nie sprzeciwiła. Najwyższy czas złożyć im wizytę.

Jestem więc znowu wśród klatek. Dziwnie się poczułem stanąwszy na progu sali. Te stworzenia ukazały mi się teraz w innym świetle. Zanim zdecydowałem się wejść, z niepokojem zadawałem sobie pytanie, czy poznają mnie po tak długiej nieobecności. Otóż poznali. Wszystkie spojrzenia skierowały się w moją stronę jak dawniej. Dostrzegłem w nich nawet odcień szacunku. Czyja sńię, czy rzeczywiście odkrywam w ich wzroku jakiś nowy wyraz, jakby przesłanie świadczące, że dostrzegają we mnie inne wartości niż u swoich małpich dozorców. Jakiś błysk trudny do określenia, w którym odgaduję jakby obudzoną ciekawość, niezwykle wzruszenie, cień atawistycznych wspomnień przebijających się przez zwierzęcą naturę, a może nawet... nikły promyk nadziei.

Ja sam od pewnego czasu żywię nieświadomie tę nadzieję. Czyż to nie nadzieja pogrążyła mnie w gorączkowej egzaltacji? Czyż to nie mnie, Ulissesa Merou, przeznaczenie zawiodło na tę planetę, abym przyczynił się do odrodzenia ludzkości?

A więc w końcu sprecyzowała się ta niejasna myśl, która dręczy mnie od miesiąca. Pan Bóg nie grywa w kości - jak mawiał ongiś pewien fizyk. W kosmosie nie ma przypadków. O mojej podróży ku Betelgezie zdecydowały nadprzyrodzone siły. Ode mnie zależy, czy okażę się godny wyboru i czy stanę się nowym zbawicielem upadłej ludzkości.

A tymczasem z udaną obojętnością podchodzę do mojej dawnej klatki. Zerkam w tę stronę, ale nie widzę ręki Novy wyciągniętej przez kratę. Nie słyszę znajomych, radosnych krzyków powitania. Ogarnia mnie złe przeczucie. Nie mogę się powstrzymać, biegnę. Klatka jest pusta.

Wołam dozorcę głosem nie znoszącym sprzeciwu, siejąc niepokój wśród więźniów. Zjawia się Zanam. Niezbyt lubi mnie słuchać, ale Zira poleciła mu być do mojej dyspozycji.

- Gdzie Nova?

Odpowiada skrzywiony, że nie ma pojęcia. Któregoś dnia zabrano ją po prostu. Daremnie domagam się wyjaśnień. Na szczęście ukazuje się Zira, nadeszła jej pora obchodu. Widząc mnie przed pustą klatką odgaduje, co się we mnie dzieje. Jest zakłopotana i zaczyna mówić o czym innym.

- Cornelius wrócił i chce się z tobą zobaczyć.

Gwiżdżę w tej chwili na Corneliusa, na wszystkie szympansy i goryle, na wszystkie piekielne i niebiańskie zwierzęta. Wskazuje na klatkę.

- Co z Novą?

- Źle się czuje - odpowiada szympanś. - Umieściliśmy ją w specjalnym budynku. Kiwa na mnie i odciąga na bok, z dala od dozorców.

- Administrator zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy, ale myślę, że ty powinieneś

wiedzieć.

- Zachorowała?

- Nic poważnego, ale wydarzenie było na tyle doniosłe, że trzeba było zawiadomić władze. Nova jest gruba.

- Co jest...?

- To znaczy, jest w ciąży - wyjaśniła Zira, przyglądając mi się ciekawie.

VI

Stałem jak wryty, nie zdając sobie jeszcze sprawy ze wszystkich następstw, jakie może pociągnąć za sobą to wydarzenie. Najpierw przeleciała mi przez głowę masa frywolnych szczegółów, ale zaniepokoiła mnie jedna sprawa: jak to się stało, że nic o tym nie wiedziałem? Zira nie daje mi dojść do słowa.

- Zorientowałam się dwa miesiące temu, zaraz po powrocie. Goryle nie miały o niczym pojęcia. Zadzwoniłam do Corneliusa. Odbył długą rozmowę z administratorem. Uzgodnili, że lepiej będzie utrzymać to w tajemnicy. Poza nimi i mną, nikt o niczym nie wie. Nova przebywa w izolatce pod moją osobistą opieką.

Zatajenie przede mną tego faktu uważam za zdradę ze strony Corneliusa. Widzę, że Zira jest zażenowana. Odnoszę wrażenie, że coś knuje za moimi plecami.

- Wierz mi. Jest dobrze traktowana i niczego jej nie brakuje. Doglądam jej starannie. Jeszcze nigdy ciężarna samica ludzka nie była otoczona taką opieką.

Spuszczam oczy jak uczeń złapany na gorącym uczynku. Czuję na sobie jej drwiące spojrzenie. Zira usiłuje przybrać ironiczny ton, ale widzę, że czuje się nieswojo. Wiem oczywiście, że moje intymne współżycie z Novą nie podobało jej się odkąd zdała sobie sprawę z tego, kim jestem naprawdę, ale poza wyrzutem jest jeszcze coś innego w jej spojrzeniu. Jest do mnie przywiązana i dlatego się niepokoi. Te tajemnice wokół stanu Novy nie wróżą nic dobrego. Chyba nie powiedziała mi całej prawdy. Przypuszczam, że Rada Najwyższa wie o wszystkim i prowadzi się rozmowy na wysokim szczeblu.

- Kiedy będzie rodzić?

- Za trzy lub cztery miesiące.

Nagle uderzył mnie tragikomiczny aspekt całej sprawy. Zostanę ojcem w dalekim systemie Betelgezy. Będę miał dziecko na Sororze, z kobietą, do której czuję duży pociąg fizyczny, czasem litość, ale która ma mózg zwierzęcia. Jeszcze nikt w całym kosmosie nie wpakował się w taką kabałę. Chce mi się śmiać i płakać jednocześnie.

- Ziro, czy mogę ją zobaczyć?

Skrzywiła się niechętnie.

- Wiedziałam, że tak będzie. Mówiłam już o tym z Corneliusem i chyba się zgodzi. Czeka na ciebie w gabinecie.

- Cornelius mnie zdradził!

- Nie masz prawa tak mówić. Cornelius miota się między miłością do nauki a poczuciem małpiego obowiązku. Jest zrozumiałe, że te niedalekie narodziny wywołują w nim poważne obawy.

Idę z Zira korytarzami instytutu i niepokoję się coraz bardziej. Rozumiem punkt widzenia uczonych małp i ich obawy przed pojawieniem się nowej rasy, która... Do licha! Teraz już świetnie pojmuję, w jaki sposób spełni się moja misja.

Cornelius przyjął mnie uprzejmie, ale obaj czujemy się skrupowani. Chwilami patrzy na mnie jakby z przerażeniem. Staram się nie poruszać od razu tematu, który tak mi leży na sercu. Pytam o wrażenia z podróży i z ostatnich dni pobytu wśród ruin.

- Pasjonujące. Mam teraz w ręku dowody nie do obalenia.

Jego inteligentne oczka ożywiły się. Nie może nie pochwalić się sukcesem. Zira ma rację. Jest rozdarty pomiędzy umiłowaniem nauki i poczuciem małpiego obowiązku. W tej chwili przemawia przez niego uczony, naukowiec entuzjasta, dla którego liczy się tylko zwycięstwo jego teorii.

- Szkielety - mówi. - Nie jeden, a cały zespół. Ich układ i inne okoliczności świadczą, że mamy tu bezsprzecznie do czynienia z cmentarzem. Wystarczy tego, żeby przekonać najbardziej tępych. Nasze orangutany upierają się oczywiście, że to tylko dziwny zbieg okoliczności.

- A te szkielety?

- Nie są małpie.

- Rozumiem.

Patrzmy sobie prosto w oczy. Cornelius ostygł trochę w zapale i rzekł ociągając się:

- Nie będę tego przed panem ukrywał. I tak pan odgadł: to są ludzkie szkielety.

Zira zapewne wiedziała o tym, bo nie zdradza żadnego zaskoczenia. Oboje przypatrują mi się badawczo. Cornelius decyduje się wreszcie postawić sprawę otwarcie.

- Jestem teraz pewny - przyznaje - że w dalekiej przeszłości istniała na tej planecie rasa ludzka obdarzona rozumem takim, jaki posiada pan i ludzie zamieszkujący Ziemię. Ta rasa zdegenerowała się i cofnęła do stanu zwierzęcego. Zresztą po powrocie znalazłem i tutaj dowody na poparcie tego, co mówię.

- Nowe dowody?

- Tak. Odkrył je dyrektor oddziału encefalicznego, młody szympan z dużą przyszłością. Powiedziałbym nawet, że to geniusz. Myliłby się pan twierdząc - ciągnął z bolesną ironią - że małpy były zawsze tylko naśladowcami. W pewnych gałęziach nauki dokonaliśmy odkryć godnych uwagi, zwłaszcza jeśli chodzi o badania mózgu. Któregoś dnia pokażę panu rezultaty, o ile będę mógł. Jestem pewien, że zadziwią pana.

Odniosłem wrażenie, że Cornelius sam nie był przekonany o małpim geniuszu i dlatego zachowywał się trochę agresywnie. Nigdy nie atakowałem go od tej strony. To on sam jeszcze dwa miesiące temu ubolewał nad brakiem zdolności twórczych u małp. Teraz mówił dalej w przyływie dumy:

- Niech mi pan wierzy, nadejdzie dzień, kiedy prześcigniemy ludzi we wszystkich dziedzinach. Nie przez przypadek, jak mógłby pan przypuszczać, objęliśmy po nich spuściznę. To wydarzenie mieści się w uznanych granicach procesu ewolucji. Człowiek rozumny przeżył się i musiał ustąpić istocie wyższej, która przejęła jego główne osiągnięcia, przyswajała je sobie w okresie pozornej stagnacji, aby potem wznieść się na jeszcze wyższy stopień rozwoju.

Nie rozważałem jeszcze tego od tej strony. Mogłem mu odpowiedzieć, że wielu ludzi miało to przeczucie, iż pewnego dnia ustąpią miejsca istotom wyższym, ale żaden uczony, filozof czy poeta nie wyobrażał ich sobie pod postacią małp. Nie kwapię się do rozmowy na ten temat. Czy w końcu nie jest najważniejsze, że rozum wciela się w jakiś żywy organizm? Forma niewiele znaczy. Mam inne sprawy na głowie. Kieruję rozmowę na Novę i jej stan. Cornelius usiłuje mnie pocieszyć.

- Niech się pan nie martwi. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. Będzie to prawdopodobnie takie samo dziecko, jak wszystkie inne.

- Mam nadzieję, że nie. Jestem pewny, że będzie mówiło! Byłem tak oburzony, że musiałem zaprotestować. Zira marszczy brwi, nakazuje mi milczenie.

- Niech pan sobie tego zanadto nie życzy - mówi z powagą Cornelius. - To nie leży ani w jej, ani w pańskim interesie. Po chwili dodaje bardziej przyjacielskim tonem:

- Gdyby dziecko mówiło, nie wiem, czy mógłbym zajmować się panem tak, jak dotychczas.

Chyba zdaje pan sobie sprawę, że Rada Najwyższa jest powiadomiona? Otrzymałem bardzo wyraźne polecenie utrzymania narodzin w tajemnicy. Jeżeli władze dowiedzą się, że pan wie, zwolnią mnie, Zirę tak samo, a pan zostanie sam w obliczu...

- W obliczu wrogów?

Odwrocił wzrok. Tak właśnie myślałem. Stanowią zagrożenie dla ich rasy. Jestem mimo wszystko szczęśliwy, mając w Cor-neliusie sojusznika, jeśli nie przyjaciela. Zira musiała bronić mojej sprawy z większym zapalem, niż przypuszczałem. Cornelius nie zrobi nic wbrew jej woli. Zezwala mi zobaczyć Nowę, oczywiście potajemnie.

Zira prowadzi mnie do małego budynku stojącego na uboczu, do którego tylko ona ma klucz. Wchodzimy do niedużej sali. Są tam tylko trzy klatki, z tego dwie puste. Nova zajmuje trzecią. Usłyszała, że ktoś idzie, i instynktownie musiała wyczuć moją obecność, bo wstała i wyciągnęła ramiona, jeszcze zanim mnie zobaczyła. Ściskam jej rękę i pocieram twarz o jej twarz. Zira wzrusza pogardliwie ramionami, ale daje mi klucz od klatki i wychodzi na korytarz sprawdzić, czy nikt się nie zbliża. Co za szlachetna wspaniałomyślność! Która kobieta byłaby zdolna do takiej subtelności uczuć? Domyśliła się, że mamy sobie dużo do powiedzenia, i zostawiła nas samych.

Dużo do powiedzenia? Niestety! Znowu zapomniałem, jak godna pożałowania jest Nova. Wpadam do klatki, chwytam ją w ramiona i przemawiam do niej tak, jakby mogła mnie zrozumieć, jak gdyby to była Zira na przykład.

Czy nic nie rozumie? Czy intuicyjnie ani trochę nie wyczuwa, jaka misja nam przypada, nam obojgu, tak samo jej, jak i mnie?

Położyłem się koło niej na słomie. Pod rękami wyczułem owoc naszych miłosnych uniesień. Wydaje mi się, że jej obecny stan nadał jej jakąś osobowość, jakąś godność, której przedtem nie miała. Drży, czując dotknięcie moich rąk na brzuchu. Spojrzenie ma teraz inne, głębsze. To pewne. Nagle - z wysiłkiem, bełkotliwie sylabizuje moje imię, tak jak ją tego uczyłem. Nauka nie poszła na marne. Ogarnia mnie radość. Wtem spojrzenie Novy znowu traci swój wyraz, odwraca się i zaczyna zajadać owoce, które dla niej przyniosłem.

Zira wróciła, na mnie już czas. Wychodzimy razem. Zira widzi moją rozterkę i odprowadza do mieszkania. Tam rozplakałem się jak dziecko.

- Och, Ziro! Ziro!

Podczas gdy tuli mnie jak matka, zaczynam do niej mówić słowami pełnymi czułości, nieprzerwanie, dając wreszcie upust natłokowi uczuć i myśli, których Nova nie może docenić.

VII

Co za wspaniała szympanśica! Dzięki niej mogłem w tym okresie widywać Nowę często, w tajemnicy przed władzami. Spędzałem z nią całe godziny, wypatrując iskierki, która to zapalała się, to gasła w jej oczach. Tygodnie upływały mi na niecierpliwym oczekiwaniu narodzin.

Któregoś dnia Cornelius zdecydował się zaprowadzić mnie na oddział encefaliczny, o którym opowiadał nadzwyczajne rzeczy. Przedstawił mnie dyrektorowi, młodemu szympansowi imieniem Helius. Zarekomendował go jako genialnego naukowca i przeprosił, że z powodu pilnych zajęć nie będzie mógł mi towarzyszyć.

- Za godzinę wrócę - powiedział - i sam panu pokażę nasze szczytowe osiągnięcie, dostarczające dowodów, o których mówiłem. A tymczasem jestem pewny, że zainteresują pana klasyczne przypadki.

Helius wprowadził mnie do sali podobnej do wielu innych sal instytutu, wyposażonej w dwa rzędy klatek. Od progu uderzył mnie szpitalny zapach przypominający chloroform. Rzeczywiście, był to środek anestetyczny.

- Wszystkie operacje - mówił mój przewodnik - są teraz przeprowadzane na uśpionych okazach. - Mocno podkreślił ten fakt, dowodzący wysokiego stopnia rozwoju małpiej cywilizacji, która zatroszczyła się o wyeliminowanie wszelkich niepotrzebnych cierpień, nawet jeśli chodzi o ludzi. Mogę więc być spokojny.

Byłem, ale niezupełnie. A stałem się jeszcze mniej spokojny, kiedy wspomniał na zakończenie, iż istnieje wyjątek od tej zasady. Chodzi mianowicie o doświadczenia mające na celu badanie samego bólu i ośrodków nerwowych, w których on się rodzi. Ale to miałem zobaczyć kiedy indziej.

Wszystko to nie sprzyjało zachowaniu spokoju. Przypomniałem sobie, że Zira usiłowała wyperswadować mi wizytę na oddziale, który odwiedzała sama tylko w koniecznych wypadkach. Miałem już chęć zawrócić, ale Helius powstrzymał mnie.

- Jeśli pan zechce asystować przy operacji, sam się pan przekona, że pacjent nie cierpi. Nie? No to chodźmy obejrzeć rezultaty.

Mijając zamkniętą celę, z której dochodził ów zapach, poprowadził mnie w stronę klatek. W pierwszej zobaczyłem młodzieńca o pięknych rysach, ale wycięzonego do ostatnich granic, leżącego na pościeli. Stała przed nim, podsunęta pod nos, miska ze słodzoną zbożową papką, za którą wszyscy ludzie tak przepadali. Leżał nieruchomo i patrzył na nią tępym wzrokiem.

- Widzi pan - powiedział dyrektor - ten chłopiec jest wygłodzony. Nic nie jadł od dwudziestu czterech godzin, a jednak nie reaguje na ulubione pożywienie. Jest to wynik usunięcia przedniego płata mózgu, przeprowadzonego kilka miesięcy temu. Od tej pory jest ciągle w tym stanie i trzeba go karmić siłą. Niech pan popatrzy, jaki chudy.

Przywołany pielęgniarz wszedł do klatki i wsadził do miski głowę młodzieńca, który dopiero teraz zabrał się do jedzenia.

- Banalny przypadek. Tu ma pan inne, ciekawsze. Na każdym z tych okazów przeprowadzono operację różnych stref kory mózgowej.

Przeszliśmy wzdłuż rzędu klatek, zajętych przez mężczyzn i kobiety w różnym wieku. Tabliczki umieszczone na drzwiczkach każdej klatki informowały o dokonanych zabiegach po-wodzą technicznych szczegółów.

- Jedne z tych stref są związane z odruchami wrodzonymi, inne z nabytymi. Ten na przykład...

Ten, jak informowała tabliczka, miał usuniętą część strefy potylicznej mózgu. Nie był w stanie ocenić odległości, ani rozróżnić kształtu przedmiotów, co objawiło się nieskoordynowanymi ruchami, gdy podszedł do niego pielęgniarz. Nie potrafił ominąć kija, którym zagradzano mu drogę. Natomiast ofiarowany owoc wzbudzał w nim strach i odsuwał go od siebie. Nie udawało mu się chwycić prętów klatki, choć czynił groteskowe wysiłki, łapiąc rękami powietrze.

- A tamten - mówił szympanś mrużąc oko - był kiedyś wybitnym okazem. Udało się nam wytresować go w zadziwiający sposób. Znał swoje imię i w pewnym stopniu wykonywał proste polecenia. Rozwiązywał dość skomplikowane zadania i nauczył się posługiwać podstawowymi narzędziami. Dziś nie pamięta już niczego. Nie wie, jak ma na imię. Stał się najgłupszym z naszych ludzi na skutek szczególnie delikatnej operacji usunięcia płatów skroniowych.

Słabo mi się robiło od tych wszystkich okropności, komentowanych przez strojącego miny szympanśa. Widziałem ludzi sparaliżowanych częściowo lub całkowicie. Widziałem innych, sztucznie pozbawionych wzroku. Widziałem młodą matkę, której instynkt macierzyński - kiedyś, jak zapewniał Helius, bardzo rozwinięty - dziś zanikł zupełnie na skutek zabiegu przeprowadzonego na korze mózgowej. Za każdym razem, kiedy małe dziecko usiłowało zbliżyć się do matki, ta odpychała je gwałtownie. Tego już było dla mnie za wiele. Pomyślałem o Novie, jej bliskim rozwiązaniu, i zacisnąłem z gniewu pięści. Na szczęście przeszliśmy do innej sali, co mi pozwoliło

uspokoić się trochę.

- Tutaj - powiedział Helius z tajemniczą miną - przeprowadzamy o wiele bardziej skomplikowane badania. Tu już nie używa się skalpela, ale subtelniej szych metod. Chodzi o elektryczne pobudzanie różnych ośrodków mózgu. Doszliśmy w naszych doświadczeniach do wybitnych rezultatów. Praktykujecie coś podobnego na Ziemi?

- Na małpach! - wrzasnąłem z furją.

Szympanś nie rozgniewał się, a nawet uśmiechnął.

- Nie wątpię. Nie sądzę jednak, abyście kiedykolwiek osiągnęli wyniki tak doskonałe jak nasze. Nie sądzę nawet, żeby się dały choćby porównać z tym, co doktor Cornelius sam panu pokaże. Na razie obejrzymy sobie jeszcze zwykłe przypadki.

Popchnął mnie znowu w stronę klatek, w których pielęgniarze operowali właśnie rozciągnięte na stołach ciała. Nacinali czaszkę i odkrywali określoną część mózgu. Jedna małpa przykładała elektrody, inna pilnowała tymczasem narkozy.

- Widzi pan, że i tutaj okazy są znieczulane. Narkoza jest lekka, bo inaczej wyniki byłyby fałszywe, ale pacjent nie odczuwa najmniejszego bólu.

Zależnie od miejsca przyłożenia elektrod, pacjent wykonywał rozmaite ruchy, obejmujące prawie w każdym przypadku tylko jedną połowę ciała. Jeden człowiek zginał lewą nogę za każdym impulsem elektrycznym i prostował ją, kiedy przerwano obieg prądu. Inny wykonywał podobne ruchy ręką. U jeszcze innych działanie prądu wprawiało całe ramię w konwulsyjne drgania. Nieco dalej leżał młodziutki pacjent, u którego pobudzono ośrodek kierujący mięśniami szczęki. Nieszczęśnik zaczynał żuć niezmordowanie, z ustami wykrzywionymi okropnym grymasem, podczas gdy całe jego chłopięce ciało pozostawało w bezruchu.

- Niech pan zauważy, co się będzie działo, kiedy przedłużymy działanie prądu. W tym przypadku doświadczenie jest posunięte do granic wytrzymałości pacjentki.

Była nią młoda dziewczyna, podobna nawet trochę do Novy. Pielęgniarki i pielęgniarze w białych fartuchach krzątali się wokół jej nagiego ciała. Szympanś o myślącej twarzy przytwierdziła elektrody. Dziewczyna zaczęła natychmiast poruszać palcami lewej ręki. Pielęgniarka nie wyłączyła prądu po kilku chwilach, jak to miało miejsce w innych przypadkach. Ruchy palców stawały się coraz szybsze, stopniowo ogarniały nadgarstek. Po chwili objęły przedramię, potem ramię. Drgawki przeszły wkrótce z jednej strony na biodro, udo i całą nogę, z drugiej na mięśnie twarzy. Po dziesięciu minutach cała lewa połowa ciała biednej dziewczyny była wstrząsana przerażającymi, konwulsyjnymi skurczami, coraz szybszymi, coraz gwałtowniejszymi.

- To jest zjawisko ekstensji - powiedział spokojnie Helius. - Jest już dobrze poznane i prowadzi do konwulsji mających wszelkie cechy epilepsji, dość dziwnej zresztą, bo obejmującej tylko połowę ciała.

- Dość tego!

Nie mogłem powstrzymać krzyku. Małpy wzdrygnęły się i spojrzały na mnie z dezaprobatą. W tej chwili wszedł Cornelius i poklepał mnie poufale po ramieniu.

- Przyznaję, że te doświadczenia mogą robić dość silne wrażenie na kimś nie przyzwyczajonym. Ale niech pan pomyśli, że dzięki nim nasza medycyna i chirurgia dokonały ogromnego postępu w ostatnim ćwierćwieczu.

Nie byłem w stanie przejąć się tym argumentem bardziej niż podobnymi zabiegami dokonywanymi na szympansach, które oglądałem na Ziemi. Cornelius wzruszył ramionami i wskazał na wąskie przejście, prowadzące do mniejszej sali.

- Tutaj - powiedział uroczyście - zobaczy pan nasze najnowsze, najwspanialsze osiągnięcie. Do

tego pokoju mają wstęp tylko trzy osoby: Helius, który zajmuje się osobiście badaniami, a prowadzi je doskonale, ja i jeszcze jeden starannie wybrany pomocnik, niemy goryl. Jest mi oddany duszą i ciałem, a poza tym to skończony dureń. Widzi pan więc, jak wielkie znaczenie przywiązuje się do utrzymania tych prac w tajemnicy. Zgodziłem się je panu pokazać, bo wiem, że zachowa pan dyskrecję. W pańskim własnym interesie.

VIII

Wszedłem do sali i z początku nie zauważyłem nic, co by usprawiedliwiało tajemnicze zachowanie Corneliusa i jego kolegi. Aparatura przypominała poprzednią: generatory, transformatory, elektrody. Pacjentów było tylko dwoje – mężczyzna i kobieta. Oboje leżeli na ustawionych równolegle tapczanach. Przywiązani byli pasami. Ledwo stanęliśmy na progu, zaczęli nam się przyglądać dziwnie uporczywie.

Asystent goryl powitał nas nieartykułowanym pomrukiem. Helius zamienił z nim kilka zdań w języku głuchoniemych. Widok goryla porozumiewającego się z szympansem na migi był raczej niespotykany, ale nie wiem czemu rozbawiło mnie to do tego stopnia, że o mało nie wybuchnąłem śmiechem.

- W porządku. Są spokojni. Możemy zaraz przejść do próby.

- O co tu chodzi? - spytałem błagalnym głosem.

- To ma być niespodzianka - odpowiedział Cornelius i roześmiał się. Goryl zrobił zastrzyk obojgu pacjentom, którzy wkrótce zasnęli spokojnie, po czym uruchomił aparaturę. Helius podszedł do mężczyzny, ostrożnie zdjął bandaż spowijający jego głowę i przyłożył elektrody w określonych punktach. Mężczyzna leżał zupełnie nieruchomo. Patrzyłem pytająco na Corneliusa, gdy nagle stał się cud.

Człowiek przemówił. Jego głos zabrzmiał na sali, zagłuszając mruczenie generatora. Stało się to tak nagle, że podskoczyłem z wrażenia. To nie była halucynacja. Człowiek mówił małpim językiem, głosem, który równie dobrze mógł być głosem człowieka z Ziemi, jak małpy z Sorory.

Na twarzach obu uczonych malował się wyraz triumfu. Cieszyli się z mojego osłupienia, w ich oczach migwały złośliwe iskierki. Chciałem gwałtownie zareagować, ale dali mi znak, żebym nie przeszkadzał. To, co mówił mężczyzna, nie składało się w logiczną całość i nie było ciekawe. Musiał być od dawna trzymany w instytucie, bo powtarzał ciągle urywki zdań, wypowiedzianych często przez pielęgniarki i naukowców. Cornelius kazał przerwać doświadczenie.

- Nic już więcej z niego nie wyciągniemy. Osiągnęliśmy jedno, najważniejsze - on mówi.

- Niestychane! - wyjąkałem.

- To jeszcze nie wszystko. Ten mówi, jak papuga albo jak gramofon - powiedział Helius. - Z nią udało mi się o wiele lepiej. - Wskazał na śpiącą spokojnie kobietę.

- O wiele lepiej?

- Tysiąc razy lepiej - potwierdził Cornelius, równie podniecony, jak jego kolega. - Niech pan posłucha. Ta kobieta też mówi. Sam pan usłyszysz. Ale ona nie powtarza słów usłyszanych w niewoli. To, co mówi, ma znaczenie wyjątkowe. Przez różne kombinacje zabiegów fizyko-chemicznych, których opisu panu oszczędzę, genialny Helius obudził w niej nie tylko pamięć indywidualną, ale także pamięć gatunkową. Pod działaniem bodźców elektrycznych w jej słowach odżywają atawistyczne wspomnienia bardzo odległej linii przodków, wskrzeszające przeszłość sprzed wielu tysięcy lat. Czy pan rozumie, Ulissesie?

Zaniemówiłem na to nedorzeczne dictum i pomyślałem, że uczyony Cornelius naprawdę zwariował. Wiedziałem, że obłąd zdarza się wśród małp, zwłaszcza wśród intelektualistów. Tymczasem drugi szympanś już szykował elektrody i przystawiał je do mózgu kobiety. Ona też leżała

przez jakiś czas bez ruchu, potem głęboko westchnęła i zaczęła mówić. Mówiła także w małym języku, bardzo wyraźnie, trochę stłumionym głosem zmieniającym barwę, jakby należał kolejno do różnych osób. Wszystkie wypowiedziane przez nią zdania zapadły mi głęboko w pamięci.

- Małpy, te wszystkie małpy - mówił głos drżący z niepokoju. - Od pewnego czasu mnożą się bezustannie, a przecież wydawało się, że ich rodzaj wygaśnie w określonym czasie. Jeśli tak będzie dalej, będą prawie tak liczne, jak my... To jeszcze nie wszystko. Stają się aroganckie. Bezcześnie patrzą nam prosto w oczy. Nie trzeba było ich oswajać, ani dawać pewnej swobody tym, które nam służyły. Właśnie te są najbezcześniejsze. Któregoś dnia szympans potrącił mnie na ulicy. Kiedy podniosłam rękę, spojrzął na mnie tak groźnie, że nie śmiałam go uderzyć.

- Anna, która pracuje w laboratorium, powiedziała mi, że u nich wiele się zmieniło. Nie odważa się już wejść sama do klatki. Zwierzyła mi się, że wieczorami słyszc tam coś jakby szeptanie, a nawet chichoty. Jeden z goryli podśmiewa się z szefa i przedrzeźnia jego tiki.

Kobieta zamilkła, westchnęła ciężko kilka razy i ciągnęła dalej:

- Stało się! Jeden przemówił. To pewne. Przeczytałam o tym w kobiecym piśmie. Zamieścili jego fotografię. To szympans.

- Szympans pierwszy! Byłem pewny! - wykrzyknął Cornelius.

- Są i następni. Co dzień gazety donoszą o nowych. Niektórzy uczeni uważają to za wielkie osiągnięcie. Czy nie zdają sobie sprawy, dokąd nas to wszystko może zaprowadzić? Podobno jeden z tych szympansów zaczął ordynarnie kląć. Ledwo zaczęły mówić, a już protestują, kiedy się je zmusza do posłuszeństwa.

Kobieta znowu urwała, a po chwili zaczęła mówić innym głosem - męskim, zdecydowanym.

- To, co się zdarzyło, było do przewidzenia. Ogarnęło nas lenistwo umysłowe. Żadnych książek. Nawet czytanie kryminałów wymaga zbyt wielkiego wysiłku intelektualnego. Żadnych rozrywek umysłowych, najwyżej pasjans, w ostateczności. Nie interesują nas nawet filmy dla dzieci. Tymczasem małpy medytują w milczeniu. Samotnie rozmyślając ćwiczą swoje mózgi... no i mówią. No, niewiele, do nas prawie ani słowa, chyba żeby zaprotestować, jeśli ktoś się jeszcze odważy im coś rozkazać. Ale w nocy, kiedy są same, wymieniają spostrzeżenia i pouczają się nawzajem.

Kolejna pauza i znów przerażony głos kobiety:

- Znadto się bałam. Nie mogłam już tak dłużej żyć. Wolałam ustąpić miejsca mojemu gorylowi. Uciekłam z własnego domu. Był u mnie od tylu lat i wiernie mi służył. Stopniowo zaczął się zmieniać. Znikał wieczorami, chodził na zebrania. Nauczył się mówić. Odmówił wszelkiej pracy. Miesiąc temu kazał mi gotować i zmywać. Zaczął jadać z moich talerzy, moimi sztucami. W zeszłym tygodniu wyrzucił mnie z sypialni. Musiałam spać na fotelu w salonie. Nie śmiałam go skrzyknąć ani ukarać, próbowałam potraktować go łagodnie. Wyśmiał mnie, a jego wymagania jeszcze wzrosły. Byłam zbyt nieszczęśliwa. Podałam się.

- Razem z innymi kobietami, które znalazły się w takiej samej sytuacji, uciekłam do obozu. Są tu też mężczyźni. Wielu boi się nie mniej niż my. Prowadzimy nędzne życie pod miastem. Wstyd nam, że prawie wcale nie rozmawiamy. W pierwszych dniach stawiałam jeszcze pasjans. Teraz nie mam już sił.

Kobieta umilkła i znowu odezwała się męskim głosem.

- Zdaje się, że wynalazłem lekarstwo na raka. Chciałem je wypróbować, jak zawsze to robiłem. Od pewnego czasu małpy opornie poddawały się doświadczeniom. Do klatki szympansa Zorza wszedłem dopiero, kiedy obezwładnili go dwaj asystenci. Szykowałem się do zrobienia zastrzyku, chciałem mu zaszczepić raka. Musiałem to zrobić, żeby móc go potem wyleczyć. Zorz wyglądał na zrezygnowanego. Nie ruszał się, tylko jego złośliwe oczki patrzyły gdzieś nad moim ramieniem.

Zrozumiałem za późno. Goryle, sześć goryli, które trzymałem w rezerwie do badań nad dżumą, wydostały się z klatki. Konspiracja. Obezwładniły nas, Żorż kierował akcją, mówił naszym językiem. Naśladował dokładnie moje zachowanie, kazał gorylom przywiązać nas do stołu, zrobiły to bardzo zręcznie. Potem wziął strzykawkę i wstrzyknął nam wszystkim trzem śmiertelny płyn. Tak więc mam raka. To pewne. O ile można mieć wątpliwości co do skuteczności mojego lekarstwa, to działanie śmiertelnej szczepionki jest wypróbowane od dawna.

- Po zastrzyku poklepał mnie przyjaźnie po policzku, jak to często robiłem z moimi małpami. Zawsze je dobrze traktowałem, częściej były pieszczone niż bite. W kilka dni później, siedząc zamknięty w klatce, dostrzegłem pierwsze symptomy choroby. Żorż też je zauważył i słyszałem, jak powiedział do innych, że zacznijcie teraz leczenie. Znowu wpadłem w panikę. Wiem, że jestem skazany. Ale straciłem nagle zaufanie do nowego leku. Gdyby tylko pozwolił mi szybciej umrzeć. Udało mi się w nocy wyważyć kratę i uciec. Skryłem się w obozie za miastem. Mam jeszcze dwa miesiące życia. Stawiam więc pasjans i drzemię.

Rozległ się jeszcze inny głos, kobiecy tym razem.

- Byłam pogromczynią. Prezentowałam numer z dwunastoma orangutanami. Co za wspaniałe zwierzęta. Dzisiaj ja siedzę w ich klatce w towarzystwie innych artystów z naszego cyrku.

- Muszę być sprawiedliwa. Małpy dobrze nas traktują i karmią obficie. Zmieniają nam słomę, kiedy już jest zbyt brudna. Nie są złe. Dają się we znaki tylko tym, co wykazują złą wolę i nie chcą wykonywać sztuk, których małpy uparły się nas nauczyć. Nie zazdroszczę im. Ja poddaję się ich dziwnym pomysłom bez dyskusji. Chodzę na czworakach, fikam koziołki, a oni są dla mnie bardzo mili. Nie jestem nieszczęśliwa. Nie mam żadnych kłopotów ani obowiązków na głowie. Większość spośród nas dostosowała się do tego trybu życia.

Kobieta zamilkła tym razem na dłużej. Cornelius przyglądał mi się tymczasem z żenującą natarczywością. Odgadywałem jego myśli aż nadto dobrze. Czy ludzkość tak słaba, tak łatwo poddająca się rezygnacji, nie przeżyła już swego czasu na planecie i czy nie powinna ustąpić miejsca szlachetniejszej rasie? Zaczerwieniłem się i opuściłem wzrok. Kobieta kontynuowała z rosnącym przerażeniem w głosie:

- Tego się właśnie obawiałam. Słyszę barbarzyńską kakofonię. Można by pomyśleć, że to parodia orkiestry wojskowej... Na pomoc! To one, to małpy. Otaczają nas. Dowodzą nimi olbrzymie goryle. Pozabierali nam nasze trąbki, bębny, nasze mundury. Broń oczywiście też... Nie, nie mają broni. Och, co za okrutna hańba, co za straszliwa zniewaga! Zbliża się mała armia uzbrojona tylko w baty!

IX

Więści o wynikach prac Heliusa zaczęły się jednak rozchodzić. Może było i tak, że oszołomiony sukcesem szympana po prostu nie umiał utrzymać języka za zębami. Po mieście chodzą słuchy, że jakiemuś uczonemu udało się nauczyć ludzi mówić. Co więcej, prasa komentuje odkrycia dokonane w zasypanym mieście i choć ich znaczenie nie jest na -ogół właściwie interpretowane, kilku dziennikarzy jest bliskich odkrycia prawdy. W rezultacie wśród mieszkańców panuje poruszenie, co pociąga za sobą wzrost nieufności władz wobec mojej osoby, i ta postawa z każdym dniem bardziej mnie niepokoi.

Cornelius ma wrogów i nie odważy się wystąpić otwarcie ze swoimi odkryciami. Nawet gdyby zechciał to uczynić, trafiłby z pewnością na przeciwników. Intryguje przeciw niemu klan orangutanów z Zaiusem na czele. Mówią o spisku wymierzonym przeciwko małpiej rasie i mniej lub bardziej otwarcie wskazują na mnie, jako jednego z wichrzycieli. Goryle oficjalnie nie zajęły jeszcze stanowiska, ale wiadomo, że sprzeciwią się wszystkiemu, co może zakłócić porządek publiczny.

Przeżyłem dziś wielkie wzruszenie. Nadszedł tak długo oczekiwany przeze mnie dzień. Z

początku nie posiadałem się z radości, ale wzdrygnąłem się na myśl o nowym niebezpieczeństwie, jakie może wyniknąć z tego wydarzenia. Nova urodziła chłopca.

Mam dziecko, mam syna na dalekiej planecie. Widziałem go, choć nie obyło się bez trudności. Zarządzenia w sprawie zachowania tajemnicy stają się coraz ostrzejsze i nie mogłem odwiedzić Novy w tygodniu poprzedzającym rozwiązanie. Dowiedziałem się o wszystkim od Ziry. Ona przynajmniej pozostanie wierną przyjaciółką, cokolwiek się wydarzy. Zastała mnie w stanie takiego podniecenia, że podjęła ryzyko zorganizowania mi spotkania z nową rodziną. Zaprowadziła mnie do niej w kilka dni potem, późną nocą, gdyż w ciągu dnia noworodek był bezustannie strzeżony.

Widziałem go. Co za wspaniałe dziecko! Leżał na słomie jak nowy Chrystus, przytulony do piersi matki. Jest podobny do mnie, ale ma również coś z urody Novy. Kiedy otwierałem drzwi, wydała groźny pomruk. Też jest niespokojna. Skoczyła wyciągając pazury, gotowa do obrony, ale uspokoiła się na mój widok. Jestem pewien, że dzięki tym narodzinom wzniosła się o kilka szczebli w swej ewolucji. Ulotną iskierkę w jej oczach zastąpił trwały płomień. Całuję z czułością syna, starając się nie myśleć o chmurach, które gromadzą się nad naszymi głowami. Wyrośnie z niego człowiek, prawdziwy człowiek, jestem pewny. W jego rysach i spojrzeniu błyszczy inteligencja. Roznieciłem święty ogień. Dzięki mnie ludzkość zmartwychwstanie i roz-przeździ się na tej planecie. Kiedy on dorośnie, założy rodzinę i...

Kiedy dorośnie! Wzdrygałem się na myśl o warunkach, w jakich mu przyjdzie spędzić dzieciństwo, o wszystkich przeszkodach, jakie spiętrzą się na jego drodze. Ale to nieważne. We trójkę na pewno sobie poradzimy. Mówię "we trójkę", bo No-va należy teraz do nas. Wystarczy zobaczyć, jakim wzrokiem patrzy na swoje dziecko. A choć jeszcze je liże, zwyczajem wszystkich matek tej dziwnej planety, to jednak jej twarz stała się bardziej uduchowiona.

Położyłem małego na słomie. Nie mam już wątpliwości, co z niego vyrośnie. Wprawdzie jeszcze nie mówi, ale... cóż ja plotę! Ma trzy dni...! Ale będzie mówił. Na razie zaczyna cicho płakać. Nie skomleć, a płakać, jak ludzkie dziecko. Nova zdaje sobie sprawę i przygląda mu się zachwycona.

Zira też nie ma złudzeń. Podeszła bliżej, nastawiła włochate uszy i w milczeniu, z poważną miną patrzy długo na dziecko. Po chwili daje mi do zrozumienia, że czas już iść. Gdyby ktoś mnie tu zastał, byłoby to zbyt niebezpieczne dla nas wszystkich. Obiecuje czuwać nad moim synem i wiem, że dotrzyma słowa. Ale zdaję sobie sprawę i z tego, że Zira jest podejrzana o okazywanie mi zbyt dużych względów i cierpnę na samą myśl, że mogą ją zwolnić. Nie powinienem jej na to narażać.

Ściskam mocno Novę i dziecko i idę do wyjścia. Odwracam się jeszcze i widzę jak szympansica pochyla się również nad ludzkim niemowlęciem i delikatnie dotyka pyszczkiem jego czoła. A Nova nie protestuje! Pozwala na tę pieszczotę, widać zdarza się to nie po raz pierwszy. Wspominam niechęć, jaką zawsze okazywała Zirze, i mimo woli dopatruję się w tym nowego cudu.

Zira zamyka klatkę i wychodzimy. Drzę na całym ciele i widzę, że Zira jest równie przejęta, jak ja.

- Ulissesie - mówi, ocierając łzę. - Czasem wydaje mi się, że to również i moje dziecko!

Okresowe wizyty, jakie składam, choć niechętnie, profesorowi Antelle, stają się coraz bardziej męczącym obowiązkiem. Jest nadal w instytucie, ale musiano go przenieść z dość wygodnej celi, w której przebywał na moją interwencję. Gasł powoli. Od czasu do czasu miewał napady szału i stawał się niebezpieczny. Próbował pogryźć dozorców. Cornelius wpadł na pomysł: umieścił go w zwyczajnej klatce wysłanej słomą i sprowadził mu towarzyszkę, dziewczynę, z którą sypiał w ogrodzie zoologicznym. Profesor powitał ją hałaśliwie, okazując zwierzęcą radość, i w krótkim czasie zmienił się. Nabral chęci do życia.

Zastałem go w tym towarzystwie. Wygląda na szczęśliwego. Utył i jakby odmłodził. Robiłem wszystko, żeby nawiązać z nim kontakt. Próbuję i dzisiaj, bez skutku. Interesuje się tylko ciastkami, którymi go karmię. Kiedy torebka jest już pusta, wraca na posłanie do swej towarzyszki, która zaczyna lizać go po twarzy.

- Sam pan widzi, że rozum może równie łatwo zniknąć, jak się pojawić - słyszę za sobą cichy głos.

To Cornelius. Szukał mnie, ale nie po to, żeby porozmawiać o profesorze. Chce ze mną przeprowadzić zasadniczą rozmowę. Idziemy do jego gabinetu, gdzie czeka już Zira. Ma zaczerwienione oczy, jak gdyby płakała. Wygląda na to, że mają dla mnie jakąś złą nowinę, ale żadnemu z nich nie przechodzi ona przez gardło.

- Co z synem?

- Czuje się bardzo dobrze - odpowiedziała pośpiesznie Zira.

- Zbyt dobrze - dodał Cornelius ponuro.

Wiem, że jest wspaniałym dzieckiem, ale nie widziałem go od miesiąca. Zarządzenia uległy dalszemu zaostrzeniu. Władze mają Zirę na oku. Jest bez przerwy śledzona.

- Czuje się o wiele za dobrze - podkreśla Cornelius. - Uśmiecha się. Płacze jak małpiątko i... zaczyna mówić.

- W wieku trzech miesięcy?

- Dziecinne gaworzenie. Wszystko jednak wskazuje na to, że będzie mówił. Rzeczywiście jest nad wiek rozwinięty.

Rozpiera mnie duma. Zira jest oburzona moim bezmyślnym zachwytem.

- Czy nie rozumiesz, że to katastrofa? Oni nigdy nie zostawią go na wolności.

- Wiem z pewnych źródeł - mówi powoli Cornelius - że Rada Najwyższa ma podjąć bardzo poważne decyzje dotyczące dziecka. Rada będzie obradować za dwa tygodnie.

- Poważne decyzje?

- Bardzo poważne. Nie ma mowy o zgładzeniu go... przynajmniej na razie, ale odbiorą go matce.

- A ja, czy będę mógł go widywać?

- Pan jest ostatnim, któremu na to pozwolą... ale proszę mi nie przerywać - mówi stanowczo szympan. - Zebraliśmy się tu po to, aby działać, a nie lamentować. Moje informacje są pewne. Pański syn będzie umieszczony w czymś w rodzaju twierdzy, pod nadzorem orangutanów. Zaius intryguje od dawna i wygra sprawę

Mówiąc to, Cornelius zacisnął pięści z wściekłością i wymamrotał kilka nieparlamentarnych słów. Po chwili ciągnął dalej:

- Musi pan wiedzieć, że Rada doskonale zdaje sobie sprawę, jaką ten facet przedstawia wartość jako naukowiec.. Udają jednak, że wierzą w jego większe niż moje kwalifikacje do zbadania tego wyjątkowego przypadku.

Zamarłem z przerażenia. Jest nie do pomyślenia, żeby zostawić mojego syna w rękach tego niebezpiecznego durnia. Ale Cornelius nie powiedział jeszcze wszystkiego.

- Nie tylko dziecko jest zagrożone.

Milczę i patrzę na Zirę, która spuszcza głowę.

- Orangutany was nie znoszą, bo jesteście żywym dowodem ich naukowych pomyłek. Goryle uważają, że na wolności będziecie zbyt niebezpieczni. Boją się, że zaczniecie się rozmnażać na naszej planecie. Nawet pomijając tę ewentualność, obawiają się, że sam wasz przykład wywoła wśród ludzi niepokój. Raporty donoszą o wyjątkowej nerwowości u tych, z którymi się pan styka.

To prawda. W czasie mojej ostatniej wizyty zauważyłem u nich wyraźną zmianę. Jakby jakiś

niezbadany instynkt uprzedził ich o cudownych narodzinach, przywitani mnie długim chóralnym zawożeniem.

- Żeby już niczego przed panem nie ukrywać - podsumował brutalnie Cornelius - poważnie obawiam się, że za dwa tygodnie Rada zadecyduje, że trzeba pana zlikwidować... lub przynajmniej pozbawić części mózgu pod pretekstem jakichś doświadczeń. Co do Novy, sądzę, że postanowią ją także unieszkodliwić, ponieważ obcowiała z panem zbyt blisko.

To niemożliwe! Ja, który sądziłem, że spełniam niemal boskie posłannictwo, poczułem się najnieszczęśliwszym z ludzi i ogarnęła mnie czarna rozpacz. Zira kładzie mi rękę na ramieniu.

- Cornelius dobrze zrobił, że niczego przed tobą nie ukrywał. Nie powiedział ci tylko, że cię nie opuścimy. Postanowiliśmy uratować całą waszą trójkę i pomoże nam w tym mała grupka odważnych szympansów.

- A cóż ja mogę zrobić, samotny człowiek?

- Trzeba uciekać. Musisz opuścić tę planetę, na którą nigdy nie powinieneś trafić. Musisz wracać do siebie, na Ziemię. Od tego zależy życie twoje i twojego dziecka.

Głos jej się załamał, jakby za chwilę miała się rozplakać. Musi być jeszcze bardziej do mnie przywiązana, niż myślałem. Jestem zbulwersowany zarówno jej smutkiem, jak i perspektywą rozstania się z nią na zawsze. Ale jak stąd uciec? Cornelius znów zabiera głos:

- To prawda - rzekł. - Obiecałem Zirze, że pomogę panu w ucieczce i zrobię to, nawet gdybym miał w rezultacie stracić swoją pozycję. Mam świadomość, że w ten sposób spełnię swój mały obowiązek. Jeżeli nam grozi niebezpieczeństwo, to wraz z waszym powrotem na Ziemię będzie ono zażegnane... Powiedział mi pan kiedyś, że wasz statek kosmiczny jest nienaruszony i będzie mógł was zabrać z powrotem?

- Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Ma dosyć paliwa, tlenu i żywności, żeby odbyć każdą podróż. Ale jak do niego dotrzeć?

- Krąży ciągle wokół naszej planety. Jeden z moich przyjaciół, astronom, wypatrzył go i zna wszystkie parametry jego orbity. A jak do niego dotrzeć?... Niech pan posłucha. Za dziesięć dni mamy wystrzelić sztucznego satelitę z załogą - ludźmi oczywiście, na których chcemy zbadać oddziaływanie pewnych promieni... Proszę mi nie przerywać! Przewidziano, że pasażerów będzie troje: mężczyzna, kobieta i dziecko.

Chwytam jego myśl, doceniam pomysłowość. Ile jednak jeszcze przeszkód do pokonania!

- Mam przyjaciół wśród naukowców odpowiedzialnych za całość operacji. Zdołałem ich przekonać. Satelita zostanie wprowadzony na orbitę waszego statku i w ograniczonym zakresie będzie można nim nawet kierować. Ludzie przewidziani do eksperymentu zostali wytresowani i są zdolni do wykonywania pewnych czynności na zasadzie wywoływania odruchów warunkowych. Myślę, że pan będzie pojętniej-szy... Nasz plan jest taki: wyprawić was troje zamiast przewidzianych pasażerów. To nie będzie trudne. Mówiłem już panu, że zapewniłem sobie pomoc głównych współników. Szympansy brzydzą się zbrodnią. Inni nawet nie zauważą, co się stało.

Rzeczywiście, jest to możliwe do przeprowadzenia. Dla większości małp człowiek jest po prostu człowiekiem i niczym więcej. Nie widzą żadnej różnicy pomiędzy poszczególnymi osobnikami.

- Przez dziesięć dni będziemy prowadzić intensywne ćwiczenia. Czy sądzi pan, że da sobie radę z dobieciem do statku?

To musi się udać. Ale w tej chwili nie myślę ani o trudnościach, ani o niebezpieczeństwach. Nie mogę się otrząsnąć z nastroju melancholii, która mnie przed chwilą ogarnęła, gdy uświadomiłem sobie, że opuszczę Soror, Zirę i moich braci - tak, moich ludzkich braci. Trochę czuję się wobec nich dezerterem. A przecież muszę przede wszystkim ratować mojego syna i Novę. Ale wrócę tu. Tak,

później wróć. Mam przed oczami klatki pełne więźniów i przysięgam, że wróćę z mocnymi atutami. Jestem tak rozgorączkowany, że mówię głośno do siebie.

Cornelius uśmiecha się.

- Za cztery czy pięć lat waszego czasu, podróżniku. Dla nas, tu na miejscu, będzie to trwało przeszło tysiąc lat. Niech pan nie zapomina, że my także znamy teorię względności. A wtedy... Dyskutowałem o tym ryzyku z przyjaciółmi i postanowiliśmy je podjąć.

Żegnamy się, umówiwszy się na dzień następny. Zira wyszła pierwsza. Korzystając, że zostałem sam z Corneliusem, dziękuję mu gorąco. Zastanawiam się, dlaczego robi to wszystko dla mnie. On jakby odgadł moje myśli.

- Niech pan podziękuje Zirze - mówi. - Jej będzie pan zawdzięczać życie. Gdybym był sam, nie wiem, czy zadałbym sobie tyle trudu i podjął takie ryzyko. Ale ona nie darowałaby mi nigdy, że stałem się współnikiem morderstwa... a z drugiej strony...

Chwila wahania. Zira czeka na korytarzu. Cornelius upewnia się, że nas nie słyszy, i dodaje szybko po cichu:

- Z drugiej strony, zarówno dla niej, jak i dla mnie będzie lepiej, gdy znikniecie z tej planety.

Zamknął drzwi. Zostałem sam z Zirą i idziemy razem korytarzem.

- Ziro!

Przystanąłem i wziąłem ją w ramiona. Jest tak samo przejęta jak ja. Stoimy mocno przytuleni do siebie i widzę, jak łza spływa jej po policzku. Ach, cóż znaczy ta cielesna powłoka! Liczy się dusza, porozumienie duchowe. Zamykam oczy, żeby nie widzieć tej groteskowej maski, która staje się jeszcze brzydsza pod wpływem wzruszenia. Czuję jak drży jej niekształtne ciało. Przemogłem się i przytulam policzek do jej policzka. Już mamy się pocałować jak para kochanków, gdy nagle Zira wzdryga się instynktownie i odpycha mnie gwałtownie od siebie.

Podczas gdy stoję zaskoczony, nie wiedząc jak zareagować, Zira zasłania pyszczek swoimi długimi, włochatymi łapami. I nagle ta ohydna małpica oświadcza mi z rozpaczą w głosie, wybuchając płaczem:

- Mój kochany, to niemożliwe. Żałuję, ale nie mogę, nie mogę. Jesteś naprawdę zbyt okropny.

XI

Udało się. Znowu jestem w przestrzeni, na pokładzie statku kosmicznego, i pędzę jak kometa ku Układowi Słonecznemu z szybkością wzrastającą z każdą sekundą.

Nie jestem sam. Mam przy sobie Novę i Syriusza - owoc naszej kosmicznej miłości. Mówi już "tata", "mama" i wiele innych słów. Mamy na pokładzie parę kur i królików oraz różne nasiona. Umieszczone w satelicie przez uczonych, też miały służyć do badania wpływu promieni kosmicznych na żywe organizmy. Nic z tego nie zmarnuje się. Plan Corneliusa został zrealizowany w najdrobniejszych szczegółach. Zamiana przewidzianej załogi satelity na naszą trójkę przebiegła bez trudności. Kobieta zajęła miejsce Novy w instytucie. Dziecko oddadzą Zaiusowi, a ten udowodni, że nie potrafi ono mówić i jest po prostu tylko zwierzątkiem. Być może dojdą do wniosku, że nie jestem niebezpieczny i pozostawią przy życiu człowieka, który zajął moje miejsce, bo przecież i on nie przemówi. Jest mało prawdopodobne, że dowiedzą się o dokonanej zamianie. Zaius zatriumfuje. Cornelius będzie miał może trochę kłopotów, ale cała sprawa szybko pójdzie w zapomnienie. Co ja mówię! Już jest zapomniana, bo na Sororze upłynęły lata w ciągu kilku miesięcy naszego lotu w przestrzeni. A jeśli o mnie chodzi - i moje wspomnienia zacierają się szybko, podobnie jak gigantyczna masa Betelgezy maleje w miarę jak powiększa się rozdzielająca nas czasoprzestrzeń: stała się najpierw piłką, potem pomarańczą, a teraz jest tylko błyszczącym punkcikiem w Galaktyce. Tak się dzieje i z moimi wspomnieniami o Sororze.

Trzeba być niespełna rozumu, żeby się przejmować. Udało mi się przecież uratować drogie mi istoty. Kogo miałbym żałować? Ziry? No tak, Zira... A przecież uczucie, które narodziło się między nami, nie miało nazwy ani na Ziemi, ani w żadnym innym zakątku kosmosu. Konieczność rozstania była oczywista. Zapewne wyszła za Corneliusa i odzyskała spokój, wychowując szympanse niemowlęta. A profesor Antelle? Do diabła z profesorem! Nie mogłem już nic dla niego zrobić, a wygląda na to, że on sam znalazł zadowalające rozwiązanie problemu istnienia. Wzdrygam się jednak czasem na myśl, że umieszczony w tych samych warunkach, pozbawiony opieki Ziry, mógłbym i ja upaść równie nisko.

Przejście na pokład naszego statku przebiegło sprawnie. Udało mi się zbliżyć do niego stopniowo, wprowadzić satelitę do otwartego wjazdu, przygotowanego do przyjęcia szalupy. W tym momencie włączyły się automaty zamykające wejście. Byliśmy na pokładzie. Aparatura była nienaruszona, komputer wykonał wszystkie operacje związane ze startem.

A tymczasem na Sororze nasi współpracownicy ogłosili, że satelita musiał zostać zniszczony w locie, gdyż nie udało się wprowadzić go na orbitę.

Jesteśmy w drodze już ponad rok naszego czasu. Zbliżyliśmy się do szybkości światła na nieskończenie mały ułamek sekundy, w bardzo krótkim czasie przebyliśmy ogromną przestrzeń i rozpoczęliśmy hamowanie, które potrwa przez następny rok. A ja, żyjąc w tym naszym małym światku, nie mogę się dość nacieszyć nową rodziną.

Nova świetnie znosi podróż i staje się coraz bardziej rozumna. Przeobraziło ją macierzyństwo. Spędza całe godziny na nabożnej kontemplacji swego syna, który okazał się być dla niej lepszym nauczycielem niż ja. Nova powtarza za nim wszystkie słowa, prawie zupełnie poprawnie. Ze mną jeszcze nie rozmawia, ale ustaliliśmy jakby alfabet gestów, wystarczający do porozumienia się. Wydaje mi się, że zawsze byliśmy razem. Syriusz natomiast - to perła kosmosu. Ma półtora roku. Chodzi mimo silnego przeciążenia i gaworzy bez przerwy. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy go pokażę ludziom na Ziemi.

Przeżyłem dziś wielkie wzruszenie stwierdzając, że słońce zaczęło przybierać dostrzegalne rozmiary. Wygląda teraz jak żółta kula bilardowa. Pokazuję ją palcem Novie i Syriuszowi. Tłumaczę, że to będzie ich nowy świat i rozumieją mnie. Dziś Syriusz mówi już zupełnie płynnie, a Nova prawie równie dobrze. Uczyła się mówić razem z nim, a dokonał tego cud macierzyństwa, którego ja byłem sprawcą. Nie wyrwałem wszystkich ludzi z Sorory z ich upodlenia, ale w przypadku Novy sukces jest całkowity.

Słońce rośnie z każdą chwilą. Usiłuję rozpoznać przez teleskop planety. Przychodzi mi to z łatwością. Odnajduję Jowisza, Saturna, Marsa i... Ziemię. Jest i Ziemia!

Łzy napływają mi do oczu. Trzeba przeżyć ponad rok na planecie małej, żeby zrozumieć moje wzruszenie. Wiem, że po siedmiuset latach nie odnajdę ani rodziny, ani przyjaciół, ale mimo to niecierpliwie oczekuję spotkania z prawdziwymi ludźmi.

Przyklejeni do iluminatorów patrzymy, jak Ziemia rośnie w oczach. Nie trzeba już teleskopu, żeby rozróżnić kontynenty. Weszliśmy na orbitę i krążymy wokół mej starej planety. Widzę, jak przesuwa się pod nami Australia, Ameryka, Francja... Tak, to już Francja. Wszyscy troje padamy sobie w objęcia ze szlochaniem.

Wsiadamy do drugiej szalupy. Wszystko jest tak obliczone, że lądowanie powinno nastąpić w mojej ojczyźnie. Niedaleko Paryża, mam nadzieję.

Weszliśmy w atmosferę. Włączyły się rakiety hamujące. Nova patrzy na mnie z uśmiechem. Umie już śmiać się, płakać także. Mój syn wyciąga rączki i szeroko otwiera zachwycone oczy. Pod nami Paryż. Wieża Eiffla jak zawsze na swoim miejscu.

Przeszedłem na ręczne sterowanie i precyzyjnie kieruję lądowaniem. Jakim cudem jest technika! Po siedmiu wiekach nieobecności udaje mi się osiąść na Orły, wcale nie tak bardzo zmienionym, gdzieś na skraju lotniska, z dala od zabudowań. Chyba mnie zauważyli, pozostaje tylko czekać. Nie widać żadnego ruchu. Czyżby lotnisko było wyłączone z eksploatacji? Nie, stoi jeden samolot. Całkiem przypomina samoloty z moich czasów!

Jakiś pojazd oderwał się od zabudowań i jedzie w naszą stronę. Wyłączam rakiety, ogarnięty podnieceniem rosnącym z każdą chwilą. Ileż będę miał do opowiadania moim ludzkim braciom! Może nie uwierzą mi od razu, ale mam dowody. Mam Novę, mam syna.

Pojazd rośnie w oczach. Furgonetka dość starego typu: cztery koła, napęd spalinowy. Odruchowo rejestruję wszystkie szczegóły. Myślałem, że takie samochody spotkać można już tylko w muzeach.

Nie miałbym nic przeciwko jakiemuś bardziej uroczystemu powitaniu. Niewielu ich wyjechało na moje spotkanie. Zdaje się, że widzę tylko dwóch ludzi. Głupiec ze mnie - przecież nie mogą wiedzieć! Niech tylko się dowiedzą...

Jest ich dwóch. Nie widzę zbyt dobrze, bo przeszkadzają odbłaski zachodzącego słońca na brudnych szybach. Kierowca i pasażer. Pasażer jest w mundurze. To oficer, widzę błyszczące dystynkcje. Zapewne komendant lotniska. Potem nadejdą inni. Furgonetka zatrzymała się pięćdziesiąt metrów od nas. Biorę syna na ręce i wychodzę z szalupy. Nova za nami z pewnym ociąganiem, bojaźliwie. Szybko jej to minie.

Kierowca wysiadł. Stoi odwrócony plecami, do połowy przesłonięty wysoką trawą, która dzieli nas od samochodu. Otworzył drzwi przed pasażerem. Nie myliłem się, to oficer, co najmniej major. Błyszczą liczne galony. Wyskoczył na ziemię i zrobił parę kroków w naszą stronę. Wszedł spośród traw i ukazał się wreszcie w całej okazałości. Nova wydaje z siebie dziki wrzask, wrywa mi dziecko i chowa się z nim razem do szalupy, a ja stoję jak przykuty do ziemi, niezdolny uczynić kroku ani wypowiedzieć słowa.

To był goryl.

XII

Phyllis i Jinn unieśli jednocześnie głowy znad rękopisu i patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę bez słowa.

- Piękna mistyfikacja - rzeki w końcu Jinn i roześmiał się sztucznie.

Phyllis była rozmarzona. Wzruszyły ją niektóre fragmenty tej historii i nawet zabrzmiały dla niej prawdziwie. Podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z przyjacielem.

- To dowodzi, że poetów nigdzie nie brak, są w każdym zakątku kosmosu. I kawalarze także.

Znów się zadumała. Niełatwo ją było przekonać. Wreszcie westchnęła z żalem i poddała się.

- Masz rację, Jinn. Zgadzam się z tobą. Rozumni ludzie? Światli, mądrzy? Ludzie uduchowieni? Nie, to niemożliwe. Tu już autor przebrał miarę. Ale szkoda!

- Całkowicie się z tobą zgadzam - rzeki Jinn. - A teraz czas już wracać.

Rozwinął cały żagiel, wystawiając go na jednoczesne działanie promieni trzech słońc. Później czterema zwinnymi kończynami zaczął manipulować dźwigniami sterów. Phyllis tymczasem potrząsnęła energicznie włochatymi uszami, jakby odpędzając od siebie ostatnie wątpliwości, wyciągnęła puderniczkę i myśląc już tylko o powrocie do portu, powlekła lekką różową mgiełką swój uroczy pyszczek szympansiczki.

1 W żadnym wypadku nie możemy interpretować jakiejś czynności jako rezultatu wyższej zdolności psychicznej, jeśli ta czynność może być interpretowana jako wynikająca ze zdolności sklasyfikowanej niżej w skali psychologicznej (C. L. Morgan).